

BEATA SZYDŁO:
MUSIMY WYGRAĆ W MAJU, BY ZWYCIĘŻYĆ JESIENIĄ

LIDER BAYER FULL:
PSL W TĘCZOWEJ KOALICJI IDZIE POD LÓD

DODATEK
SUKCESY XX-LECIA: WIELCY DOWÓDCY



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 9 (327) 2019
4–10 marca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

JAK DZIAŁAŁ I NADAL DZIAŁA UKŁAD GDAŃSKI

MARCIN WIKŁO
UJAWNIAJĄ!
MAREK PYZA

JAK TO ROBIĄ, ŻE WSZYSCY O TYM WIEDZĄ, A NIKT NIE ZŁAPAŁ ICH ZA RĘKĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
09
9 772544 269908

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet

6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 45edaead13

Przed „bitwą narodów”

Wejście do Koalicji Europejskiej nie tylko SLD, lecz również PSL to wydarzenie wręcz symboliczne. Pod jednym szyldem zebrały się wszystkie istotne partie III RP, szykując się do „boju ostatniego”, który pozwoli odbudować stary świat, zapewne w jeszcze brutalniejszej wersji. To ma być „bitwa narodów”, po której system zostanie ostatecznie domknięty i nikt już nie zagrozi panującym, przynajmniej w perspektywie dekady lub dwóch.

Jednoczą się partie stare i doświadczone, dotychczas starannie strzegące swojej podmiotowości. Rzucają wszystko na szalę i poważnie ryzykują swoje dalsze samodzielne istnienie. Robią to, choć doskonale wiedzą, że gdy ugrupowanie polityczne choć raz zrezygnuje z samodzielnej walki o głosy wyborców, chowając się pod skrzydła silniejszego, później tylko cudem może powrócić na scenę pod własnym szyldem. Robią to, choć wzajemnych urazów, pretensji i upokorzeń także tam nie brakuje.

Idą razem, choć wspólny start jest dla mniejszych partii, zwłaszcza dla PSL, bardzo mało sensowny pod względem ewentualnej zdobyczy. Logika ordynacji do Parlamentu Europejskiego nie sprzyja bowiem budowaniu koalicji. Kandydaci PSL czy SLD – nawet startując z wysokich miejsc – za plecami będą mieli popularnych platformerskich wyjadaczy, którzy zbiorą więcej głosów, zdobywając mandaty.

Wszystko to ma równoważyć nadzieja na wspólne zwycięstwo, na odbicie państwa, a tym samym na wszelkiego rodzaju nagrody. Ale przecież stara prawda, mówiąca o tym, że elektoraty się nie sumują, nie przestała działać. Trudno sądzić, by doświadczeni politycy złapali się na haczyk jednego, dość wątpliwego sondażu, który dawał zjednoczonej opozycji przewagę nad PiS.

Jaki z tego wniosek? Przede wszystkim znów potwierdziło się, że rację mają ci, którzy na polskiej scenie rozróżniają przede wszystkim obóz zmian, zwany często IV RP, i obóz status quo, utożsamiany z III RP. Wszelkie inne różnice, czy to programowe, czy taktyczne, mają drugorzędny charakter. Gdy nadchodzi kluczowe starcie, widzimy pełne podporządkowanie się sprawie odsunięcia PiS od władzy. Deklaratywnie konserwatywne PSL podaje dłoń tęczowym liberałom, wrażliwy społecznie SLD staje obok duchowych dzieci Balcerowicza.

Robią to, bo tak podpowiadają im emocje, odsuwające na dalszy plan chłodną analizę, ale także w wyniku potężnej presji, i krajowej, i zewnętrznej, politycznej, medialnej, zakulisowej. Systemowe trzewia III RP wysyłają jasny komunikat: kto się nie podporządkuje ogólnej strategii, kto będzie dbał o własne interesy, ten zapłaci wysoką cenę, zginie. Jeśli Wiosna Biedronia utrzyma wysokie poparcie, jesienią też może zostać zmuszona do zawarcia jakiegoś porozumienia. Wątpię zresztą, by długo się opierała.

Sytuacja staje się coraz czytelniejsza: w maju i w październiku rzeczywiście będziemy świadkami „najważniejszej bitwy 30-lecia”.

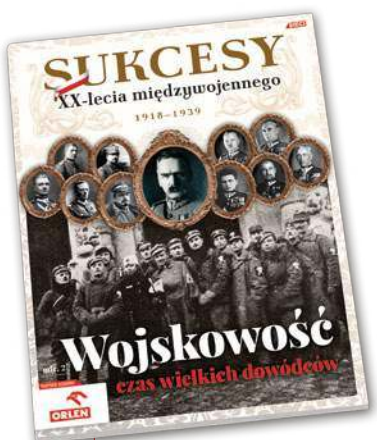
Jacek Karnowski



SIECI spis treści



38 *Ze Sławomirem Świerzyńskim rozmawia Marcin Fijołek*



53--64 *Sukcesy XX-lecia międzywojennego dodatek historyczny*

od 1 marca
można składać wnioski o rodzicielskie świadczenie uzupełniające Mama 4+

1 marca

ok. **85 tys.**
osób może skorzystać z rodzicielskiego świadczenia uzupełniającego Mama 4+

96 Poradnik Mama 4+ *Dorota Łosiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SPOŁEM Z CHŁOPEM**
Krzysztof Feusette

9 **CZY PRZEJDZIE BIAŁO-CZERWONY KOROWÓD?**
Maciej Pawlicki

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **DOBRA ZMIANA W NATARCIU**
Jan Pietrzak

15 **KUPOWANIE WYBORCÓW**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SZTUKA JAK MAGNES**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **TESTAMENT GDAŃSKI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

29 **Z BEATĄ SZYDŁO**
rozmawia Michał Karnowski

36 **GRABARZ LUDOWCÓW**
Stanisław Janecki

38 **ZE SŁAWOMIREM ŚWIERZYŃSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

40 **POD OCHRONNYM PARASOLEM SĄDÓW**
Wojciech Biedroń

42 **Z MARKIEM GRABOWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

46 **Z PROF. WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

50 **SPEŁNIONE MARZENIA**
Jaromir Kwiatkowski

SIECI KULTURY

65 **ZBYT POPRAWNE OSCARY**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **NA WOJNIE Z TRUMPEM**
Łukasz Adamski

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **ZMIERZCH ZACHODU**
Konrad Kołodziejski

82 **NIEUDANA PRÓBA WYŁUDZENIA**
Michał Karnowski

84 **LEKKOMYŚLNOŚĆ PRZYWÓDCY**
Jan Rokita

88 **ZMOWA MILCZENIA PRZY PODNIESIONEJ KURTYNIE**
Grzegorz Górny

90 **„DELEGAT" VEL „LIBELLA". FAKTY, INTERPRETACJE I MITY**
Grzegorz Majchrzak

ŚWIAT

93 **UWIEŚĆ MILENIALSÓW**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

96 **MAMA 4+, CZYLI CO WARTO WIEDZIEĆ O NOWYM ŚWIADCZENIU**
Dorota Łosiewicz

99 **DWIE KOALICJE – DWA ŚWIATY**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: GRZEGORZ STOSZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **POSTULAT RÓWNOŚCI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **CHLEWIK POLSKI**
Aleksander Nalaskowski

109 **BO LUDZIE SĄ GŁUPIE**
Wiktor Świetlik

110 **LEKCJA HISTORII WEDŁUG PAN**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **BIEGNIJ, FORREST, BIEGNIJ!**
Ryszard Makowski

113 **DWUOJCZYŹNIANI…**
Leszek Długosz

114 **KTO MOŻE DEFINIOWAĆ DOBRE ŻYCIE?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

107/0119/F

eprasa.pl 45edaead13

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Ruszając w drogę z AC z opcją Auto Non Stop w PZU masz komfort, jaki daje sprawna pomoc i auto zastępcze na cały okres naprawy.

Teraz nowość! Zarejestruj się na portalu moje.pzu.pl i korzystaj z obsługi online.

Umów się z agentem 801 102 102 pzu.pl
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o zakresie ubezpieczenia i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA są zawarte w ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Auto dostępnych w Oddziałach PZU i na stronie pzu.pl

eprasa.pl 45edaead13



Sygnalista nadaje

Kilkudziesięciu reżyserów znalazło czas, by w liście otwartym potępić Jarosława Kaczyńskiego za zacytowanie słynnych słów Agnieszki Holland: „żeby było, jak było". Twierdzą, że pomówił reżyserkę, zarzucając jej dążenie do zniszczenia polskiej wolności. Sprawa jest więcej niż wydumana: albo państwo artyści nie zrozumieli prezesa PiS, albo coś sobie w głowach dodali. Najsmutniejsze jest jednak to, że żaden z reżyserów nie znalazł czasu, by stanąć w obronie Polski w sporze z Izraelem wokół słów Israela Katza. Tej sprawy po prostu nie zauważyli.

Ów list to dzieło Gildii Reżyserów Polskich – swego rodzaju związku zawodowego tej profesji. Dokument powstał w dość kuriozalnych okolicznościach. Członkowie organizacji rano dostali e-mail z informacją o zbiórce podpisów, z zastrzeżeniem, że brak negatywnej odpowiedzi do godz. 14 będzie traktowany jako wyrażenie zgody. A więc nie wszyscy, których nazwiska widnieją pod tym dziwnym paszkwilem, realnie wyrazili na to zgodę. Inna sprawa, że boją się o tym powiedzieć, bo naraziliby się salonowi. Czy taki – niezgodny z dobrym obyczajem – sposób zbierania podpisów nie kojarzy się pani Agnieszce Holland z czasami stalinizmu?

Odnośnie do tego, kto wolności broni, a kto jest jej wrogiem, to rzecz celnie ujął ***prof. Ryszard Legutko***, mówiąc: „Polska w tej chwili jest jednym z niewielu krajów na świecie, które są zdolne ocalić wolność. Jeżeli jej nie utrzymamy, to niech Matka Boska ma nas w swojej opiece". Święte słowa, ale warto stawiać sprawę jasno: tę bitwę trzeba wydać tam, gdzie ona się realnie toczy, a więc w świecie mediów, organizacji pozarządowych, edukacji, wiary. Największe zwycięstwa polityczne nic nam nie dadzą, jeśli resztę oddamy agresywnej lewicy.

Dziś kierownictwo PiS jest przekonane, że każda światopoglądowa awantura to punkt dla opozycji. Również dlatego, że społeczeństwo mocno przesuwa się w lewo, a Kościół pogrąża się w dramatycznym wręcz kryzysie. W ten sposób powstaje swoista spirala śmierci: obóz rządzący nic nie robi, bo uważa, że to zaszkodzi, ale skoro nic nie robi, to problem narasta. Być może jednak druga kadencja będzie inna. Jak to ujął Jarosław Kaczyński: teraz, w roku wyborczym, trzeba „odrzucić zasadę, że co w sercu, to na języku, bo ona w polityce czasem przeszkadza".

Na szczęście są artyści, którzy milczeć nie muszą. Lider zespołu Bayer Full rzucił legitymacją PSL, bo nie chce firmować koalicji z partiami promującymi mniejszości seksualne. „Nie wyobrażam sobie głosować na LGBT i lewicę. PSL straciło szansę bycia centroprawicą, taką jak za Witosa. Partia, której hymnem jest »Rota«, idzie razem z aborcjonistami, lewakami i komunistami, będzie razem z nimi walczyć z Kościołem, religią w szkołach i sprowadzać uchodźców" – huknął Sławomir Świerzyński. I to tak głośno, że usłyszał cały kraj. Jacek Kurski miał rację, stawiając na disco polo.

„Kryzys w PSL po wejściu do Koalicji Europejskiej. Z partii odchodzi lider zespołu Bayer Full" – tak tę sytuację podsumowała na tzw. belce TVP Info. Niby kuriozalnie, ale czy na pewno? Władysław Kosiniak-Kamysz tak skomentował odejście Świerzyńskiego: „Spotykamy się, jak jestem na ziemi

Upadł Pędzący Królik, restauracja na pl. Teatralnym w Warszawie, w której dokładnie 24 sierpnia 2009 r. o godz. 18.15. spotkali się Marcin Rosół, szef gabinetu ministra sportu Mirosława Drzewieckiego, oraz Magdalena Sobiesiak. Młody platformers miał wówczas ostrzec swoją rozmówczynię, córkę biznesmena z branży hazardowej, o działaniach CBA w związku z podejrzeniem o nielegalny lobbing. Chwilę potem Magdalena Sobiesiak wycofała się z walki o miejsce w zarządzie Totalizatora Sportowego. Co ciekawe, w miejscu Pędzącego Królika będzie teraz bar mleczny, ale taki lepszy. Czyż nie symboliczne?

eprasa.pl 45edaead13

płockiej. On jest prezesem powiatowym. Chciałbym, żeby w jego gminie były lepsze wyniki, bo nie udało im się wygrać wyborów na wójta, wprowadzili niezbyt dużą reprezentację do Rady Gminy". Lider Bayer Full był więc w PSL funkcyjnym, i to nie najniższego szczebla.

Jest faktem, że powołanie Koalicji Europejskiej prawicę raczej zaskoczyło. Analitycy PiS od dawna przekonywali, że taki scenariusz nie opłaca się przede wszystkim PSL, zwanemu teraz w internecie PSLGBT. A jednak ludowcy powiedzieli Platformie „tak", ryzykując własne istnienie. Wniosek z tego prosty: wokół Polski krążą potężne siły, które zrobią wszystko, by odsunąć PiS od władzy, i złamią każdego, kto stanie na drodze. Wiosnę też złamią i też zmuszą do sojuszu, jeśli będzie trzeba.

Być może wyślą tu także Tuska. Choć czy jego gwiazda jeszcze świeci mocnym światłem? Komentator portalu wPolityce.pl Aleksander Majewski celnie zauważył: „Donald Tusk jest jak Nokia". Ta fińska firma jeszcze dekadę temu była prawdziwym potentatem na rynku telefonii komórkowej, a dziś młodsze pokolenie nawet nie kojarzy tej marki. Podobny los może czekać byłego premiera, bo – jak zauważa Majewski – „dziś demokratyczno-liberalne zaklęcia w chadeckiej otoczce mają znacznie mniejszą moc rażenia". Ale pewności mieć nie będziemy aż do końca.

Tymczasem IBRiS zbadał, jak Polacy oceniają przekop Mierzei Wiślanej. Okazało się, że 44 proc. ankietowanych jest za, a 36 proc. przeciw. O projekcie nie słyszało 10 proc. i tyle samo nie wie, co o nim myśleć. Wniosek? Nawet w trudnych sprawach można wysoko wygrywać, jeśli się walczy.

Ale to – jak już rzekliśmy – po wyborach. Teraz PiS wciąga na sztandary piątkę Kaczyńskiego, imponujący rozmachem program wsparcia dla rodzin, emerytów, rencistów i młodych. Tu jednak ważna uwaga: ten program sam się nie sprzeda, bo ten film publiczność już raz obejrzała, gdy w życie wchodził program 500+, i może być trochę znudzona. PiS musi też dobrze wytłumaczyć, skąd weźmie pieniądze, bo opowieść o zagrożeniu „drugą Grecją" pewien posłuch może znaleźć nawet w grupach wrażliwych socjalnie.

Na froncie polsko-izraelskim zimne zawieszenie broni. ***Premier Morawiecki*** udzielił wywiadu dziennikowi „Haaretz", w którym mocno skrytykował Israela Katza za zdanie o „Polakach wysysających antysemityzm z mlekiem matki" („Takich słów może używać radykalny ekstremista, a nie minister spraw zagranicznych"). Problem w tym, że lewicowy „Haaretz" od lat jest w czołówce nagonki na Polskę; udzielenie mu wywiadu zostało odebrane przez naszych nielicznych sojuszników w świecie izraelskich mediów jako co najmniej nagradzanie nikczemników. A sam „Haaretz" po wywiadzie też nie zmienił linii redakcyjnej ani na jotę.









Paweł Kukiz posłuchał Kaczyńskiego i wziął się do roboty. Sięgnął po metodę tyleż prostą, ile ryzykowną: mocno wszedł w konflikt polsko-żydowski. Między innymi wypomniał „sędziom", którzy skazali na śmierć gen. Augusta Fieldorfa „Nila", żydowskie pochodzenie. W odpowiedzi red. Czuchnowski z „GW" nazwał Kukiza „antysemitą" i „świnią". Gdyby naprawdę słuchał Michnika, dorzuciłby jeszcze „nikczemność" i „podłość". A Kukiz powinien uważać, bo w tych sprawach łatwo się rozpędzić, a trudno zatrzymać.

Z kolei prof. Paweł Śpiewak podzielił się z mediami następującą refleksją: „Mam raczej pretensję o to, że Polacy [...] nie umieją poczuć się Żydem w lipcu 1942 r., w dniach deportacji do Treblinki. Nie rozumieją, co to znaczy być w sytuacji nieprawdopodobnej paniki, strachu, czuć się jak zwierzyna, która za chwilę będzie upolowana. Dla mnie to jest po prostu brak zwykłej empatii. Ale to wymaga długiej pracy, nikt się tego nie nauczy w trzy minuty". Możliwe, że mamy z tym problem, ale jednak o wiele, wiele mniejszy niż środowiska żydowskie, które opisując rzeczywistość okupacyjną i los Polaków, po prostu ordynarnie kłamią.

Tymczasem „Gazeta Wyborcza" zaliczyła medialną wpadkę dekady. Najpierw ogłosiła, że „PiS hojnie rozdaje nasze pieniądze", bo daje 500+, emerytalną trzynastkę oraz... podnosi pensje wojskowym, nauczycielom i pielęgniarkom. Następnie okładkę tę potępiła. „Opamiętajmy się, podwyżki dla nauczycieli to nie rozdawnictwo!" – pierwszy krzyknął Bartosz Wieliński, który na winiecie tego konkretnego wydania dziennika widnieje jako redaktor prowadzący. W tym Wielińskim jest coś mocno pechowego. Pewnie go wyrzucą, bo pechowców to oni nie potrzebują.

Prezydent stanął w obronie sędziów z nowego naboru, których brutalnie sekuje stara kasta. „Proszę, żebyście to spokojnie wytrzymali" – mówił ***Andrzej Duda***, podkreślając: „Ci ludzie wystawiają sobie świadectwo tego, że nigdy nie powinni zostać nominowani do tej wysoce specyficznej służby. Proszę, żebyście państwo tak do tego podeszli. Nie ma innej drogi. Trzeba spokojnie zaczekać, aż odejdą". Brawo! Oby więcej takiego tonu.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 45edaead13



KRZYSZTOF FEUSETTE

Społem z chłopem

Do najwyższego kierownictwa Pee-Zelu, w osobie Kosiniaka-Kamysza Władysława, przyszłego premiera Polski (o ile wróci wiadomo kto) – list otwarty (i tolerancyjny), z kilkoma jednak pytaniami zasadniczymi...

Szanowne najwyższe kierownictwo, my, samozwańcza rada drugiego szeregu członków ruchu ludowego, z pełnym entuzjazmem przyjmujemy decyzję najwyższego prezesa Pee-Zelu w osobie wyżej wspomnianego Kosiniaka-Kamysza Władysława, aby wejść w wyborczy sojusz z Koalicją Europejską, złożoną z PO, SLD, Zielonych oraz tego, co zostało z Nowoczesnej. Entuzjazm nasz opieramy na tym, iż nareszcie chłop znalazł swoje miejsce na salonach, co musi w przyszłości skutkować chłopa tego awansem społecznym. Mając to na względzie, spieszymy jednak donieść, iż są w naszych szeregach jednostki nierozumiejące wyższej konieczności, która oznaczać musi wybór pomiędzy zerem mandatów do Parlamentu Europejskiego z listy własnej a zerem mandatów z listy Koalicji Europejskiej. Zebraliśmy najważniejsze kwestie i przekazujemy najwyższemu kierownictwu do konsultacji, licząc jednocześnie na możliwie szybką odpowiedź, bo ludzie się niepokoją. A przecież tak pięknie tłumaczył pan Władysław, że „tęcza to jest symbol spółdzielni Społem". „Społem z chłopem" – to mogłoby być hasło nowego Pee-Zelu!

No i właśnie – najczęstszym problemem poruszanym przez naszych członków jest kwestia paląca: czy my już teraz musimy się cieszyć, że mówiąc po naszemu, ludowemu – chłop z chłopem, a baba z babą? Tłumaczymy, jak chłop krowie na rowie, że przecież chłop zawsze stał obok chłopa. Że zawsze był blisko chłopskich spraw, a kwestia tego, jak blisko, to jest tylko niepotrzebne jątrzenie na gruncie ideologicznym. Niestety, to nie wystarczy. Niedawno na wycieraczce biura znaleźliśmy teczkę z ulotkami partii, z którymi idziemy do wyborów. Przepraszamy za śmiałość, ale to jest słowo w słowo z programu tych Zielonych, co nam kolor wyborczy podebrali. „Demokratyczne standardy niszczone są [...] przy braku możliwości zawierania małżeństw przez osoby tej samej płci. [...] Doprowadzimy do pełnej równości małżeńskiej dla osób homo- i heteroseksualnych". Mał-żeń-skiej – podkreślam, bo tu nie chodzi o jakieś tam partnerstwo dla pokoju z ciemną kuchnią. A Sojusz Lewicy Demokratycznej? „Konieczne jest prowadzenie polityki uwzględniającej interesy kobiet i mężczyzn, czyli polityki gender mainstreaming; edukacja seksualna od przedszkola do matury – obowiązkowa; refundacja antykoncepcji od 15. roku życia; ustawa o związkach partnerskich obejmująca pary heteroseksualne i homoseksualne. Usunięcie z Kodeksu karnego przestępstwa obrazy uczuć religijnych...". Zwłaszcza to ostatnie wydaje się dziwne w czasach, gdy sam homoseksualizm stał się prawie religią. No, ale co my tam wiemy, nasza chata z kraja w hostel się nagle nie zmieni. U nas nawet, jak cyrk przyjechał, to za wielu chętnych nie było. Natomiast – i tu przechodzę do sedna – mamy z czasów zielonej wyspy całkiem porządnego orlika, na którym moglibyśmy poćwiczyć to i owo. Konkretnie rozchodzi się nam o ten sport nowoczesny, o którym kolega koalicjanta Trzaskowskiego wspominał przy okazji karty dla jednopłciowych: „Jest coś takiego jak sport osób LGBT, wrażliwy na orientację i tożsamość płciową". A pan Trzaskowski dodał, że w Warszawie ludzie byli przez swoją orientację wyrzucani na bruk. Czyli że wszystkie te kamienice, które za 50 zł 140-letni Papuasi kupowali, to wcześniej geje zasiedlali?

Myśmy, i piszę to z ręką dokładnie na sercu, pojęcia nie mieli, że tej mniejszości tak szybko przybywa. Więc teraz w ramach integracji naszej ciepłej jeszcze koalicji chcielibyśmy wspomniany sport LGBT na gruncie lokalnym wdrożyć. Do tej pory jedyne, co się na ten temat na boisku słyszało, to straszne słowo na „p", a i to głównie pod adresem sędziego. Szukaliśmy w internecie czegoś o gejowskiej piłce nożnej i nie ma nic. Proponujemy zatem na początek kilka zasad, może inne gminy się przyłączą i w końcu jakiś turniej się zorganizuje na dożynkach? Widzimy to tak: sędzia ma tęczowy trykot i różowe boa na szyi, a gwiżdże tylko piosenki Eltona Johna. Musi być rozgrzany, jak tuleja w limuzynie, bo mecz zaczyna się od wymiany koszulek, dwa razy 15 minut. Jak ktoś nie zdąży, musi trafić przeciwnika w poprzeczkę. Z powodów oczywistych nie ma czegoś takiego, jak kutanaczio, czyli gra na „zero z tyłu". Nie może być też pozycji „na spalonym", bo pozycja raz jest taka, a raz inna, a „spalony" za bardzo kojarzyłby się z solarium. Następna rzecz: parada bramkarska. Żadnych skoków na boki, zupełnie nowa jakość – bramkarze chwytaliby się za ręce i maszerowali dookoła murawy z transparentami i piszczałkami na wierzchu. Zastanawiamy się jeszcze, czy gole strzelone na wyjeździe mają liczyć się podwójnie, ale to wszystko sprawdzi się w praniu, bo przecież ktoś te koszulki musi prać. I tu nieocenione będą koła gospodyń wiejskich.

eprasa.pl 45edaead13

Czy przejdzie Biało-Czerwony Korowód?



MACIEJ PAWLICKI

2 maja ulicami Warszawy chce przejść Biało-Czerwony Korowód. Wielka uliczna parada, której pomysł narodził się z potrzeby radosnego świętowania polskiej, narodowej i państwowej wspólnoty przez demonstrowanie szacunku dla tradycji, dumy z dzisiejszych osiągnięć oraz nadziei na dobrą przyszłość.

W USA parady w Dzień Niepodległości odbywają się w tysiącach miejsc, najbardziej widowiskowa w Waszyngtonie. Nowojorska parada św. Patryka gromadzi 150 tys. uczestników i 2 mln widzów na trasie. Na paradę do Dublina przybywa milion widzów z całego świata. Miasto zyskuje kilkadziesiąt milionów euro, a parada przyczynia się do zbudowania pozytywnego wizerunku Irlandii, daje dumę z bycia Irlandczykiem.

Publiczne spektakle to tradycja Rzeczypospolitej. Widowiska parateatralne, uroczyste wjazdy władców, koronacje, orszaki ślubne były wielkimi wydarzeniami. Do historii przeszły wjazdy Jana III Sobieskiego do Krakowa, Gdańska czy Lwowa, wjazd kanclerza Ossolińskiego do Rzymu (pochód liczył kilka tysięcy uczestników, a konie gubiły złote podkowy ku uciesze gawiedzi) czy wjazd wojewody Opalińskiego do Paryża. Inspiracją dla Biało-Czerwonego Korowodu są także: Parada Pułaskiego w USA, współczesne polskie lokalne parady, w tym Orszaki Trzech Króli, juwenalia, procesje religijne i dożynkowe oraz inne formy ulicznego celebrowania i zabawy.

Biało-Czerwony Korowód będzie odpowiedzią na wyzwania współczesności oraz na zanik dawnych form Polaków bycia razem (sejmikowanie, sąsiedzkie zjazdy, odpusty, kuligi, jarmarki etc.). Polacy w grupie zazwyczaj dobrze się z sobą czują, ale erozja dawnych form nie została zastąpiona (poza sportem, co dalece niewystarczające) nowymi formami wspólnotowego przebywania i przeżywania.

Termin Korowodu jest oczywisty, to Dzień Flagi RP, także Dzień Polonii i Polaków za Granicą.

Korowód wyruszy spod pomnika ojca sceny narodowej Wojciecha Bogusławskiego na placu Teatralnym w Warszawie. Odtańczony zostanie mazur Moniuszki, odśpiewany fragment pierwszej opery narodowej autorstwa Bogusławskiego „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale", wzywającej Polaków do umiłowania ojczyzny, współdziałania i solidarności.

W Korowodzie przejdzie 80 grup o różnej tematyce i stylistyce. Będą historia i tradycja narodowa (rekonstruktorzy), lokalna (zespoły regionalne, polonijne), nowoczesność (sukcesy naukowe i technologiczne), sztuka (taniec, teatr, rzeźba, moda, design), sport. Warunkiem jest pomysłowość. Prezentowane będą rzeźby (scenografie), ruchome obrazy, występy artystyczne, baletowe, mażoretki i cheerleaderki. Kilkadziesiąt orkiestr, także zespołów jazzowych i innych. A potem na pl. Piłsudskiego Biało-Czerwone Śpiewanie. Piosenek polskich – wzniosłych, ale i zwyczajnych, wesołych, radosnych, przebojowych – dla różnych, dla wszystkich pokoleń. Wspólne śpiewanie.

Biało-Czerwony Korowód ma być wolny od sporów, ma łączyć obywateli Rzeczypospolitej, także z Polakami z zagranicy, a gościom ukazywać piękno polskości i najlepsze cechy polskiego charakteru. Niesie w sobie ogromny potencjał rozwoju twórczego i społecznego. Będzie tym, czego – poza sportem – tak bardzo w polskiej przestrzeni publicznej brakuje: publicznym wyrażaniem radością z więzi, jakie spajają polską wspólnotę. Radości z bycia Polakiem. I bycia wśród Polaków.

Autorem pomysłu jest Andrzej Paulukiewicz, pomaga mu grupa zapaleńców. Inicjator Orszaku Trzech Króli, filozof Dariusz Karłowicz: „Biało-Czerwony Korowód to śmiały pomysł wspólnego szukania formy dla dzisiejszej polskości".

To stworzenie Polakom okazji do zamanifestowania miłości do ojczyzny i do swoich małych ojczyzn. Świętowanie patriotyzmu w sposób radosny, nowoczesny, pogodny, twórczy. Pobudzenie aktywności miejscowych społeczności. Budowanie więzi między Polakami w kraju i za granicą. Prezentacja działań na rzecz rozwoju. Pokazanie, że Polacy, czerpiąc ze swojej tradycji, nie boją się wyzwań przyszłości i patrzą w nią z nadzieją. Zademonstrowanie samym Polakom i cudzoziemcom, że Polska to kraj piękny, a Polacy są kreatywni i optymistyczni. Że potrafią się bawić, przeżywać swą wspólnotowość pozytywnie i konstruktywnie. Obrazy z tej parady polskości winny trafić na cały świat i być nową wizytówką Polski oraz Polaków, zaproszeniem do radosnego świętowania razem w imię wolności i solidarności. To budowanie narodowej wspólnoty, wzmocnienie relacji Polaków między sobą. Wzmocnienie relacji Polaków z Polską.

Taka jest idea. Szuka wsparcia. Czy Biało-Czerwony Korowód wyruszy?

eprasa.pl 45edaead13



Przełomu nie było

Drugie spotkanie na szczycie między Donaldem Trumpem a Kim Dzong Unem, do którego doszło 28 lutego w Hanoi, zakończyło się porażką. Nie podpisano żadnych deklaracji, a obie strony pożegnały się w nie najlepszej atmosferze, rezygnując nawet ze wspólnego obiadu. Kim zażądał od Trumpa m.in. zniesienia sankcji wprowadzonych w odpowiedzi na północnokoreański program rakietowy, ale prezydent USA odmówił. Gdyby Amerykanie poszli na jednostronne ustępstwa, pozbawiliby się jedynego narzędzia presji na reżim w Pjongjangu.

Północnokoreański dyktator mógł sobie pozwolić na stawianie Ameryce warunków, ponieważ ma za sobą silne wsparcie Chin, sprzyja mu także Rosja. Chińczycy zręcznie wykorzystują Kima do załatwiania z Waszyngtonem własnych spraw. Zależy im na tym, aby Amerykanie ograniczyli swoją obecność w regionie, który Pekin uważa za swoją strefę wpływów. O co chodzi? O Tajwan, o Morze Południowochińskie i o Koreę Południową. Tylko wtedy, gdy Biały Dom uszanuje tu „szczególne interesy" chińskie, Pekin zmusi Kima do ustępstw.

Teraz, gdy Trump próbował się porozumieć bezpośrednio z Kimem, Chińczycy pokrzyżowali mu plany, zwiększając dostawy surowców i łagodząc reżim na granicy z Koreą Północną. W ten sposób Pekin dał Kimowi do zrozumienia, że odpowiada mu jego obecna polityka. Pjongjang kontynuuje więc – wbrew zakazom – sprzedaż broni do krajów Afryki i omija nałożone przez ONZ embargo na eksport węgla, z którego sprzedaży finansowany jest program nuklearny. Nadal powstają też wyrzutnie rakietowe.

Porozumienie z Kimem jest możliwe jedynie jako element szerszego pakietu regulującego relacje Ameryki z Chinami. Nieudany szczyt w Hanoi pokazał, że bez Pekinu nie da się go osiągnąć.

Konrad Kołodziejski



Fot. East News/AP Photo/Evan Vucci

UE

Stażystka z Moskwy

Niedawno na łamach niemieckiego „Welt am Sonntag" pojawiła się informacja o nasilającej się aktywności chińskich oraz rosyjskich służb wywiadowczych w Brukseli. Jak czytamy: „Stolica Belgii stała się jednym z najważniejszych miast dla działalności agenturalnej na świecie z uwagi na znajdujące się w niej centrale Unii Europejskiej oraz NATO". Okazuje się jednak, że nie trzeba się zdawać wyłącznie na rozmaitych Czepigów i Miszkinów (agenci GRU podejrzewani o próbę otrucia Siergieja Skripala w Wielkiej Brytanii), skoro można uzyskać dostęp do interesujących informacji całkiem legalnie.

Oto – jak donosi Radio Swoboda – w Parlamencie Europejskim pracuje w charakterze stażystki 21-letnia Jelizawieta Pieskowa. Jej ojcem jest Dmitrij Pieskow, a to w Rosji bardzo znana postać, rzecznik prasowy Kremla i bliski współpracownik Władimira Putina. Pannę Pieskową zatrudnił w swoim biurze francuski europoseł Aymeric Chauprade, niegdyś związany z prawicowym ugrupowaniem Philippe'a de Villiersa, a potem z Frontem Narodowym Marine Le Pen. Dziś Chauprade zerwał wprawdzie związki z ugrupowaniem pani Le Pen, protestując przeciw antysemickim wypowiedziom niektórych polityków tej partii, ale pozostaje wierny swoim prokremlowskim poglądom. Chauprade zasiadający we frakcji Europa Wolności i Demokracji Bezpośredniej (EFDD), obok m.in. włoskich kolegów z Ruchu Pięciu Gwiazd, uważa, że Europa powinna się zdystansować od Stanów Zjednoczonych i nawiązać bliższą współpracę z Rosją. Zapłodniony tą myślą w 2014 r. odwiedził Krym, gdzie obserwował „referendum" na temat przyłączenia półwyspu do Rosji. Jest też stałym gościem rosyjskiej propagandowej stacji telewizyjnej RT.

Z punktu widzenia odbywającej u niego staż panny Pieskowej, a może raczej jej ojca, znacznie bardziej interesująca jest jednak aktywność pana Chauprade w Parlamencie Europejskim. Francuski polityk wchodzi bowiem w skład Komisji Współpracy Parlamentarnej z Rosją oraz zasiada w Komisji Spraw Zagranicznych, a także Podkomisji Bezpieczeństwa i Obrony. Dzięki temu panna Pieskowa ma pewien wgląd w sprawy, którymi zajmuje się jej pracodawca, a być może również w dokumenty.

Ujawnienie stażu panny Pieskowej wywołało oburzenie części europosłów, zwłaszcza pochodzących z państw bałtyckich. Monsieur Chauprade nie ma sobie jednak nic do zarzucenia. Jak oświadczył, pannie Pieskowej „jako studentce przysługuje nie mniej praw niż innym młodym ludziom odbywającym staż". To jasne, ale pytanie, dlaczego wybrał właśnie ją, pozostało bez odpowiedzi.

Konrad Kołodziejski

Serbia

Tęczowa flaga nad Belgradem

Jesienią 2010 r. świat obiegły zdjęcia z Belgradu, pokazujące, jak duże grupy bojowo nastawionej młodzieży rozbijają gejowską paradę w tym mieście. Uzbrojone oddziały policji próbowały zaprowadzić spokój, lecz nie dały rady. Jeszcze w 2013 r. władze serbskiej stolicy zakazały organizowania Gay Pride Parade w odpowiedzi na liczne postulaty oburzonych mieszkańców oraz wielką manifestację, jaką zorganizowały tamtejsze organizacje prorodzinne. Dziś po tamtych wydarzeniach pozostały już tylko wspomnienia. W 2018 r. ulicami Belgradu bez problemu przeszła tradycyjna homoparada z tęczowymi flagami i kolorowymi balonikami.

To pokazuje, że w ciągu kilku ostatnich lat w Serbii nastąpiły duże zmiany. Punktem przełomowym stało się niewątpliwie mianowanie w czerwcu 2017 r. premierem kraju zdeklarowanej lesbijki Any Brnabić. Kiedy w 1994 r. wyjeżdżała na studia do USA, była jeszcze heteroseksualistką. Do domu wróciła już jako osoba o odmiennych preferencjach seksualnych. Przez kolejne lata pracowała na stanowiskach menedżerskich w amerykańskich firmach działających w Serbii. W 2016 r. została powołana na stanowisko ministra administracji w rządzie premiera Aleksandra Vučicia. Kiedy rok później ten ostatni został prezydentem, desygnował ją na stanowisko szefa rządu. W ten sposób Brnabić została siódmą osobą na świecie o orientacji homoseksualnej sprawującą urząd premiera, lecz pierwszą w kraju tradycyjnie prawosławnym.



Jej nominacja została odebrana jako gest dobrej woli wobec Zachodu. Rządy europejskie i północnoamerykańskie od dawna bowiem wywierały silny nacisk na Belgrad, by zaakceptował agendę LGBT. Aleksandar Vučić, który obrał zdecydowany kurs prounijny, postanowił pójść w tej sprawie na ustępstwa. Rozpoczęto politykę oswajania serbskiego społeczeństwa z nowymi normami kulturowymi. Okazała się bardzo skuteczna. Bo kiedy w zeszłym tygodniu Ana Brnabić ogłosiła, że jej partnerka Milica Djurdjić urodziła chłopca o imieniu Igor, nie wywołało to większego wrażenia. Jedynie magazyny plotkarskie miały kolejny temat dnia.

Grzegorz Górny

Fot. BootID/Shutterstock.com

eprasa.pl 45edaead13



Fot. Boot1D/Shutterstock.com

Alexandre Benalla

Francja

Kim jest ochroniarz Macrona?

Były ochroniarz prezydenta Francji Alexandre Benalla w minioną środę został zwolniony z tymczasowego aresztu, do którego trafił w związku ze śledztwem ws. jego udziału w manifestacji 1 maja 2018 r. w Paryżu, podczas której przebrany za policjanta bił i kopał demonstrantów. W areszcie spędził zaledwie tydzień. Jak twierdzi francuski portal śledczy Mediapart, Benalla znęcał się nad demonstrantami „dla rozrywki".

Wraz z nim zabawiał się były żandarm zatrudniony do czerwca 2018 r. jako ochroniarz przez prezydencką partię La Republique en Marche, Vincent Crase. Na tym jednak afera Benalla, która poważnie nadszarpnęła wizerunek Emmanuela Macrona, się nie kończy. Po utracie pracy w Pałacu Elizejskim w lecie 2018 r. i rozpoczęciu śledztwa były ochroniarz wciąż dysponował dyplomatycznym paszportem. Podróżował m.in. do Czadu, niedługo przed oficjalną wizytą Macrona w tym kraju. W stolicy Czadu, Ndżamenie, widziano go m.in. w towarzystwie brata tamtejszego prezydenta Idrissa Déby'ego, Oumara, który odpowiada za zakup uzbrojenia dla armii. Macron zarzekał się, że nie wysłał Benalli do Czadu i że chce zerwać z wcześniejszą „republiką pośredników" w Afryce. Dlatego nie cichną spekulacje, że Benalla to wciąż człowiek „od brudnej roboty" prezydenta.

Ale na tym nie koniec. Przeciwko Benalli i Crase toczy się kolejne śledztwo. Dotyczy ono pieniędzy, które obaj panowie otrzymali od rosyjskiego oligarchy Iskandera Machmutowa, potentata branży górniczej i metalurgicznej oraz przyjaciela Władimira Putina. Machmutow zapłacił im 290 tys. euro za ochronę jego nieruchomości we Francji i w Monako. Kontrakt był negocjowany przez Benallę, gdy jeszcze pracował w Pałacu Elizejskim, pod koniec 2017 r. By ukryć swoje związki z rosyjskim oligarchą, Benalla i Crase założyli w październiku 2018 r. firmę France Close Protection. W tę sprawę zamieszany jest także Chokri Wakrim, mąż szefowej grupy bezpieczeństwa premiera (francuskiego odpowiednika BOR) Marie-Élodie Poitout, która już złożyła swoją dymisję. Jak by tego było mało, paryska prokuratura poinformowała, że wszczęła kolejne, wstępne śledztwo w sprawie „ukrywania dowodów" w kilku dochodzeniach, jakie toczą się przeciw Benalli i osobom z jego otoczenia. Afera Benalla jest więc daleka od zakończenia i będzie dalej ciążyć na wizerunku prezydenta Macrona. A Francuzi nadal będą się zastanawiali, kim właściwie jest Benalla. Bo zapewne nie zwykłym ochroniarzem.

Aleksandra Rybińska

USA

Fałszywy męczennik

O tym, że Hollywood nienawidzi Donalda Trumpa, wiedzą wszyscy. Ostatnio bardzo doceniono tam meksykańskich filmowców atakujących budowę muru na granicy z ich państwem, którą forsuje Biały Dom. A celebryci każdego dnia ścigają się na kolejne wyzwiska pod adresem prezydenta (najnowsze przykłady „mowy miłości" to motherfucker i śmierdząca dziura w penisie). Jednak skandal wybuchł w innym miejscu.

W Chicago 29 stycznia miał zostać napadnięty Jussie Smollett, aktor znany z serialu „Imperium". Smollett jest czarnoskórym gejem i zeznał, że zaatakowali go biali rasiści. W mediach społecznościowych natychmiast wybuchła wrzawa. Celebryci wytoczyli najcięższe działa przeciwko reżimowi „pomarańczowego człowieka", jak drwiąco nazywają Trumpa. Napastnicy mieli jakoby skandować hasło „Make America Great Again" (MAGA) i inne slogany wyjęte z przemówień prezydenta. Aktor zeznał, że napastnicy go nie tylko pobili, lecz również oblali wybielaczem i zarzucili mu pętlę na szyję.

Szybko się jednak okazało, że chłopak przedobrzył z misternie szytą opowieścią. Został aresztowany i oskarżony o składanie fałszywych zeznań. Wyszło bowiem na jaw, że pobicie zostało sfingowane. Policja dotarła do nagrań z kamer, dzięki którym w jednym z „napastników" rozpoznano osobistego trenera aktora. „Smollett wykorzystał rasizm do promowania własnej kariery. Zastanawiam się tylko dlaczego. Czemu ktoś, zwłaszcza Afroamerykanin, wykorzystał symbol pętli, żeby rzucać fałszywe oskarżenia?" – powiedział czarnoskóry komisarz Eddie Johnson z policji w Chicago. A Donald Trump na Twitterze zapytał Smolletta: „A co z MAGA i dziesiątkami milionów ludzi, których obraziłeś swoimi rasistowskimi komentarzami?".

Na razie aktor został wyrzucony z ostatnich odcinków „Imperium". „By uniknąć dalszych zakłóceń na planie, zdecydowaliśmy się usunąć odgrywaną przez niego postać Jamala" – napisali producenci serii, w której aktor grał od pięciu lat. Choć wziął go w obronę gwiazdor serialu Terrance Howard, nie wydaje się, by aktor miał w najbliższym czasie powrócić do Hollywood. I to nie dlatego, że uderzył w Amerykę Trumpa. Tamtejsza prasa podaje, że aktor miał o wiele bardziej przyziemne cele. Smollett, udając ofiarę rasizmu, chciał sobie wywalczyć większą gażę w serialu. Użył do tego jednak skojarzeń, które są nie do przyjęcia dla większości Afroamerykanów. Sznur i wybielacz uchodzą bowiem za symbol rasizmu amerykańskiego Południa. Takich rzeczy się nie wybacza. Nawet wtedy gdy w Waszyngtonie rządzi Trump.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 45edaead13

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dobra zmiana w natarciu



Jan Pietrzak

Premier Morawiecki w trakcie przyjmowania nagrody „Gazety Polskiej", słysząc muzyczny motyw z filmu „Rocky", powiedział z uśmiechem, że życzy sobie tylu kadencji, ile odcinków miał „Rocky". Panie premierze, proszę również uwzględnić serię o walecznym Rambo. Zwłaszcza że w odróżnieniu od pięściarza to wojownik innowacyjny, operujący sprzętem wysokiej klasy.

Optymizm premiera u progu kampanii wyborczej jest ważnym atutem dobrej zmiany, która oby nam się utrwaliła na długo. Żaden z podmiotów składających się na koalicję złej zmiany nie ma Polakom nic pozytywnego do zaoferowania. Ich rządy byłyby klęską nadziei na godne życie, dostatek, bezpieczeństwo, sprawiedliwe sądy... itd. To nieudacznicy i gamonie...

Tu muszę się wstrzymać z bardziej wnikliwą oceną prominentów opozycji, bo mam już na głowie Wałęsę, który ma zamiar do mnie strzelać za to, co o nim powiedziałem. Nie będę wychodził na linię strzału całej tej ferajny. Przy okazji przypominam kapralowi, że dziewięć lat służyłem w wojsku i jestem porucznikiem. Niech za bardzo nie podskakuje, bo jak się wkurzę, tak go op...ę, że mu kapcie spadną. (Przepraszam notorycznych cywilów, że posłużyłem się rutynową frazą garnizonową, stosowaną wobec ofermy batalionowej).

A skoro się zgadało, trollom internetowym wyjaśniam, że nie byłem politrukiem, jak wypisują w swoich bredniach, tylko oficerem radiolokacji, co związane jest ze stosowaniem wyższej matematyki. Dzięki temu odróżniam logarytmy od algorytmów, sinusoidę od niedojdy, całkę od różniczki itp. Dosyć szybko odróżniłem wojsko „ludowe", jak się wtedy nazywało, od Wojska Polskiego i dałem dyla do cywila. Było to w 1957 r. A taki Jaruzelski czy Kiszczak, skądinąd wspólnicy ww. Wałęsy, do końca dni swoich tej różnicy nie dostrzegali. Nie służyli w służbach elektronicznych, nie musieli logicznie myśleć. Nawet w ogóle nie musieli myśleć, musieli słuchać rozkazów ze Wschodu.

Według wszystkich znaków na niebie i ziemi po tegorocznych wyborach pozbędziemy się raz na zawsze uzależnionych od Wschodu i Zachodu przebierańców. Rządy sprawować będą ludzie służący tylko Polsce. Stąd optymizm premiera, do którego z radością się przyłączamy.

Zobaczymy, co się wydarzy

Z Ewą Chodakowską, trenerką fitness, jurorką programu „Dance, Dance, Dance", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Do jakiego tańca dałaby się zaprosić Ewa Chodakowska?

Ewa Chodakowska: Już się dałam zaprosić! Do „Dance, Dance, Dance" – programu telewizyjnego, który jest spektakularnym formatem. Jego uczestnicy nie są prowadzeni przez zawodowych tancerzy. W przygotowaniach występu muszą sobie radzić sami. To szalenie trudne, bo nie ma obok kogoś, kto w razie potknięcia będzie w stanie odwrócić uwagę. To też program niezwykle innowacyjny w swojej formule. Obraz generowany komputerowo nałożony na ten rzeczywisty sprawi, że wszyscy poczujemy się jak w teledysku, musicalu czy scenie filmowej.

Podobno do tanga trzeba dwojga. W „Dance, Dance, Dance" jest troje jurorów. Surowych?

Cóż, po mnie ostrych ocen nie ma się raczej co spodziewać. Będę zwracać bardzo dużą uwagę na przygotowanie fizyczne uczestników. Zostanę raczej łagodnym jurorem, który częściej poklepie po ramieniu, niż zgani, ale... nagrania trwają, więc zobaczymy, co się wydarzy!

Ktoś zdominuje to jurorskie trio?

Jesteśmy [także Robert Kupisz i Ida Nowakowska – przyp red.] bardzo różni od siebie. Troje indywidualistów, którzy znają się na tym, co robią, i znają swoją wartość. Każdy z nas ma pomysł na siebie, spełnia się w tym i robi swoje. Czujemy się zgranym zespołem, nie konkurencją.

Czym według pani jest taniec?

Myślę, że to jedna z najpiękniejszych form wyrazu. To ekspresja, świadomość ciała, sposób na pokazanie siebie.

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl 45edaead13

Kupowanie wyborców



Bronisław Wildstein

Ogłoszona z wielkim przytupem ostatnia konwencja PiS jest z pewnością politycznym sukcesem tej partii. Czy jednak usprawiedliwia to widoczną w niej strategię i zaprezentowane rozwiązania?

Rządy PiS przysłużyły się Polsce, a to, co proponuje jego konkurencja, powinno budzić uzasadniony niepokój. Bardzo poglądowa dla tego stanu rzeczy jest tzw. Koalicja Europejska, którą zawarły przed wyborami do PE partie – wydawałoby się – absolutnie odmienne. Co łączy kulturowych rewolucjonistów i polityków aspirujących do reprezentacji tradycyjnej polskiej wsi; jak mogą porozumieć się radykalni liberałowie gospodarczy z lewicowcami, których celem jest równość społeczna? Odpowiedź jest jedna: partyjne szyldy i deklaracje są nieważne, ważne są władza i stanowiska.

Przedstawiciele koalicji oburzyliby się. Chodzi przecież o odsunięcie PiS od władzy. Tylko co takiego złego zrobiła ta partia? Gospodarka kraju rozwija się wyjątkowo dobrze, i to we wszystkich aspektach, zarówno jeśli chodzi o wzrost zamożności, jak i likwidację bezrobocia czy redukcję obszarów biedy. Poprawia się stan bezpieczeństwa Polaków, a walka z korupcją przynosi rezultaty. Reforma sądownictwa wydaje się buksować, jednak prowadzi stopniowo do ograniczenia samowoli kasty sędziowskiej, która z państwem prawa nie ma nic wspólnego. Zwiększone zostały środki przeznaczone na obronność. W polityce międzynarodowej walka o wydobycie się ze statusu wasalnego i uzyskanie podmiotowości nie jest łatwa, ale również wydaje się przynosić efekty.

Obecne notowania partii rządzącej są dobre, ale gdyby nie przewaga opozycji w mediach i ośrodkach opiniotwórczych, byłyby znacznie lepsze. W tej kwestii można wprawdzie zarzucić partii Kaczyńskiego zaniedbanie, ale nie o to jest przecież ona oskarżana. W każdym razie ten stan rzeczy dowodzi, jak fałszywe są pomówienia o autorytarne zapędy dzisiejszej władzy.

Totalność opozycji i postępującej za tym krytyki wywodzi się z czego innego. Obecna parlamentarna większość naruszyła oligarchiczny porządek, którym była III RP, nic dziwnego, że jego obrońcy pod najróżniejszymi szyldami i w najrozmaitszych kostiumach działają na rzecz odtworzenia tego, aby było, jak było. Wprost i jednoznacznie wykrzyczała to na wiecu Agnieszka Holland, ale dziś nie wolno tego cytować, bo szczerość mogłaby okazać się dla establishmentu zgubna.

Gdyby więc nawet rządy PiS nie miały tych osiągnięć, ich istnienie wprowadzałoby w nasze życie niezbędny pierwiastek pluralizmu i dlatego należałoby je popierać.

Wydaje się, że uznając kolejny sukces wyborczy za podstawowy imperatyw, partia Kaczyńskiego ogłosiła na ostatniej konwencji nowy program. W tym momencie zaczyna dźwięczeć dzwonek ostrzegawczy. Czy nie został uruchomiony niebezpieczny mechanizm rozdawnictwa, czyniący z obywateli roszczeniowych klientów, którzy koncentrują się na tym: kto z aspirujących do władzy da im więcej? Polityka przestaje odwoływać się do wspólnego dobra, a zaczyna do doraźnych zysków konkretnych grup czy indywiduów. Wszystko dominują oczekiwania konsumpcyjne, a przyszłość przestaje się liczyć.

To katastrofalna postawa. Zadaniem rządzących jest tworzenie warunków do rozwoju kraju, a tych nie uzyskuje się przez kupowanie kolejnych grup społecznych za finansowe bonusy. Można zgodzić się, że pewien mechanizm redystrybucji jest potrzebny, ale mamy wystarczająco dużo doświadczeń historycznych, które udowodniły, jak może być on niebezpieczny, kiedy zostanie mu nadana samoczynna dynamika.

Rządzący powinni stworzyć stan rzeczy, w którym istnieją szanse na awans i dorobienie się, czego nie zapewni rozdawnictwo. Próba wyrównania warunków życia, nie wiadomo dlaczego nazywana sprawiedliwością, zabija konkurencję i w efekcie działa niszcząco na energię oraz dynamizm obywateli. Wszystkie znane nam przypadki radykalnego wzrostu gospodarczego nie polegały na rozdawnictwie ze strony państwa, ale na pilnowaniu sprawiedliwych reguł gry i konkurencji. Środki wypracowują obywatele, państwo może tylko stymulować ich działanie, a nie robi tego, ofiarowując im wyborcze podarunki.

Obecna władza ma naprzeciw siebie nieodpowiedzialną opozycję, a stanowią ją nie tylko i nie głównie politycy, lecz również nieformalne ośrodki władzy w poszczególnych sferach życia społecznego i medialni propagandyści. Cokolwiek by zrobiła, spotka się z wściekłym atakiem, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Dotąd niesprawiedliwie oskarżana była o populizm, nie znaczy to jednak, że może podejmować populistyczne działania, zakładając, że i tak w niczym nie zmieni to bombardowania, któremu jest poddana. Rzecz bowiem dotyczy spraw istotnych dla polskiej przyszłości, które wykraczają poza wyborczy horyzont.

SPROSTOWANIE

Odnosząc się do treści publikacji autorstwa Bronisława Wildsteina pt. „Oszuści czy biedacy, czyli o dziedzicach Kulczyka" z dnia 11 lutego 2019 roku, oświadczamy, iż wbrew twierdzeniom zawartym w artykule, na dzień ukazania się przedmiotowej publikacji wszystkie kwoty zasądzone od każdego z powodów na rzecz Bronisława Wildsteina tytułem zwrotu kosztów procesu za obie instancje zostały w całości uiszczone.

Dominika Kulczyk i Sebastian Kulczyk

Do sprostowania autor artykułu odniesie się zgodnie z prawem prasowym w następnym numerze tygodnika

eprasa.pl 45edaead13

OGNIEM NA WPROST

Kultura noża

Dr Marek Jerzy Minakowski jest chyba największym specem w Polsce od genealogii. Jego publikacje – „Wielka Genealogia Minakowskiego" czy „Genealogia potomków Sejmu Wielkiego" – przeszły już do historii. Stanowią przewodnik nie tylko dla poszukiwaczy własnych przodków, służą również jako źródło innych opracowań naukowych. Obecny projekt dr. Minakowskiego koncentruje się na odnalezieniu związków rodzinnych między 26 tys. osób opisanymi w 47-tomowym „Polskim słowniku biograficznym", wydawanym przez Polską Akademię Nauk od 1935 r. Posiadanie biogramu w PSB wskazuje, że daną osobę uznaje się za ważną dla polskiej historii. Czy istnieje więc związek rodzinny pomiędzy Adamem Michnikiem a Jarosławem Kaczyńskim? Zdaniem naukowca: „Prapradziadek Adama Michnika, Hilel Schmeidler, był bratem Sary, której mąż Symche Wachtel miał brata Berla, męża Eidel Mendelsohn, której siostra Chawa była teściową Julii Bergson, której pierwszy mąż, znany malarz Aleksander Lesser to brat hrabiego Zygmunta Lessera, żonatego z Laurą hr. Krasicką, wdową po Edwardzie hr. Dunin-Borkowskim, bracie ciotecznym Heleny z Wolskich, żony generała Jana Krukowieckiego. Synową generałostwa Krukowieckich była Bronisława Olszewska, siostra Julii, której praprawnukami są Lech i Jarosław Kaczyńscy". Czyżby to wszystko było jedną wielką kłótnią w rodzinie?

Nie jest lekko być prawicowym publicystą, który chce wygłaszać wykłady w Australii krytykujące roszczenia Żydów do mienia bezspadkowego pozostawionego w Polsce. Tym razem przekonał się o tym Stanisław Michalkiewicz. Dziennik „The Australian" już na wstępie, zanim odbyła się prelekcja, ochrzcił go mianem „polskiego antysemity" i „prowokacyjnym prezenterem Radia Maryja", przywołując jego słowa, że „Żydzi chcą okraść Polaków z 65 mld dolarów". Najgorsze wydarzyło się jednak w podróży samolotem do Australii. Dziennikarza namierzono już podczas przesiadki na lotnisku w Abu Zabi i tam odbyło się pierwsze przesłuchanie. „Oficer imigration zadawał mi rozmaite pytania, a gdzie, a po co, a dlaczego, za czyje pieniądze jadę. Ostatecznie wpuszczono mnie do samolotu, dodając, że w Melbourne zajmie się mną inny funkcjonariusz" – relacjonuje Michalkiewicz. Druga rozmowa na temat wykładów dla Polaków skupionych w organizacji Nasza Polonia była równie fascynująca, co pierwsza. Chciano, aby Michalkiewicz szczegółowo zrelacjonował treść swoich wykładów z uwzględnieniem poglądów na aborcję i politykę Izraela. Po dwóch godzinach wpuszczono go na teren Australii z zastrzeżeniem, aby „nie mówił źle o żadnych mniejszościach".



Fot. Andrzej Wiktor

Kiedyś podejrzanym o żydowskie pochodzenie podczas kontroli granicznej w Rzeszy kazano ściągać spodnie. Cokolwiek by mówić, dziś jest łagodniej. Tylko dłużej trwa.

Kwartet egzotyczny w składzie Krystyna Janda, Magdalena Cielecka, Maja Ostaszewska i Agnieszka Holland znów dał o sobie znać. Tym razem chodzi o dr. Jarosława Trybusia, byłego zastępcę dyrektora ds. programowych Muzeum Warszawy. Zawieszono go za udostępnienie przez niego w mediach społecznościowych plakatu autorstwa Szymona Szymankiewicza przedstawiającego nóż o rękojeści tworzącej profil Jarosława Kaczyńskiego. To wszystko w kontekście zabójstwa prezydenta Pawła Adamowicza. Kwartet, a wraz z nim ponad 130 osób „ze świata kultury, sztuki i nauki", skierował list do prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, w którym domaga się przywrócenia Trybusia na stanowisko. Zaiste ciekawa jest argumentacja „ludzi kultury". „Karanie za to godzi nie tylko w ich osobistą wolność wypowiedzi, ale stoi też w sprzeczności z rolą, jaką przypisuje się twórcom i innym ludziom kultury w demokratycznym społeczeństwie" – twierdzą sygnatariusze listu. „Ich zadaniem jest pobudzać do krytycznej refleksji, a prawem używać do tego kontrowersyjnego języka czy konwencji wizualnej. Tak właśnie było w tym przypadku". Nie wiedziałem, że inspiracją „pobudzania do refleksji" może być według „ludzi kultury" kultura noża.

Ostatnie Oscary były mocne ideologicznie. Z tego całego politpoprawnego targowiska próżności są jednak niezadowolone środowiska gejów i lesbijek. Dla nich karygodne jest odgrywanie ról postaci LGBT przez aktorów o proweniencji heteroseksualnej. Dostało się Ramiemu Malekowi za rolę biseksualnego Freddiego Mercury'ego w „Bohemian Rhapsody" czy Olivii Colman za rolę romansującej z dwórkami w filmie „Faworyta". Oberwał Mahershala Ali za rolę pianisty o homoseksualnych skłonnościach w „Green Book". Kręgi LGBT i coś tam uważają takich wykonawców za heretyków, którzy się „podszywają". Dałeś palec, chcą rękę.

Andrzej Rafał Potocki

eprasa.pl 45edaead13



MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA

Sztuka jak magnes

Wystawa obejmowała 30 prac Picassa, z których kilka miało polskie wątki – wyraźne znaki fascynacji naszym rodzimym folklorem

W ciągu kilkunastu dni aż 18 tys. osób przekroczyło progi Muzeum Narodowego w Warszawie, by zobaczyć niewielką wystawę prac Pabla Picassa. Zainteresowanie sztuką słynnego kubisty zaskoczyło organizatorów, którzy postanowili przedłużyć prezentację o tydzień, do 3 marca. Kto miał czas i możliwość, spieszył na Al. Jerozolimskie 3, zanim jedyna w Polsce kolekcja dzieł wybitnego Hiszpana ponownie zniknęła w niedostępnych dla zwiedzających magazynach MNW.

Wystawa obejmowała 30 prac Pabla Picassa, z których kilka miało polskie wątki – wyraźne znaki fascynacji naszym rodzimym folklorem. Należy do nich rysunek „Dziewczyna polska" przedstawiający kobietę w chuście. Prezentacja obejmowała także dziesięć unikatowych talerzy z wizerunkami twarzy i z martwą naturą pochodzących z początku okresu fascynacji artysty ceramiką. W muzeum można było zobaczyć litografie, a w szczególności 14 prac z cyklu „Kobieta w fotelu" (1948–1949). Grafiki te przedstawiają Françoise Gilot, partnerkę artysty. Została ono uwieczniona w przywiezionym z Polski zakopiańskim kożuchu. Martwe natury to m.in. narysowane najprawdopodobniej palcem dzban i owoce. Zaprezentowane na wystawie linoryty to „Popiersie kobiety w kapeluszu" (portret drugiej żony Picassa Jacqueline Roque) i „Śniadanie na trawie" (według obrazu Édouarda Maneta).

Wspomniane polskie wątki w twórczości Pabla Picassa mogłyby być bogatsze co najmniej o jedno oryginalne dzieło, o którym warto wspomnieć, mimo że od dawna już nie istnieje, a wiąże się z nim dość zabawna historia doskonale ilustrująca peerelowską rzeczywistość rodem z filmów Stanisława Barei.

W 1948 r. Pablo Picasso, jako członek Francuskiej Partii Komunistycznej, został zaproszony do Wrocławia na Pierwszy Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Polski rząd miał wysłać po artystę specjalny samolot, którym podobno malarz odbył swój pierwszy lot w życiu. Po kilku dniach spędzonych we Wrocławiu Picasso udał się do Warszawy. Zatrzymał się w hotelu Bristol, odwiedził Muzeum Narodowe, któremu podarował 20 ceramik. Wybrał się także na Koło, gdzie architekci Helena i Szymon Syrkusowie oprowadzili artystę po nowo powstałym osiedlu. W jednym z niezamieszkanych jeszcze lokali Picasso spontanicznie narysował węglem na ścianie syrenkę z młotkiem w dłoni. Mieszkanie to zostało następnie przydzielone młodemu małżeństwu, ale za sprawą wyjątkowego rysunku stało się celem licznych pielgrzymek ciekawskich turystów.

Natarczywość zwiedzających entuzjastów sztuki była podobno na tyle uciążliwa, że mimowolni posiadacze tego oryginalnego dzieła wystąpili do władz spółdzielni o zgodę na jego zamalowanie. Zarząd Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przychylił się do stosownego wniosku i w odpowiedzi do lokatorów podobno oświadczył, że wyraża zgodę na zamalowanie syreny narysowanej na ścianie pokoju przez artystę malarza „Pikacco" (pisownia oryginalna).

REKLAMA





45/0219/F

eprasa.pl 45edaead13

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Niewskazane

Okazuje się, że są tacy, dla których nie jest jasne, czy warto mieć dzieci. Mam na myśli Alexandrię Ocasio-Cortez, kongresmenkę z Nowego Jorku. Podczas transmitowanego na żywo wystąpienia na Instagramie polityk zasugerowała, że posiadanie dzieci obecnie może być niewskazane ze względu na skutki, jakie mogą wywrzeć na życie na naszej planecie zmiany klimatu. O sprawie pisze rp.pl: „Jest naukowa zgoda co do tego, że życie naszych dzieci będzie bardzo trudne. I to prowadzi młodych ludzi do uzasadnionego pytania: czy jest w porządku nadal mieć dzieci?" – mówiła polityk. Innymi słowy – zdaniem Ocasio-Cortez najlepiej dla Ziemi byłoby, gdyby ludzkość wyginęła. Znakomity program! Na pewno niewskazane jest głosowanie na polityków, którzy głoszą takie brednie.





190
kombatantów
– tylu ich wyjechało do tej pory na Wakacje dla Bohatera i Ferie dla Bohatera

25
tys. zł
tyle pieniędzy udało się do tej pory uzbierać na kolejne Ferie dla Bohatera. Dochód to datki prywatne i zbiórka z Bazarku dla Bohatera

150
tys. zł
– tyle potrzeba, by wysłać na wypoczynek kolejnych kombatantów



Za wygodnie

A skoro o dzieciach mowa, to ponad 55 proc. Włochów nie ma i nie chce mieć potomstwa – alarmuje włoska agencja informacyjna SIR. Głównym powodem, który podają ankietowani, są względy ekonomiczne. „Aż 41 proc. dorosłych Włochów deklaruje, że nie chce mieć w przyszłości dzieci ze względu na trudności ekonomiczne i brak wsparcia finansowego dla rodzin z dziećmi – wynika z danych narodowego studium dzietności – badania przeprowadzonego na zlecenie włoskiego Ministerstwa Zdrowia" – informuje ekai.pl. Ktoś jeszcze chce powiedzieć coś złego o 500+?

Po serbsku

Dla odmiany duża radość w Serbii. Premier tego kraju została matką. A dokładnie urodziła jej partnerka. Biuro premier w oficjalnym komunikacie poinformowało, że partnerka premier Any Brnabić Milica Djurdjić urodziła synka. Dodano, że zarówno chłopczyk, jak i jego matka czują się dobrze. Dziecko otrzymało imię Igor. Djurdjić, która jest lekarką, zaszła w ciążę poprzez sztuczne zapłodnienie. Ale skoro to partnerka, to premier chyba raczej została ojcem, a nie matką. Ech, te pułapki nowoczesności.



eprasa.pl 45edaead13

Na ringu w hidżabie



Międzynarodowe Stowarzyszenie Boksu Amatorskiego (AIBA) zezwoliło kobietom, by walczyły w hidżabach i dopasowanych strojach zakrywających całe ciało. Powód? Kwestie religijne. Nowe stroje mają być tak zaprojektowane, by nie stwarzały zagrożenia podczas walk dla rywalizacji, a przez to i dla zdrowia zawodniczek. „Zmiana przepisów podkreśla zaangażowanie w walkę o równouprawnienie pod względem płci oraz tolerancję religijną" – zaznaczyło stowarzyszenie. Wcześniej AIBA miała zastrzeżenia do materiału, z którego wykonywane były hidżaby. Miały nie przylegać do głowy, co stwarzało ryzyko zsunięcia, a to miałoby wpływ na przebieg walki. No i teraz wszyscy równościowo mogą się lać po baniakach.

„*Mamy iść z partiami, które chcą zniszczyć Pana Boga? Honor nie pozwala mi brać udziału w tej hucpie* – powiedział Sławomir Świerzyński z Bayer Full, odchodząc z PSL. Na chłopski rozum ma rację. Szkoda, że chłopy z PSL zapomniały o korzeniach.

Wesprzyj bohatera

Stowarzyszenie „Paczka dla bohatera" planuje kolejną edycję Ferii dla Bohatera. Tym razem kombatanci mają pojechać do Juraty. Chodzi o dziewięciodniowy pobyt nad morzem połączony z zabiegami leczniczymi. Problem w tym, że w tym roku brakuje sponsorów, choć swój patronat nad akcją zapowiedzieli szefowie MON, MSWiA oraz prezes IPN. Dzień pobytu kombatanta w ośrodku wypoczynkowym to koszt ok. 200 zł. Od zebranej kwoty zależy, ilu kombatantów będzie mogło odpoczywać nad morzem. Oni walczyli za wolną Polskę, teraz potrzebują państwa wsparcia. Zróbmy coś dla nich w hołdzie za odebraną młodość, którą przerwała wojna. Datki można wpłacać na konto: 44 1140 2004 0000 3202 7690 1396.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x5), mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Lepiej weźcie Owsiaka



Dominik Zdort

Obywatele są równi wobec prawa, niezależnie od tego, jakimi zajęciami się parają. Startować w wyborach mogą wszyscy: i zawodowy polityk, i aktor, i sportowiec, i działacz społeczny, i szef organizacji charytatywnej, i duchowny.

Tyle mówi prawo państwowe. Ale współcześnie Kościół katolicki odrzuca możliwość uczestniczenia księży w sprawowaniu władzy świeckiej. Z pożytkiem – jak się wydaje – dla instytucji, która nie ryzykuje swojego autorytetu w politycznych rozgrywkach.

Ale co na przykład z wybitnym sportowcem, reprezentantem Polski w piłce nożnej? Czy bylibyśmy zadowoleni, gdyby napastnik z drużyny narodowej wystartował z listy Koalicji Europejskiej, a jego kolega z prawego skrzydła stanął na czele listy Zjednoczonej Prawicy? Czy łatwo byłoby nam kibicować reprezentacji, w której gra polityk partii budzącej naszą szczerą niechęć? A może wręcz przeciwnie, taka sytuacja łagodziłaby obyczaje w Polsce? Całe szczęście, że na razie nie mamy szansy tego przetestować.

A co ze „znanymi i lubianymi" aktorami? Taki „znany i lubiany", jeśli wystartuje i zdobędzie mandat, ryzykuje, że sympatia do niego znacząco się zmniejszy. Niezależnie od cech osobistych, przewin i zasług zostanie obrzucony błotem, a jeśli okaże się psychicznie słaby, to wdeptany w ziemię i zniszczony. Straci więc wiele na zawodowej atrakcyjności. Niestety takie są dziś obyczaje w polskiej polityce.

Do czego zmierzam? Otóż są takie funkcje społeczne, które wymagają apolityczności nie tylko dla dobra pojedynczego człowieka, lecz nas wszystkich. Dlatego martwi mnie, że szefowa Polskiej Akcji Humanitarnej chce startować do europarlamentu.

Większość Polaków pewnie zna jej poglądy bliskie liberalnej lewicy lub ich się domyśla. Ale to nie przeszkadza im wspierać jej dzieł, bo wsparcia są godne. Po wyborach opozycyjna europosłanka Janina Ochojska – nolens volens – znalazłaby się na barykadzie, w ogniu najgorętszych politycznych sporów, najbardziej brutalnych polemik, chamskich hejtów, nieprzyzwoitych zarzutów. Pewnie nie byłoby to miłe dla niej samej, ale cóż, chyba wie, co ryzykuje. Gorzej, że ofiarą przy okazji padłaby także PAH.

Osobom, które zaproponowały pani Ochojskiej kandydowanie, doradzam więc podmiankę. Zamiast niej weźcie Jerzego Owsiaka. On już dawno zajmuje się agitacją ideowo-polityczną, więc nic mu nie zaszkodzi.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 45edaead13

RZECZY POSPOLITE

Kaziukowe serce



Tomasz ***Łysiak***

Nie ukrywam, że wileńskie tropy zawsze mnie poruszają, a gdy mowa o Łukiszkach i placu Łukiskim, szybciej bije mi serce, choćby z racji tego, że właśnie na Łukiszkach znajdowały się okryte złą sławą więzienie i miejsce straceń naszych patriotów. Ich linię można by wykreślić od powstańców styczniowych, takich jak Zygmunt Sierakowski, a trzymanych tam i mordowanych przez Murawiewa „Wieszatiela", i przeprowadzić ją aż do żołnierzy niezłomnych.

Dzisiaj jednak nie smutny, lecz radosny fragment dziedzictwa wileńskiego przychodzi mi na myśl – wileńskie Kaziuki.

Święty Kazimierz królewicz, syn króla Kazimierza Jagiellończyka, patron Polski i Litwy, który odszedł w objęcia Pana 4 marca 1484 r., miał i ma do tej pory szczególne miejsce w sercach Polaków na Litwie. To na jego cześć i w jego święto organizowano zawsze obchód zwany „Kaziukiem" lub „Kaziukami". Kazimierz został wyniesiony na ołtarze 7 listopada 1602 r. przez papieża Klemensa, a dwa lata później w katedrze wileńskiej odbyła się uroczystość kanonizacyjna. W roku 1636 relikwie zostały przeniesione i złożone w kaplicy ufundowanej przez Wazów – Zygmunta III i jego syna Władysława. To najprawdopodobniej wtedy, w trakcie podniosłych, hucznych uroczystości, odbył się pierwszy jarmark. Od tamtego czasu co roku (aż do dzisiaj) obchodzi się na Litwie Kaziuki, a z okazji święta organizowane są jarmarki – największy oczywiście w Wilnie. Cóż to na nim się nie działo? Czegóż to nie można było kupić? Oto na plac katedralny zjeżdżali kupcy i straganiarze nie tylko wileńscy, lecz nawet z odległych miast i wsi. Rzemieślnicy ustawiali swoje stragany, a gdzieś w początkach wieku XX pojawiły się na nich charakterystyczne serca z piernika. Gdy w 1901 r. przed katedrą stanął pomnik carycy Katarzyny, jarmark przeniesiono na plac Łukiski. Tam z kolei w 1952 r. pojawił się pomnik Lenina – więc cała „impreza" powędrowała na plac Kalwaryjski. Teraz kaziukowy jarmark wrócił pod wileńską katedrę i jej okolice.

Ale serce jest ciągle to samo. Kaziukowe. Wileńskie. Polskie. Ja też je mam. I nie dlatego, że powoli robi się ze mnie piernik, ale dlatego, że kocham Wilno.

Łzy spod tuszu



Piotr ***Cywiński***

„Czy bycie gejem jest cool?" – sondowała swego czasu niemiecka telewizja Pro7. Achtung! Achtung! Ponad dwie trzecie telewidzów odpowiedziało: „ja", znaczy, że tak. Pewien młody człowiek zareagował w studiu: „Czy to normalne, że w stosunku płciowym facetowi kobietę zastępuje inny facet?". Szmer się rozległ po widowni, jakiś niedzisiejszy...

Szybko to poszło. Jeszcze nie tak dawno w Bundeswehrze obowiązywał regulamin z zakazem przebywania żołnierzy nawet w pobliżu gejowskich knajp, a paragraf o karalności homoseksualizmu usunięto z kodeksu dopiero w latach 90. Nieco później szefem dyplomacji został liberał Guido Westerwelle, któremu kilka razy podczas oficjalnych wizyt poza granicami towarzyszył jego „narzeczony", czym wprawiał gospodarzy w osłupienie. Też tacy zaściankowi.

Bo „Schwul (gej) ist cool", z angielska „It's okay to be gay!". Gdy 21-letnia Prejean walczyła o koronę Miss USA, cool-gej-juror Hilton zahaczył ją o jednopłciowe małżeństwa. Niestety, ta odparła, że za rodzinę uznaje związek kobiety i mężczyzny. I się doigrała! Wpływowy Hilton wrzasnął: „Ty głupia suko, jeśli wygrasz, to zerwę ci koronę z tego głupiego łba!". I przegrała. Szef stowarzyszenia Amerykanie na rzecz Prawdy załamał ręce: „Za nazwanie dziewczyny głupią suką Hiltonowi nie spadł włos z głowy, ale gdyby ktoś nazwał go starą ciotą czy pedałem, byłby skończony!". Też niedzisiejszy.

Dzisiejsza telewizja RTL2 pokazała cykl „Bycie gejem czyni cool", w którym „czwórka wspaniałych ekspertów styling i lifestyle" dowodziła, „jak z macho zrobić współczesnego mężczyznę marzeń", koniec cytatu. W ręce tychże homoseksualistów stylistów odda się Edi z Monachium. Wspaniale przybrązowili go w solarium, wydłużyli i pomalowali mu rzęsy czymś, co „nie puści nawet, gdy będziesz płakał", wyskubali i ukształtowali brewki, ufryzowali stosownie i ubrali w sexy-garderobę. Na koniec porażająco odmieniony Edasek załkał ze wzruszenia, tusz nie puścił, poczytał czwórce swoje wiersze. I uściski były, i buziaki na pa, pa, słowem: szczęście!

Do nas też postęp kroczy. Cool-Warszawa będzie miała kartę LGBT – dogodności różnych. „Chcemy ją w miarę szybko dopiąć" – oznajmił wiceprezydent Paweł Rabiej. Teraz tylko czekać na kupienie przez TVN prawa do emisji polskiego wydania programu „Schwul ist cool". „Mocny mężczyzna znaczy wiele w tych czasach" – mawiał Theodor Körner, pierwszy austriacki prezydent z wyboru. Takie tam austriackie gadanie, toż to było ponad pół wieku temu! A władze Warszawy też są z wyboru...

eprasa.pl 45edaead13

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK, ALEXANDRA LANDE/SHUTTERSTOCK.COM, ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 45edaead13



Aleksandra Dulkiewicz

eprasa.pl 45edaead13

Testament gdański

„Gdańsk jest najcudowniejszym miastem na świecie” – brzmiały ostatnie słowa Pawła Adamowicza. Teraz, gdy minęła żałoba po jego tragicznej śmierci i odbyły się wybory, nadszedł czas na powiedzenie, w jakiej kondycji zostawił miasto i komu naprawdę żyje się w nim cudownie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ten układ polityczno-biznesowy to materia, która wymyka się z rąk. Budowany ponad dwie dekady, skupiający najważniejsze postacie lokalnego świata urzędowego, deweloperskiego czy prawniczego, żerujący na miejskich spółkach, wspierany przez niemającą nic wspólnego z pluralistycznym dziennikarskim rynkiem propagandową machinę, czasem okazuje się zbyt silny nawet dla organów ścigania. Mieszkańcy niewiele wiedzą o tym, jak ich portfele drenują pomorscy książęta i ich dwory.

Terminy „miasto deweloperów” czy „mała Sycylia” mają głębokie uzasadnienie. I wszystko wskazuje, że wciąż będą miały.

W chwili gdy czytają państwo ten artykuł, Aleksandra Dulkiewicz najprawdopodobniej wygrała wybory prezydenckie. Oznacza to zakonserwowanie w Gdańsku chorego systemu, co dla niepoznaki nazywane teraz będzie „wypełnianiem testamentu Pawła Adamowicza”.

CYWILIZACYJNA ROZPRZEDAŻ

W ubiegłorocznej kampanii samorządowej Paweł Adamowicz wydał książkę „Gdańsk jako wspólnota”. Reklamował w niej samego siebie i obficie rozprawiał o swoich zasługach dla rozwoju miasta. To zrozumiałe, bowiem o reelekcję tym razem ubiegał się, rywalizując nawet z byłymi przyjaciółmi z Platformy Obywatelskiej. Prezydent nie ukrywał swoich sympatii i szczególnie antypatii politycznych. Wieszczył, że dokuczliwy dla niego rząd PiS będzie można pokonać, tylko budując opór, który ma się skupić wokół samorządów takich

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

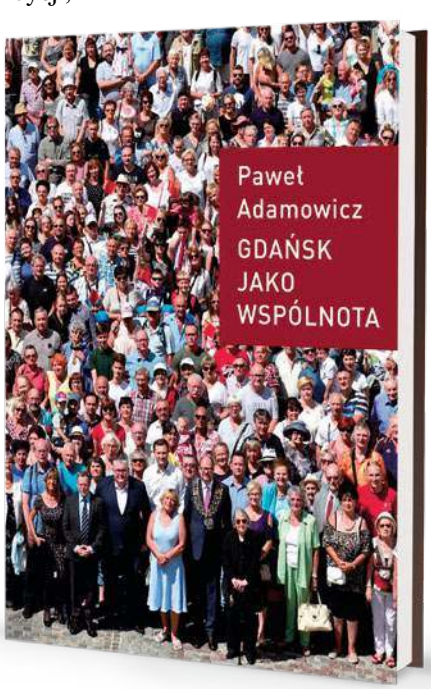
eprasa.pl 45edaead13

jak Gdańsk. Pisał właściwie tak, jakby porażka PiS była przesądzona.

Książka miała pokazywać, jak wspaniale miasto rozwijało się pod rządami Adamowicza. Prezydent zachwycał się, czasem mając do tego podstawy, nad widocznym rozwojem, który dokonał się przez ostanie dwie dekady nad Motławą. Dla osób mało zorientowanych w polityce samorządowej to imponująca kronika nieszablonowych i pionierskich rozwiązań, jakie stosowali Adamowicz ze współpracownikami, by pozyskać pieniądze dla miasta. Dla lepiej zorientowanych w trójmiejskiej rzeczywistości oburzające muszą być takie kwiatki, jak zawarty w rozdziale „Skok cywilizacyjny Gdańska" opis prywatyzacji spółki dostarczającej mieszkańcom ciepło: „Jednorazowym, ale poważnym zastrzykiem finansowym dla budżetu była sprzedaż w 2004 r. części udziałów miasta w Gdańskim Przedsiębiorstwie Energetyki Cieplnej za kwotę 138 mln zł. Kwota ta pozwoliła na zapewnienie udziału własnego w procesie aplikowania o środki finansowe w pierwszym okresie członkostwa w Unii Europejskiej. GPEC natomiast zyskał profesjonalnego inwestora branżowego, który przekształcił firmę w nowoczesne i innowacyjne przedsiębiorstwo branży energetycznej".

Paweł Adamowicz „zapomniał" o kilku szczegółach. Dosyć istotnych. Owszem, GPEC sprzedano w 2004 r., ale prezydent nie dodał, że stało się to mimo sprzeciwu radnych i że nabywcą strategicznego zakładu jest niemiecka firma Stadtwerke Leipzig. Teraz samorząd ma w ciepłowniczym biznesie na terenie Gdańska ledwie 18 proc. udziałów. Z tego tytułu w radzie nadzorczej zasiadał... Paweł Adamowicz, który – co najistotniejsze – jako przedstawiciel miasta sam się do tej rady oddelegował. I nie stracił na dobrej kondycji firmy, od 2004 r. zarobił w niej prawie milion złotych. Rzeczywiście można nazwać to cywilizacyjnym skokiem, ale na kasę. Zwłaszcza że sprzedaż publicznych spółek mających monopol w jakiejkolwiek dziedzinie, a będących w dobrej kondycji, jest absurdem.

Pieniądze i sposoby ich pozyskiwania dla miasta są bardzo ważnym tematem przytaczanej książki. Adamowicz pod niebiosa wychwala dobrodziejstwo Unii Europejskiej, która od 2004 r. sypie bezzwrotnymi dotacjami. „Innym, choć niełatwym sposobem zdobywania kapitału potrzebnego dla rozwoju miasta jest partnerstwo publiczno-prywatne (PPP). Miasto, dysponując atrakcyjnymi terenami, może przyciągnąć atrakcyjnego inwestora, dysponującego nie tylko własnymi środkami finansowymi, lecz także zdolnością kredytową do uzyskania zewnętrznego finansowania. Miasto określa cel publiczny partnerstwa, który jest potem realizowany przez prywatnego inwestora" – czytamy w tym samym rozdziale. Teoretycznie to święta racja, ale przyjrzyjmy się, jak to „niełatwe" partnerstwo miasta z deweloperami konsumowane jest w praktyce.



Przed ubiegłorocznymi wyborami samorządowymi Paweł Adamowicz wydał panegiryk na swoją cześć. Prezydent chwali się w nim m.in. kontrowersyjną prywatyzacją spółki dostarczającej ciepło mieszkańcom Gdańska

KTO TU RZĄDZI

Zanim wytłumaczymy jeden z mechanizmów zarabiania deweloperów na miejskiej kasie, przytoczmy pewną historię, dobrze pokazującą, jak nad Motławą robi się szwindle. W ramach programu Mieszkania za Grunty miasto podliczyło wymianę z jedną ze spółek. Okazało się, że firma ma dopłacić 1 mln 198 tys. zł. Co się wtedy stało? Wykonawca inwestycji – osiedla mieszkaniowego – postanowił, że „w rozliczeniu" zrobi chodnik przylegający bezpośrednio do świeżo postawionych bloków, co wydaje się absolutnym standardem. Choć tak naprawdę ścieżka była w zamkniętej części osiedla, to w dokumentach widniała jako „ogólnodostępna", zatem powinno za nią zapłacić miasto. Za wykonanie tego chodnika deweloper policzył sobie... 1 mln 199 tys. zł, a więc po ponownym przeliczeniu okazało się, że to miasto ma dopłacić niewielką kwotę. Deweloper nie jest jednak krwiopijcą, wspaniałomyślnie zrzekł się należnej dopłaty. Uścisk dłoni, pamiątkowa fotografia, kolejny biznes zakończony obustronnym sukcesem.

Wróćmy zatem do partnerstwa publiczno-prywatnego i zastanówmy się, dlaczego deweloperzy pokochali gdański program Mieszkania za Grunty. Zasada wydaje się doskonała: miasto ma ziemię, oddaje ją firmie, firma buduje osiedla i w rozliczeniu za grunty oddaje mieszkania. Lokali komunalnych miastu wciąż brakuje, więc kierunek byłby słuszny, gdyby... i tu jest sedno sprawy.

Żeby deweloper mógł się uczciwie rozliczyć z miastem, należy, po pierwsze, obliczyć wartość gruntu, po drugie, już po budowie obliczyć wartość mieszkań, które firma oddaje. Dalej rachunek jest prosty, kwoty powinny się zgadzać, suma wartości mieszkań mniej więcej taka sama jak wartość gruntów i interes ubity. Dotarliśmy jednak do analiz, z których wynika, że ceny zazwyczaj szacowane są na niekorzyść miasta, i to w szokującej skali. Wartość działki zazwyczaj jest zaniżana, a wartość mieszkań zawyżana.

Aby sporządzić operat szacunkowy dla określonej działki, należy znaleźć porównywalny teren. Wiadomo, że w mieście ważna jest lokalizacja, odległość od centrum, mniej bądź bardziej uciążliwe sąsiedztwo zakładów przemysłowych itp. W Gdańsku często bywało tak, że do porównania brano działki z odległych dzielnic, trudne do zestawienia, mimo że

eprasa.pl 45edaead13

w najbliższej okolicy bywały przeprowadzane transakcje, które mogłyby być punktem odniesienia.

W drugą stronę robi się odwrotnie. Mieszkania, mimo że wykonane w najniższym możliwym standardzie, są wyceniane jak luksusowe apartamenty. W opracowaniu czytamy m.in. o oszustwach na naprawdę drobnych rzeczach: drzwi wycenione na 450 zł, faktyczna cena ok. 300 zł; klamka – 100 zł, cena w sklepie ok. 40 zł. Poza tym na podłogi kładzione są płytki PCV, w pokojach najtańsze wykładziny, a ściany malowane są na biało bez położenia wcześniej gładzi. Same mieszkania oferowane miastu to lokale o – delikatnie mówiąc – małej atrakcyjności, o bardzo nietypowym rozkładzie (np. na planie trójkąta), takie, których sprzedaż byłaby dla dewelopera kłopotem. Być może dlatego przy transakcji na linii miasto–deweloper tak rzadko dołączane są plany rozkładów mieszkań... Podobnie zawyżane są np. ceny garaży podziemnych. Bywa, że chodzi, jak w powyższych przypadkach, o niewielkie kwoty, ale miejmy świadomość, że mówimy o tysiącach transakcji, więc suma strat miasta jest niebotyczna.

PREZYDENT WIZJONER

Taka miejsko-deweloperska współpraca trwa w najlepsze. Od lat. Być może nie jest to wiedza dostępna dla każdego, ale organy ścigania mają świadomość procederu drenującego gdańską kasę. Efektów dochodzeń na razie nie ma, ale w końcu jesteśmy nad Motławą, więc gdańskie tempo wyjaśniania afer nie może dziwić. Aby jeszcze lepiej to zobrazować, warto się cofnąć w czasie.

> Dlaczego deweloperzy pokochali gdański program Mieszkania za Grunty? Dotarliśmy do analiz, z których wynika, że wartość działek przekazywanych przez miasto zazwyczaj była zaniżana, a wartość oddawanych przez deweloperów mieszkań – zawyżana

Przy tej okazji słyszymy opowieść jednego z byłych współpracowników Pawła Adamowicza, o którym z uśmiechem mówi „prawdziwy wizjoner". – Bo on rzeczywiście szybko i bezbłędnie, w zasadzie tuż po objęciu władzy w mieście rozszyfrował, że partnerami w biznesie będą deweloperzy. Wtedy [Adamowicz po raz pierwszy wybrany został w 1998 roku – przyp. red.] pojawiły się w Polsce łatwo dostępne kredyty walutowe i ludzie zaczęli na potęgę kupować mieszkania. Kończył się czas dyktatu firm budujących centra handlowe, zaczął się wielki boom na mieszkaniówkę. I on to przewidział – mówi nam urzędnik.

Wtedy jeszcze było jasne, że szczególnie chronione mają być tereny zielone w Gdańsku, że nie będzie można budować np. w otulinie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Ostrzegano, że niekontrolowana zabudowa może doprowadzić do zalewania części miasta, dlatego plany były bardzo restrykcyjne, a co za tym idzie, nakładały spore obostrzenia na deweloperów. Po objęciu rządów przez Pawła Adamowicza tendencja się zmieniła, i to diametralnie, na korzyść firm budujących, choć on konsekwentnie zastrzegał, że wszelkie decyzje podejmowała zawsze Rada Miasta, a nie prezydent.

Nie można jednak nie zastanawiać się nad osobistymi korzyściami prezydenta. Radni PiS dopytywali w ubiegłym roku w interpelacji o 37 tys. akcji dewelopera Robyg, które miał Paweł Adamowicz (sprawę ujawniła „Gazeta Gdańska"). Czy akurat w tym czasie podlegający prezydentowi urzędnicy występowali o zmianę planów zagospodarowania przestrzennego, której beneficjentem byłaby firma? Pytanie o tyle zasadne, że Adamowicz miał sugerować rozwiązania korzystne dla dewelopera w prywatnych rozmowach, jak podaje portal Wybrzeze24.pl, nawet podczas mszy świętej.

W 2016 r. w tygodniku „Sieci" pytaliśmy z kolei o inwestycję Neptun Park w Gdańsku-Jelitkowie. Prezydent wraz z małżonką oraz jego teściową kupili w uroczym osiedlu trzy mieszkania z kilkudziesięcioprocentowym rabatem. W tym samym czasie zapadła decyzja, że deweloper może zabudować teren nieco gęściej i podnieść budynki o jedną kondygnację, co stanowiło dla niego oczywisty zysk. Decyzję podjęła oczywiście Rada Miasta, nie prezydent...

Ta niezwykła synergia pomiędzy miastem a deweloperami musiała zaowocować wzajemnym docenieniem. Miasto Przyjazne Inwestorom to tytuł, jaki uzyskał Gdańsk w konkursie Prime Property Prize 2015. Nagrodę odebrał zastępca prezydenta Gdańska Andrzej Bojanowski. Do niego jeszcze wrócimy, na razie napomknijmy tylko, że jego brat Daniel Bojanowski zasiada bądź zasiadał we władzach licznych spółek z branży nieruchomości (m.in. kolejnych mutacjach firmy Euro Styl), które robiły wielomilionowe interesy z miastem.

Jaka jest cena za te ukłony wobec deweloperów? Specjaliści, z którymi rozmawiamy, mówią wprost: straszna i wyniszczająca dla miasta. Budowy w strefie ochronnej ujęć wody, likwidacja ogródków działkowych, by teren przeznaczyć pod osiedle, próba zmiany zagospodarowania przestrzennego tak, by deweloper mógł zbudować bloki na dawnym boisku klubu Gedania, absurdalna zabudowa dzielnicy Morena wysokimi budynkami (choć chwilę wcześniej miasto nie godziło się na dużo niższą zabudowę) czy budowa centrum handlowego Metropolia na zbiorniku retencyjnym – to tylko niektóre przykłady kierunku, w jakim zmierza polityka rozwoju miasta. Tym bardziej dziwi nas kolejne, najnowsze wyróżnienie, które już zdążyło zaszokować branżę.

Biuro Rozwoju Gdańska za „wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinach architektury i budownictwa oraz planowania i zagospodarowania przestrzennego" otrzymało nagrodę od... Ministerstwa Inwestycji i Rozwoju.

eprasa.pl 45edaead13

– Do oceny poszczególnych prac – i w zakresie twórczym, i w zakresie architektonicznym, i zagospodarowania przestrzennego – wyłonione były komisje składające się z ekspertów. W tym przypadku była to komisja na czele z prof. Zbigniewem Kledyńskim, szefem Polskiej Izby Inżynierów Budownictwa, która wyłoniła, zdaniem ekspertów, najlepsze prace i minister je nagrodził. Ale wyłaniali je niezależni eksperci – mówi nam Artur Soboń, wiceminister inwestycji i rozwoju.

Nagrodzić akurat to miasto za coś takiego? To niedorzeczność. Najwyraźniej w tym obszarze dobra zmiana ciągle w planach.

STRACH ADAMOWICZA

Na początku lutego Aleksandra Dulkiewicz powiedziała „Gazecie Wyborczej", że Paweł Adamowicz poważnie liczył się z zatrzymaniem przez służby. Jego prawnicy już we wrześniu przygotowali specjalne oświadczenie, które miało zostać upublicznione, gdyby prezydent trafił do aresztu. Magdalena Adamowicz mówiła w TVN24: „Baliśmy się. Nawet Paweł mówił nam, jak się zachowywać, jeżeli o 6.00 rano zacznie ktoś pukać do drzwi. Zdarzało mi się, że jak usłyszałam rano podjeżdżający samochód pod oknem, to wyskakiwałam do okna i patrzyłam, czy przypadkiem nie wysiada większa grupa mężczyzn, którzy zaraz wtargną, rzucą Pawła na podłogę przy dzieciach, zaczną przeszukiwać nasz dom".

Nasi rozmówcy z gdańskiego ratusza dopowiadają, że prezydent autentycznie bał się CBA: – Na zewnątrz robił dobrą minę, ale w środku był kłębkiem nerwów. Nie miał spokojnych nocy. Brał pigułki na sen.

Prezydent przez wiele lat mógł się czuć bezkarny. Wszystko zaczęło się sypać w 2013 r., gdy Centralne Biuro Antykorupcyjne zainteresowało się jego majątkiem, a prokuratura „zgarnęła" pięć urzędniczek z Wydziału Gospodarki Komunalnej UM. Dziś zasiadają one na ławie oskarżonych razem z 40 innymi osobami z zarzutami łapówkarstwa w zamian za przyznawanie mieszkań komunalnych.

Co się stało z ich przełożonymi? Dyrektor wydziału Dimitris Skuras utrzymał stanowisko w radzie nadzorczej Gdańskiego TBS Sp. z o.o., stałą pracę zaś zmienił – z Urzędu Miasta powędrował do miejskiej spółki Gdańskie Melioracje na stanowisko dyrektora ds. technicznych. W momencie wybuchu afery podlegał wiceprezydentowi Maciejowi Lisickiemu. Ten szybko został przez Adamowicza... przesunięty na mniej eksponowane stanowisko, do czego jeszcze wrócimy.

Nieprawidłowości przy gospodarce mieszkaniami komunalnymi w Gdańsku to kolejny temat rzeka. Powrócił niedawno, gdy się okazało, że szef Europejskiego Centrum Solidarności zajmuje taki lokal. Według naszych rozmówców mieszka sam, ale do urzędu zgłosił jeszcze trzech współlokatorów. Inaczej nie otrzymałby tak dużego lokum (ponad 65 mkw.).

Według naszych informatorów ława oskarżonych w sprawie afery komunalnej powinna być o wiele dłuższa i sięgać nie tylko do wysokich rangą urzędników ratusza, lecz nawet do Sejmu.

RODZINA NA SWOIM

Zwłaszcza dziś, po śmierci Pawła Adamowicza, dobrze widać, jak bardzo związani byli z nim współpracownicy z ratusza. Mimo nawału obowiązków potrafił znajdować czas nawet na weekendowe spotkania ze swoimi młodymi asystentami, których przy sobotniej kawie troskliwie wypytywał np., jak radzą sobie na studiach. Dziś, wspominając te rozmowy, opisują go jako swego mentora.

Choć pełnienie funkcji prezydenta pochłaniało go bez reszty – również w weekendy – uchodził za człowieka niezwykle rodzinnego.

Pomiędzy 2011 a 2013 r. część ze swoich mieszkań (co najmniej cztery) przepisał na żonę lub innych członków rodziny. Kwestie mieszkaniowe naznaczyły małżeństwo Adamowiczów od samego początku. A nawet wcześniej, bo jeszcze przed ślubem pani Magdalena dostała z miejskiej puli 72-metrowy strych na Starym Mieście. Nie kwalifikowała się do otrzymania tego lokalu, bo była wówczas mieszkanką Słupska. Mimo to wystarczyło tylko parę miesięcy cierpliwości i lokal został jej przyznany. Kilka tysięcy gdańskich rodzin wciąż czekało.

Z pewną zależnością od władz miasta wiąże się też kariera naukowa pani Magdaleny. Ponad dekadę temu została ona adiunktem w gdańskiej Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w... Zakładzie Hotelarstwa, mimo że na Uniwersytecie Gdańskim zajmowała się ubezpieczeniami morskimi. Prof. Tadeusz Huciński, późniejszy rektor uczelni, tak wspominał swoje pierwsze spotkanie z panią doktor: „Miała bardzo jasno określone oczekiwania finansowe. Czułem, że powinienem je spełnić, choć pierwsze zatrudnienie to decyzja rektora prof. Wojciecha Przybylskiego, od lat szefa gdańskiej rady sportu przy prezydencie". Szkoła miała poważne problemy z prawem i finansami. W 2012 r. (już po odwołaniu rektora Hucińskiego przez minister Kudrycką, jak się później okazało – bezprawnym) władze AWFiS wystąpiły do miasta o pożyczkę w wysokości 2 mln zł. Otrzymały ją, a po kolejnym roku większość długu (1,7 mln zł) anulowano, by – zgodnie z deklaracją – wybudować Halę Gimnastyczną Leszka Blanika – Centrum Innowacyjno-Wdrożeniowe. Blanik to wybitny polski gimnastyk, mistrz olimpijski i mistrz świata, wspierający Adamowicza w kampaniach wyborczych, a w poprzedniej kadencji poseł PO. Hala w końcu stanęła, choć mało kto pamięta już o niegospodarności uczelni, z której powstały długi, i o desperackim ratowaniu kasy AWFiS, w ramach którego np. sprzedano boisko do rugby pod... budowę mieszkań. Jak to w Gdańsku.

Polityczna kariera Pawła Adamowicza pozwoliła też rozwinąć skrzydła jego teściowej. I nie chodzi tylko o nabycie mieszkania z wysoką bonifikatą na osiedlu Neptun Park, co opisywaliśmy w „Sieci" przed laty. Janina Abramska to potentat trójmiejskiego rynku ubezpieczeń. Polisy wykupują u niej urzędnicy, miejskie instytucje i przedsiębiorcy, w jakiś sposób od miasta zależni. Prezydent zarzekał się, że teściowa nie korzysta z pozycji zięcia. Można było mu wierzyć na słowo do czasu, gdy portal wPolityce.pl w październiku 2018 r. opisał pełnomocnictwo, które Abramska dostała w 2010 r. (na czas

eprasa.pl 45edaead13

nieokreślony) na wszelką działalność ubezpieczeniową od Pomorskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. W tamtym czasie prezesem spółki była Teresa K., kiedyś minister w rządzie Jerzego Buzka. Nazwisko skracamy, bo w lipcu była minister usłyszała zarzut wyrządzenia PSSE szkody w wysokości 3,5 mln zł na skutek niedopełnienia obowiązków. Według śledczych mózgiem grupy przestępczej w Strefie był Wojciech K. (przebywa w areszcie tymczasowym), syn Teresy. Afera zatacza coraz szersze kręgi. PSSE to jedna z najważniejszych spółek w regionie, 12 osobom przedstawiono już 117 zarzutów (rozszerzono je w styczniu br.), a dotyczą – jak mówią prokuratorzy – „poważnych przestępstw gospodarczych".

Krótko po udzieleniu pełnomocnictwa Abramskiej Teresa K. trafiła do rady nadzorczej Międzynarodowych Targów Gdańskich. Większość udziałów w MTG SA (firma organizuje m.in. najważniejsze gdańskie imprezy targowe) ma miasto Gdańsk. Nie dziwi więc, że prezesem spółki jest Andrzej Bojanowski. Do początku 2017 r. był on wiceprezydentem Gdańska (przez osiem lat, wcześniej na stanowisku skarbnika miasta i we władzach Zarządu Morskiego Port Gdańsk). Bojanowski po odejściu z ratusza na kilka miesięcy został prezesem Areny Gdańsk, kolejnej miejskiej spółki, zarządzającej stadionem Lechii. Przeniósł się tam bezpośrednio z rady nadzorczej Areny. Jego miejsce w radzie zajęła Aleksandra Dulkiewicz. Podobnie w ratuszu – objęła po nim funkcję zastępcy Pawła Adamowicza. Wtedy przestała być radną, a jej miejsce w radzie zajął Mateusz Skarbek, syn Jacka Skarbka (prezesa Gdańskiej Infrastruktury Wodociągowo-Kanalizacyjnej). Skomplikowane? Jak to w gdańskim układzie. Ale to dopiero początek, więc prosimy o mocne skupienie.

> Gdańsk zmieniał się nie będzie. Ma być tak, jak było. Zbyt wiele środowisk i grup biznesowych oraz politycznych uwiło sobie tutaj wygodne gniazdka. Gwarantem utrzymania tego status quo ma być Aleksandra Dulkiewicz

LABIRYNT FUCH

We wspomnianej Arenie Gdańsk poza Aleksandrą Dulkiewicz w radzie nadzorczej zasiada Teresa Blacharska, jednocześnie pełniąca funkcję... skarbnika miasta. To nie koniec jej licznych obowiązków (każdy dodatkowo płatny), znajdziemy ją też bowiem w radzie spółki Gdańskie Autobusy i Tramwaje. W zamierzchłych czasach (przy drugiej kadencji Adamowicza) zasiadała w radzie spółki GPEC, o której już wspominaliśmy, ale jeszcze do niej wrócimy. Do 2016 r. w radzie Areny Gdańsk zasiadał też Krzysztof Lodziński, były radny PO. Jego żona Emilia jest przewodniczącą miejskiej Komisji Zagospodarowania Przestrzennego. A brat pani Emilii, Rafał, to kierownik ds. technicznych w jednej z gdańskich firm deweloperskich.

Inny z byłych wiceprezydentów – Wiesław Bielawski (zastępcą Adamowicza był przez 16 lat, odpowiadał za politykę przestrzenną, to o nim w Gdańsku mówią „Walizeczka") – prosto z gabinetu w urzędzie trafił do zarządu Gdańskiej Infrastruktury Wodociągowo-Kanalizacyjnej, gdzie wspiera wspomnianego Jacka Skarbka. Bielawski do lutego nadzorował spółkę Gdańskie Usługi Komunalne. I to dwutorowo, raz jako wiceprezydent, drugi – jako członek rady nadzorczej. Skarbek zaś to członek rady nadzorczej spółki Gdańskie Wody (w całości należy do miasta), a wcześniej rady spółki Saur Neptun Gdańsk (dostarcza wodę gdańszczanom, mniejszościowym udziałowcem jest miasto).

Zastępcą Adamowicza przez wiele lat był również Maciej Lisicki. Dziś jest prezesem spółki zarządzającej autobusami i tramwajami (w jej zarządzie od czterech lat). Dodajmy, że zanim poszedł w biznes, w ratuszu nadzorował tę spółkę jako wiceprezydent.

Inna z ważnych urzędniczek – Danuta Janczarek (sekretarz miasta) – to członek rady nadzorczej Zakładu Utylizacyjnego i Portu Czystej Energii.

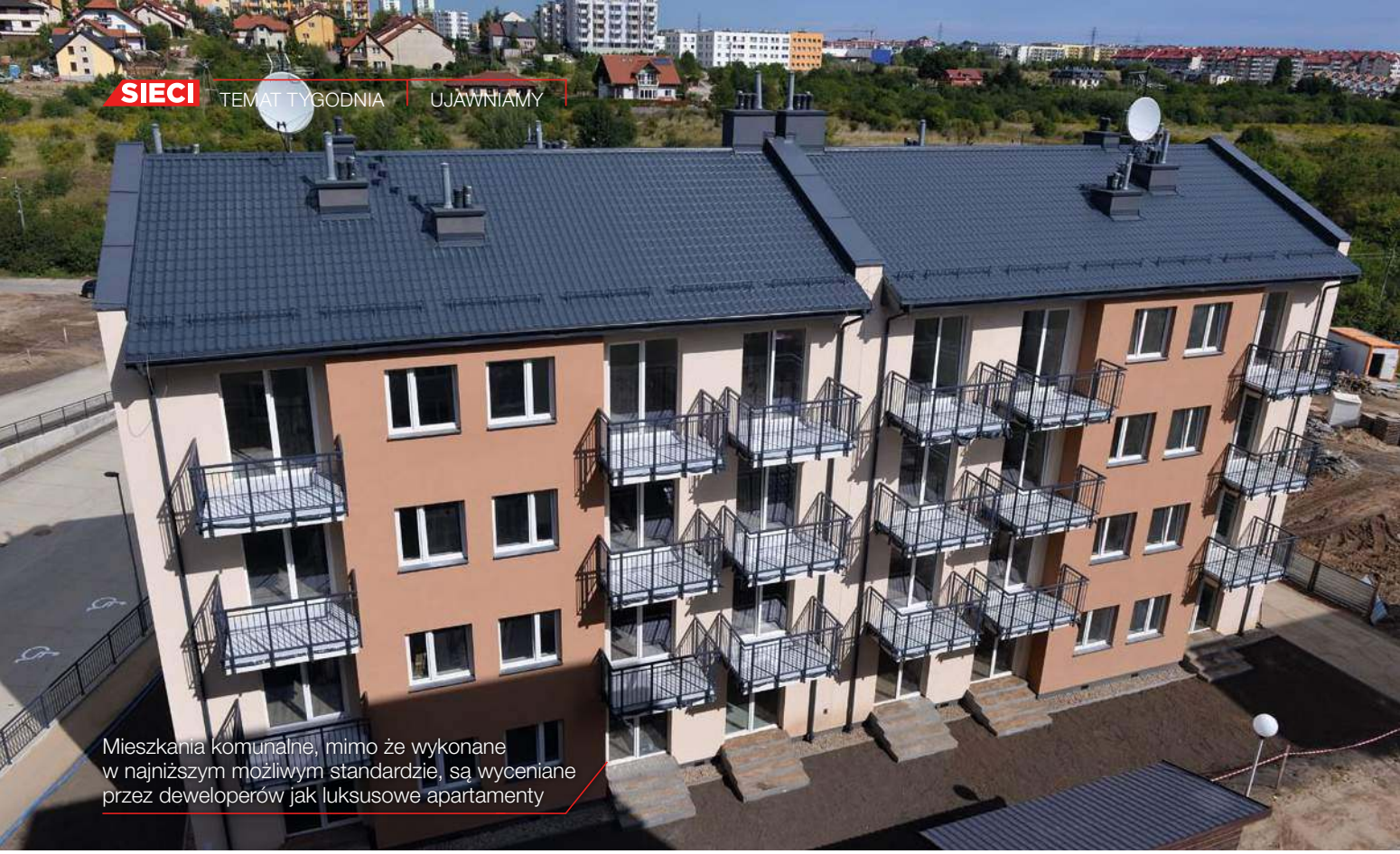
Jeszcze nie ponad siły, ale na pewno ponad normę, pracuje pani Iwona Bierut, od dawna dyrektor Wydziału Polityki Gospodarczej Urzędu Miasta Gdańska. Figuruje w radach nadzorczych spółek GPEC, GIWK oraz Centrum Targowe, wcześniej m.in. w radach spółek Hala Gdańsk-Sopot (szefem rady nadzorczej firmy zarządzającej Ergo Areną jest prezes gdańskiego lotniska Tomasz Kloskowski), „Żuraw" i TBS „Motława" (w tej ostatniej zasiada też Bielawski).

W 2015 r. na odcinek koordynowania procesów technicznych w GPEC została rzucona Katarzyna Bierut (wcześniej m.in. w Pomorskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej), prywatnie córka pani Iwony. Do spółki przyjęła ją bezpośrednia przełożona Anna Jakób. W tym samym czasie Iwona Bierut oceniała kandydaturę Jakób na członka zarządu. Oceniła pozytywnie. Wszystkie trzy panie do dziś świetnie sobie radzą na ważnych stanowiskach w GPEC.

W kalejdoskopie trójmiejskiej nomenklatury znajdujemy także nazwisko Macieja Glamowskiego, prywatnie szwagra śp. Pawła Adamowicza (to mąż siostry Magdaleny Adamowicz). Dziś jest prezydentem Grudziądza, ale wciąż też członkiem rady nadzorczej Pomorskiej Kolei Metropolitalnej SA, wcześniej zasiadał m.in. w zarządzie znanych nam już Międzynarodowych Targów Gdańskich.

Jak widać, Gdańsk to miasto, które łączy ludzi – w radach nadzorczych. To więzy trwałe, niegasnące, niewątpliwie przynoszące owoce. Jest gdzie je budować – miasto ma udziały w ok. 30 spółkach. Próżno szukać w nich ludzi związanych politycznie z kimkolwiek poza Platformą Obywatelską. Przez lata wypracowano system, w którym jego prominentne postacie pobierają pieniądze z kilku źródeł – na stanowiskach urzędowych, w miejskich spółkach, a dodatkowo

eprasa.pl 45edaead13



Mieszkania komunalne, mimo że wykonane w najniższym możliwym standardzie, są wyceniane przez deweloperów jak luksusowe apartamenty

Fot. Przemysław Świderski/Polska Press/Dziennik Bałtycki

zarząd Gdańska nie skąpi dla nich grosza na nagrody. Czasem ludzie ci nadzorują samych siebie.

Wymieniliśmy tylko najważniejsze spółki i ledwie część aparatu gdańskich władz. Opisanie całej tej sieci zajęłoby wszystkie strony „Sieci"...

> Gdańsk to miasto, które łączy ludzi – w radach nadzorczych. To więzy trwałe i niewątpliwie przynoszące owoce. Jest gdzie je budować – miasto ma udziały w prawie 30 spółkach

GWARANCJA UKŁADU

Tragiczna śmierć Pawła Adamowicza wymaga bezwzględnego potępienia, bez jakiegokolwiek niuansowania i szukania „ale". Urzędnik miejski został zamordowany podczas wykonywania swoich obowiązków. To w Polsce sytuacja bez precedensu.

Jaki Gdańsk po sobie zostawił? Niewątpliwie piękniejszy, ale także uwikłany w sieć powiązań, formalnych i nieformalnych, o których napisaliśmy powyżej. To miasto paradoksów, z którego wyszła „Solidarność", ale też miała swoje źródło np. afera Amber Gold. Te sprzeczności są niebezpieczne, łatwo tutaj mieszać prawdę z nieprawdą i mamić mieszkańców opowieścią o europejskości, o otwarciu, które mają zastąpić tradycyjne wartości. Gdańsk to też miasto odwróconych pojęć, czym innym jest tutaj choćby konserwatyzm. Sam Adamowicz był doskonałą tego ilustracją. Zawsze obecny na niedzielnej mszy św., ale też stający na czele czarnych pochodów promujących zabijanie nienarodzonych dzieci. Kiedyś był ministrantem (u prałata Henryka Jankowskiego), potem marzył o stanięciu w Trójmiejskim Marszu Równości na czele środowisk LGBT. Pytany o to, tłumaczył, że jego konserwatyzm po prostu się zmieniał. Widocznie nie na tyle, by nie pochować go w bazylice Mariackiej. Choć akurat ten wątek zasługuje na odrębne potraktowanie. Mówimy bowiem o Kościele gdańskim. A podkreślmy, że przymiotnik „gdański" często zasadniczo zmienia znaczenie słów.

Aleksandra Dulkiewicz mentalnie jest składową myśli swojego niedawnego szefa. W wywiadach, których udzielała chętnie, ale tylko wybranym mediom (nas odesłała do rzecznika, rzecznik nie odbierała telefonu, nie odpowiedziała na esemesy), podkreśla swój konserwatyzm i przywiązanie do wiary, lecz na tym samym oddechu słyszeliśmy feministyczne deklaracje odległe od nauczania Kościoła o lata świetlne.

Gdańsk zmieniał się nie będzie. Ma być tak, jak było. Zbyt wiele środowisk i grup biznesowych oraz politycznych przez lata inwestowało i wiło sobie tutaj wygodne gniazdka, by teraz wszystko nagle wywrócić do góry dnem. Gwarantem utrzymania tego status quo będzie – tego jesteśmy pewni – Aleksandra Dulkiewicz.

Ona też tych zmian nie chce. 21 stycznia 2019 r., tydzień po śmierci Pawła Adamowicza. Wywiad dla Radia Gdańsk (tylko teoretycznie pod rządami „dobrej zmiany"):

„Pani prezydent, dotąd mówiliśmy Olu... Teraz musimy się przestawić... Pani prezydent...". „Zawsze będę dla was Olą".

eprasa.pl 45edaead13

Musimy wygrać maj, żeby wygrać jesień



Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 45edaead13

Michał Karnowski rozmawia z Beatą Szydło, wicepremier, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości, kandydatką tej partii do Parlamentu Europejskiego

Jakie są szanse, by rok 2019 był powtórzeniem roku 2015? PiS da radę znowu wygrać?

Beata Szydło: Musimy i głęboko wierzę, że znowu wygramy. Mocne nowe propozycje, jak Nowa Arena Programowa, w mediach nazywane piątką Kaczyńskiego, na pewno nas do tego celu przybliżają. Na ostatniej konwencji widziałam ten sam entuzjazm, tę samą wiarę co w roku 2015. To dobry prognostyk. Ale nawet w tym kontekście nie ma mowy o euforii czy pewności zwycięstwa. Gdybyśmy zgrzeszyli pychą, byłby to pierwszy krok do porażki. Wiemy też, że nie ma mowy o prostej powtórce. Polska jest dziś inna niż w 2015 r., dużo się zmieniło.

Cykl zaczynają wybory do Parlamentu Europejskiego. W opinii ekspertów najtrudniejsze dla PiS. Też tak pani to ocenia?

Które będą najtrudniejsze, to się dopiero okaże, ale bez wątpienia w wyborach europejskich zadanie jawi się jako szczególne. Polega nie tylko na przekonaniu Polaków do poparcia naszego programu, lecz także na przekonaniu naszych zwolenników, by poszli do urn tak samo licznie jak w wyborach parlamentarnych czy prezydenckich. Mam wrażenie, że po ostatnich trzech latach każdy już wie, że sprawy dziejące się w polskiej polityce bardzo łączą się z tymi europejskimi. Nikt nie może już mówić, że to są dwa równoległe światy. Związek jest tak ścisły, że nie da się zmieniać Polski bez mocnego zaangażowania w politykę dziejącą się w Brukseli czy Strasburgu. I odwrotnie – presja stamtąd potrafi wpływać na sprawy krajowe. Apeluję więc do wszystkich naszych sympatyków – nie myślmy o wyborach do Parlamentu Europejskiego jako o czymś osobnym. To element naszej wspólnej walki o zmianę Polski. Musimy wygrać wybory majowe, by jesienią potwierdzić mandat do rządzenia Polską.

Inna trudność dla PiS to możliwość ingerencji w przebieg kampanii przez niektórych polityków czy urzędników unijnych, wywołania jakiegoś konfliktu obliczonego na wsparcie ideowych sióstr i braci lewicowo-liberalnych. Jak duże pani zdaniem jest to ryzyko?

Mamy świadomość, że aktywność Komisji Europejskiej czy szefa Rady Europejskiej pana Donalda Tuska w tym okresie może mieć charakter polityczny. Plan polityczny opozycji jest jasny – będą próbowali nieprawdziwie, wbrew faktom i naszym intencjom, przypisać nam jakieś skłonności polexitowe. Dlatego musimy jeszcze jaśniej i zdecydowanie podkreślać, że to czyste wymysły.

> Projekty w ramach piątki Kaczyńskiego są precyzyjnie policzone, budżet państwa jest dobrze przygotowany na ich realizację w tym roku i – co ważne – w kolejnych latach. O ile oczywiście wyborcy pozwolą naszej formacji rządzić i wszystko, co zbudowaliśmy, nie zostanie zepsute

W tej sprawie jest jakaś tajemnica. Skąd się te dywagacje biorą? Nikt w PiS nie chce z Unii wychodzić, nie ma śladu takiej debaty, dokumentu, wypowiedzi, a już trzy lata to pani partii przyszywają. Może źle na to odpowiadacie?

Jest inaczej. Ci, którzy to głoszą, w ogóle nie chcą słuchać naszych odpowiedzi, wyjaśnień, zaprzeczeń. Nie interesuje ich, jak jest naprawdę. Uznano, że ten stereotyp wymyślony przez opozycję, wzmacniany przez niektóre działania Komisji Europejskiej, jak cała akcja z rzekomym zagrożeniem praworządności, jest opłacalny wyborczo i nikogo specjalnie prawda tam nie obchodzi. Narracja o rzekomym konflikcie z Unią Europejską będzie zatem podtrzymywana, pomimo oczywistej absurdalności. PiS jest w rzeczywistości jedną z najbardziej proeuropejskich partii, bo przecież zwracanie uwagi na to, co w tej konstrukcji warto by zmienić, dowodzi troski. A spotykamy się z pewnego rodzaju szantażem – albo w pełni akceptujesz wszystko, nawet największe absurdy i pokornie wypełniasz rozkazy, albo nie jesteś Europejczykiem. Odrzucamy takie stanowisko. Ale nie tylko my. W wielu krajach Europy do głosu doszły grupy, które chcą nieco innej, mniej ideologicznej Unii. Nie zawsze nam z nimi po drodze, ale powinien to być dla brukselskich elit sygnał ostrzegawczy, że pewnych reform Unia wymaga, bo gdzieś po drodze skręciła w złym kierunku. Brexit, nad czym boleję, jest tu najgłośniejszym z możliwych dzwonków alarmowych. To duże osłabienie naszej europejskiej wspólnoty.

A konkurencja z prawej strony? Cztery lata temu partia Janusza Korwin-Mikkego odniosła spory sukces. Wprawdzie od razu po wyborach wszystko im się rozsypało, ale to nie zmienia dobrego wyniku. W tych wyborach środowiska eurosceptyczne powołały Konfederację KORWiN Braun Liroy Narodowcy z Kają Godek.

Żadnego konkurenta w wyborach nie należy lekceważyć. Wiemy, że będziemy atakowani z obu stron. Z jednej jako siła rzekomo antyunijna, z drugiej

eprasa.pl 45edaead13



jako zbyt unijna. Prawda jest taka, że nasze podejście jest racjonalne, uznające korzyści i widzące zagrożenia. I jest to podejście najlepsze dla Polski.

Pytanie, czy w ogóle da się obronić ideę Europy ojczyzn? Może to już nieodwołalnie zmierza, głównie za sprawą Niemiec i Francji, w kierunku jakiegoś unijnego superpaństwa, w którym głos mniejszych znaczy coraz mniej?

Na pewno Francja i Niemcy będą nadal dominowały i próbowały narzucać swój punkt widzenia. Wiemy o tym. Dlatego sporo zależy od wyniku zbliżających się wyborów. Nie tylko tych w Polsce. Obywatele Unii, także Polacy, mają szanse wysłać sygnał, iż chcą pewnej korekty.

Wróćmy jeszcze do Donalda Tuska. Była pani, jako ówczesny szef polskiego rządu, przeciwna jego wyborowi na kolejną kadencję na stanowisko szefa Rady Europejskiej. Czy tamte obawy się w pani ocenie potwierdziły?

Z każdym dniem jestem coraz bardziej przekonana, że miałam rację. Pan przewodniczący Tusk łamie standardy, jest jednoznacznie zaangażowany po jednej ze stron sporu politycznego w Polsce. Jego wypowiedzi w momentach szczególnych skoków napięcia w czasie ostatnich trzech lat wskazują, że obawy z roku 2016 były słuszne.

Teraz stwierdził: „Nie będę udawał, że to nie moja wojna, że to nie moje wybory, nie będę udawał bezstronnego". To może zaważyć na wyniku wyborów?

Nie sądzę. Wielu Polaków ma poczucie rozczarowania, że były premier nie potrafi się wznieść ponad swoje polityczne interesy w Polsce i pełnić swojej funkcji zgodnie z unijnymi standardami. A te zakładają, że szef Rady Europejskiej jest swego rodzaju moderatorem i organizatorem RE, czyli forum pracy rządów państw unijnych. To ważna funkcja, także dlatego, że wiele toczących się w Radzie spraw ma charakter niesformalizowany; nie do końca wiadomo, jak podejmowane są decyzje. Także te o wyborze przewodniczącego. I także dlatego przewodniczący powinien się starać być przezroczysty politycznie. Pana Tuska zaś politycznie coraz bardziej nosi. Wręcz roznosi.

Wraca na scenę krajową?

Nigdy tak naprawdę z niej nie odszedł. Przecież nawet w czasie próby tzw. puczu sejmowego czy – jak mówią inni – „ciamajdanu" w grudniu 2016 r. wszedł do gry, próbując podgrzać temperaturę swoim wystąpieniem we Wrocławiu i niemądrymi słowami o rzekomym kolejnym „polskim grudniu". Do niedawna uważałam, że raczej nie będzie zainteresowany pełnym powrotem. Ale może coś poszło nie tak, może perspektywa dalszej kariery unijnej okazała się dla niego nie tak wspaniała, bo ostatnio wyraźnie zaczyna sondować możliwość powrotu. Pewnie analizuje, sprawdza możliwości. Myślę, że ostatecznej decyzji jeszcze nie podjął.

To groźny przeciwnik?

Na pewno bezwzględny, cyniczny i sprawny w eliminowaniu swoich wewnętrznych przeciwników politycznych. Dlatego jego powrotu raczej winni się obawiać ci, którzy dzisiaj przewodzą opozycji.

eprasa.pl 45edaead13



Pani partia wyraźnie ostatnio łagodzi kanty, wygasza fronty, łagodnieje. To na pewno lepsze niż wysokie trzymanie własnego sztandaru, niż nazywanie spraw po imieniu?

Dyskusja dotycząca taktyki wyborczej toczy się zawsze w każdej partii. Czy lepiej mobilizować swoich wiernych wyborców, czy próbować dotrzeć także do tych, których zbyt wyrazisty język mógłby odstraszyć.

Szukanie słynnego centrum?

Z tym szukaniem centrum to jak z szukaniem eliksiru młodości czy kamienia filozoficznego – trudna sprawa. Chodzi o coś innego – o to, jak najskuteczniej opowiedzieć o programie PiS, który gwarantuje realizację interesów zdecydowanej większości Polaków. Jak nie pozwolić, by narzucone przez opozycję i część mediów emocje, konflikty o poboczne, nieistotne wydarzenia czy wypowiedzi przykryły istotę naszej propozycji. Nasi przeciwnicy ku temu dążą, nie chcą rozmawiać o programie, liczbach, nie chcą porównywać, kto lepiej rządzi. Oni chcą wyłącznie, przepraszam za potoczne słowo, emocjonalnej naparzanki.

Takich jak rzekoma afera „dwóch wież", taśm Gerarda Birgfellnera?

To akurat była próba uderzenia bezpośrednio w prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Ale w tym przypadku opozycja wpadła we własne sidła. Sprawa ta potwierdziła bowiem krystaliczną uczciwość prezesa PiS. Wyjaśnienia jednak wymaga, kto tę prowokację zorganizował. Podobne prowokacje będą się powtarzały. Wiemy o tym i musimy zachowywać nerwy na wodzy. Szczególnie w okresie zbliżających się wyborów. A pamiętajmy, że Polska jest jednak trochę inna niż w 2015 r.

Co ma pani premier dokładnie na myśli?

Po pierwsze, Polska jest dziś krajem zamożniejszym, lepiej rozwiniętym. Po drugie, dołączyło do nas kolejne pokolenie wyborców, które nie przeżyło tak mocno, jako dorośli ludzie, rządów ekipy PO-PSL. Po trzecie, postępująca laicyzacja i odchodzenie od tradycyjnych wartości. To nie oznacza rezygnacji z naszych sztandarów, naszych zasad programowych. Gdyby tak miało się stać, to ja bym w takiej polityce być nie mogła. Natomiast na pewno musimy szukać adekwatnych do wyzwań naszych czasów sposobów, jak najskuteczniej opowiadać o tym, co proponujemy i dlaczego to proponujemy. Chcemy też pokazać, że nie spoczywamy na laurach, stąd ogłoszony przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego ambitny program pięciu propozycji.

Piątka nie jest propozycją zbyt hojną? Stać nas na dołożenie jeszcze 35–40 mld zł rocznie wydatków prorodzinnych, prospołecznych?

Rozmawiamy po posiedzeniu Rady Ministrów, na którym jeszcze raz dokładnie omawiano te propozycje. Potem spotkaliśmy się w wąskim gronie, by dograć szczegóły. Projekty są precyzyjnie policzone, budżet państwa jest dobrze przygotowany na realizację tych nowych zadań w tym roku i – co ważne – w kolejnych latach.

eprasa.pl 45edaead13

Bo już słyszałam opinie, że to tylko na rok wyborczy, a potem nie wiadomo. Nie – w kolejnych latach, o ile oczywiście wyborcy pozwolą naszej formacji rządzić i wszystko, co zbudowaliśmy, nie zostanie zepsute – na te projekty też będą zabezpieczone pieniądze. Sądzę, że dorobek naszych rządów pokazuje, że nie rzucamy słów na wiatr, że jesteśmy wiarygodni. Każdy też już chyba rozumie, że we współczesnej gospodarce rozsądne napędzanie jej projektami społecznymi ma sens. Przecież te pieniądze w dużej części do budżetu wracają. Te wydatki to jedno z kół zamachowych naszej gospodarki. A w piątce Kaczyńskiego są nie tylko programy społeczne, lecz także rozwiązania, które mają dać impuls przedsiębiorczości, jak zwolnienie z PIT osób do 26. roku życia. To zaowocuje.

Wielu ludzi martwi się, czy nie wzrośnie zadłużenie kraju. Opozycja straszy drugą Grecją.

Straszyli tym samym, gdy zaproponowaliśmy program Rodzina 500+. Platforma zawsze przedstawiała się jako partia „znająca się na gospodarce". A prawda jest taka, że PiS zna się na niej dużo lepiej. Nasz kraj się rozwija. Dobrze wykorzystujemy koniunkturę gospodarczą. Prowadzimy bardzo konserwatywną politykę finansową. Deficyt finansów państwa mimo poważnych transferów społecznych spada. Porównajmy to z sytuacją, kiedy PO, nawet przejadając OFE, miała deficyt dużo większy. Pamiętamy, że obowiązują nas unijne normy dotyczące finansów publicznych, jesteśmy stale oceniani przez agencje ratingowe. I te oceny są dobre.

Wciąż trudno zrozumieć, dlaczego za PO problemem były nawet 2 mld na cokolwiek. Gdzie były te pieniądze?

My to widzieliśmy. Pamiętam, że kiedy w 2015 r. ruszaliśmy z kampanią, Henryk Kowalczyk przygotował wyliczenie, iż z rozmaitych działań naprawczych i uszczelniających możemy pozyskać ponad 70 mld zł rocznie. Wyśmiewano nas wtedy. Rzeczywistość przyznała nam rację. Opozycji straszącej ową drugą Grecją odpowiem jeszcze raz słowami, za które kiedyś mnie atakowała: wystarczy nie kraść i dobrze rządzić. PiS, jak widać, to umie.

Czy to nie wystarczyłoby na wyborczą agendę? Czy trzeba wchodzić w aż tak spokojny, tak mało wyrazisty pod względem ideowym tryb kampanijny? Może odpowiedź jest w kampanii 2015 r.: czym PiS wtedy wygrało – twardością czy maskowaniem? A może jeszcze czymś innym?

Przede wszystkim entuzjazmem ludzi. Obietnicą prawdziwej, nieudawanej zmiany. I ta prawdziwa, obiecana zmiana się dokonuje. Jesteśmy wiarygodni. Dlatego obietnice dziś składane też będą dotrzymane. Ale wracając do 2015 r., nie ma co ukrywać, że swoje znaczenie miało też postawienie przez prezesa Kaczyńskiego na ludzi, którzy wcześniej nie byli na pierwszej linii. Myślę tu przede wszystkim o Andrzeju Dudzie, za którego kampanię odpowiadałam.

> Plan polityczny opozycji jest jasny: będą próbowali, wbrew faktom i naszym intencjom, przypisać nam jakieś skłonności polexitowe. Dlatego musimy zdecydowanie podkreślać, że to czyste wymysły

À propos pani premier i prezydenta Dudy, czy ta polityczna relacja wytrzymała próbę czasu?

Były różne przejścia, jak to w polityce bywa, ale dziś wszystko jest w porządku. Spotykamy się, rozmawiamy, lubimy.

Ostatnio pani Zofia Romaszewska stwierdziła, że „politycy PiS nie okazują szacunku prezydentowi Dudzie" w dostatecznym stopniu, bo „wielu dawnych kolegów zazdrości prezydentowi". Może to jest jakiś problem? Był jednym z działaczy, tak wysoko zaszedł. To potrafi budzić złe emocje.

Słyszałam tę wypowiedź, ale nie wiem, co pani Romaszewska miała dokładnie na myśli, kogo konkretnie, jakie sytuacje. To bardzo duże, chyba za duże, uogólnienie. Na pewno w czasie tych ostatnich czterech lat sporo się wydarzyło, z obu stron były popełniane błędy. Ale dla nas nie ma wątpliwości, że jeżeli tylko PiS i pan prezydent będą szli razem, to odniosą sukces. Ludzie tego oczekują, ludzie tego chcą. Niedawno miałam okazję być z panem prezydentem także w swoim okręgu wyborczym i widziałam, z jak ogromnym szacunkiem oraz radością jest witany. Jest moc.

Czyli nie ma tematu kandydata Zjednoczonej Prawicy w wyborach prezydenckich? Były plotki, że mogłaby nim być Beata Szydło.

Beata Szydło na razie walczy o mandat posła do Parlamentu Europejskiego i myśli o tym, jak tam pracować najlepiej dla Polski. Prezes Jarosław Kaczyński bardzo wyraźnie powiedział, że prezydent Andrzej Duda będzie naszym kandydatem w wyborach prezydenckich, i ja sobie nie wyobrażam innej kandydatury.

Na ostatniej konwencji przywitała pani widzów pytaniem: „Czy mnie jeszcze pamiętacie?". I pobrzmiewało w tym gorzkie zaznaczenie, że był jakiś okres schowania. Z drugiej strony – choć sądząc po entuzjastycznej reakcji sali z tą pamięcią jest chyba nieźle – właśnie pani wyjeżdża. Jest tu jakieś pęknięcie, jakaś nielogiczność.

Nie ma. Pozostaję w polskiej polityce. To – o ile oczywiście wyborcy obdarzą mnie swoim zaufaniem – że będę pracowała także w Brukseli i Strasburgu,

eprasa.pl 45edaead13

nie oznacza, iż się ewakuuję. Nie odchodzę od polskich spraw, nie odchodzę z polskiej polityki. Wręcz przeciwnie. Nadal jestem wiceprezesem PiS, będę aktywna w Polsce, będę starała się jak najwięcej zrobić dla kraju. To będzie oczywiście nowe doświadczenie, nowe wyzwanie, ale też nie tak całkiem nieznane. Jako premier uczestniczyłam w wielu spotkaniach w Brukseli, w tym Rady Europejskiej, intensywnie zajmowałam się problematyką europejską.

Czyli nie zakłada pani przeprowadzki?

Nie. Posłowie do Parlamentu Europejskiego mają obowiązek pracować również w swoich okręgach, w kraju.

Patrząc na przedstawione jedynki, dwójki, trójki na listach PiS, można powiedzieć, że takich decyzji może być więcej. To listy złożone z nazwisk, które politycznie ważą. Nie było poszukiwań nowych twarzy?

Nie znamy jeszcze całych list, na razie tylko czołówkę. Ale zgoda, nasze listy są mocne politycznie. Bo traktujemy te wybory bardzo poważnie.

Niektórzy komentują: żeby w Polsce przewietrzyć, przebudować scenę polityczną. To prawda?

Czytałam takie spekulacje, ale piszą je ludzie, którzy niewiele wiedzą o tym, co się dzieje w PiS. Jest odwrotnie: te listy pokazują, że jesteśmy gotowi do ciężkiej pracy, by nadal zmieniać Polskę i ochronić to, co już udało się zrobić. Bo miał rację Jarosław Kaczyński, kiedy mówił, że jeśli nasi przeciwnicy wygrają, to nie będzie tak, jak było, ale będzie dużo gorzej. Stąd na listach nie tylko moja skromna osoba, ale np. tak ważne dla naszej formacji postacie jak Joachim Brudziński.

Wysyłanie do Parlamentu Europejskiego szefa MSWiA to ruch jednak niebanalny.

Jeżeli uznamy, a my tak uznaliśmy, że majowe wybory do PE i jesienne wybory do Sejmu oraz Senatu to część tego samego wyboru rozstrzygającego o przyszłości Polski, to to zdziwienie przechodzi.

Dwa głosowania, ale jeden wybór?

Tak. Dwa głosowania, ale jeden zasadniczy wybór: co dalej z Polską? Startujemy z kampanią, która będzie trwała do początku listopada, kiedy najprawdopodobniej odbędą się wybory parlamentarne. Podobnie było w 2015 r.: gdy tylko skończyła się kampania prezydencka, od razu płynnie przeszliśmy do kampanii parlamentarnej. Proszę sobie przypomnieć: na konwencji czerwcowej pojawił się prezydent elekt Andrzej Duda. I mocno ruszyliśmy po zwycięstwo!

> Pozostaję w polskiej polityce. To – o ile oczywiście wyborcy obdarzą mnie swoim zaufaniem – że będę pracowała także w Brukseli i Strasburgu, nie oznacza, iż się z Polski ewakuuję

Teraz, nie wchodząc w szczegóły, będzie podobnie: mocny, dynamiczny start, jedna ekipa, ciągły wysiłek, ustawiczny kontakt z ludźmi, z wyborcami.

Można natomiast przewidzieć pytania o pani język angielski. Oczywiście większość posłów do PE to nie są lingwiści, ale jednak znajomość języka ułatwia życie. Jak z tą sprawą u pani premier?

Wszyscy, których to dotyczy, intensywnie nad tym od miesięcy pracują. Ja także. Nie jest to łatwe, szczególnie jeśli ma się tysiące innych zajęć, ale daję radę.

A jak odpowiedziałaby pani Robertowi Biedroniowi, który komentując listy PiS do europarlamentu, stwierdził, iż „myślał, że dinozaury wyginęły”?

Są na listach Koalicji Europejskiej, a więc partii, z którymi Robert Biedroń, jeśli dobrze pamiętam, chciałby współrządzić.

Partia Wiosna stawia sobie za cel przepędzenie Kościoła z życia publicznego, radykalne ograniczenie praw wierzących. Czy na tle wspomnianych procesów laicyzacyjnych to możliwe?

Jest to bez wątpienia niebezpieczne. Na to nakłada się atak na Jana Pawła II, próba zszargania dobrego imienia tego świętego i wielkiego Polaka, o czym pisali państwo ciekawie na łamach tygodnika „Sieci” dwa tygodnie temu. Musimy bronić praw wierzących. Z dużą wnikliwością obserwuję debatę pomiędzy małopolską kurator oświaty panią Barbarą Nowak a zwolennikami wprowadzonej przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego tzw. Karty LGBT+...

...która zakłada wielkie przywileje dla tej grupy oraz, co szczególnie przeraża, jakichś komisarzy LGBT wysyłanych do szkół.

Reakcja kurator Barbary Nowak była spokojna i precyzyjna, wskazała, do czego ta Karta LGBT+ się odwołuje, co naprawdę się kryje za wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia. A to przecież szybka seksualizacja dzieci, nawet przedszkolaków.

Jak się przed tym bronić?

Presja jest potrzebna, odpowiedzi muszą padać na różnych polach: samoorganizacji, mediów, kultury i samego Kościoła.

Na tym tle wielu zaskoczyła decyzja PSL, by przyłączyć się do progresywnej, tęczowej Koalicji Europejskiej. Panią też?

Nie miałam specjalnych złudzeń co do PSL, ale to jednak coś, czego sobie nie wyobrażałam. Nie sądziłam, że zdecydują się na tak otwarty akces do środowisk tak dalekich od ich wyborców.

eprasa.pl 45edaead13



To kiedy ludowcy oszukują: kiedy w terenie przedstawiają się jako formacja konserwatywna czy w Warszawie, kiedy idą ramię w ramię z aktywistami ruchów prohomoseksualnych?

Nie wiem, czy do końca rozumieją, co zrobili, gdzie weszli. Wincenty Witos, na którego tak chętnie się powołują, gdyby żył, pewnie przecierałby oczy ze zdumienia. Wygląda, jakby chęć zdobycia kilku mandatów w Parlamencie Europejskim odebrała im zdolność analizy. Uważam, że PSL może się na tym poślizgnąć. Na wsi tym aliansem traci wiarygodność. A im dalej, tym będzie gorzej, bo świadomość, że głosując na kandydata PSL, można dać mandat komuś zupełnie innemu, będzie wśród wyborców narastała.

Sama Koalicja Europejska zaś – oprócz tego, że chyba zamyka dyskusję, która strona sporu w Polsce naprawdę jest postkomunistyczna – tworzy jakąś nową jakość? Jest groźna dla PiS?

Jak wcześniej wspomniałam, żadnego przeciwnika politycznego nie należy lekceważyć. Każdego należy szanować jako rywala, każdy ma taką samą możliwość zabiegania o głosy. A Koalicja Europejska będzie zapewne wspierana przez część sił z Brukseli i dużą część mediów. Nie sądzę jednak, by ten projekt przetrwał dłużej niż najbliższe wybory. Żadnego spoiwa poza antypisem tam nie widzę, a to może być za mało w dłuższej perspektywie.

Pani obóz polityczny dużo zrobił, by poprawić nie tylko relacje z Unią, lecz także z Izraelem. To się jednak nie udaje. Pamiętam szczyt Grupy Wyszehradzkiej z premierem Beniaminem Netanjahu w lipcu 2017 r. w Budapeszcie, z pani udziałem – odbył się z sukcesem. Planowany na luty został odwołany w wielkiej awanturze. Dlaczego? Co się stało w międzyczasie?

Polskie państwo robi bardzo dużo, by te relacje były dobre. Polem konfliktu jest historia. Zaczęło się od sporu wokół nowelizacji ustawy o IPN. Wycofaliśmy się z tego dla dobra tych relacji, ale atak niestety trwa. Atak dla mnie niezrozumiały, bo Polacy, tak jak Żydzi, byli ofiarami strasznej niemieckiej okupacji.

Pojawiają się głosy, by może dać sobie spokój z tym tematem, odpuścić relacje z Izraelem. Może faktycznie tak trzeba?

Te relacje są ważne, powinny być dobre, choć nie jest to łatwe. Być może, gdy czasami za dużo się ustępuje, to też się traci.

Wyczuli naszą słabość?

Być może uznali z jakichś powodów, że mogą sobie pozwolić na dużo więcej, niż powinni. Mówiłam, że polem konfliktu jest nasza wspólna historia. I na tym polu trzeba przede wszystkim podejmować skuteczne działania. Docierać z prawdą historyczną tam, gdzie jest ona nieznana lub wypaczana. Robimy to, ale obecna sytuacja pokazała nam, jak wiele jest jeszcze do zrobienia. Jestem inicjatorką budowy w Oświęcimiu Muzeum Pamięci Mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej, mającego pokazywać historię ludzi, którzy stali się ofiarą strasznej, niemieckiej machiny uruchomionej w Auschwitz i jednocześnie nieśli pomoc tym, którzy byli ofiarami tego obozu. Marzę o tym, by wycieczki, także z Izraela, przyjeżdżające do Muzeum Auschwitz, byłego niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady, poznały prawdę o losie Polaków w czasie niemieckiej okupacji.

Na razie jednak mamy gorzką konstatację, że państwo polskie, poprzez Polską Akademię Nauk, organizuje konferencje takie jak w Paryżu o rzekomo nowej polskiej szkole badania Holokaustu, gdzie padają słowa straszliwe, nieuczciwe, nacechowane emocjonalną niechęcią do Polaków.

Stanowcza reakcja premiera Mateusza Morawieckiego na ostatnie sytuacje wskazuje, że granica naszej dobrej woli została przekroczona. A wiele opiniotwórczych, światowych środowisk staje dziś po naszej stronie.

eprasa.pl 45edaead13

Grabarz ludowców

Władysław Kosiniak-Kamysz daje się rozgrywać jak dziecko Donaldowi Tuskowi, który mami go mirażami premierostwa



STANISŁAW JANECKI

Już na początku stycznia 2019 r. stało się jasne, że prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego Władysław Kosiniak-Kamysz będzie dążył do przyłączenia ludowej partii do tzw. Koalicji Europejskiej, choć formalnie jej powołanie ogłoszono dopiero 1 lutego 2019 r. W „Rzeczpospolitej" z 6 stycznia 2019 r. Kosiniak-Kamysz powiedział: „Ordynacja jest nieubłagana, faworyzuje największe ugrupowania. PiS pierwszy to zrozumiał […]. Poszli do wyborów szerokim frontem i wygrali, a dzięki ordynacji rządzą samodzielnie. Musimy odłożyć na bok partyjne interesy i w finale być razem. […] Nami powinna kierować zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

Końcowe wezwanie jest o tyle zabawne, że zrealizowanie tej zasady pod przywództwem Grzegorza Schetyny jest mniej więcej tak łatwe, jak utrzymanie się Władysława Kosiniaka-Kamysza na grzbiecie najbardziej krewkiego byka z polskiej hodowli. Ale lider PSL już działał jako przyszły kandydat na szefa rządu (choć Grzegorz Schetyna nigdy takiego wariantu nie zaakceptował), a premierowski scenariusz nie byłby możliwy bez wejścia PSL do jednego opozycyjnego bloku. Rekordu Waldemara Pawlaka Kosiniak-Kamysz by nie pobił (pierwszy raz Pawlak został premierem, mając 32 lata), ale bycie szefem rządu przed czterdziestką (po wyborach do Sejmu i Senatu prezes PSL będzie miał 38 lat) go zadowala. Tym bardziej że ministrem został jako 30-latek. Prezes PSL lubi wprawdzie grać skromnego, ale jeszcze bardziej kocha władzę i zaszczyty oraz rekordy, gdy idzie o polityczne awanse.

ESTABLISHMENTOWE DZIECKO

Czas od początku stycznia do 23 lutego 2019 r. Władysław Kosiniak-Kamysz poświęcił na przekonywanie wewnątrzpartyjnej opozycji do wielkiej koalicji. Sam siebie łatwo przekonał, choć jeszcze 24 sierpnia 2018 r. w „Super Expressie" mówił: „Nie chcę promować fałszywego przekonania, że samodzielny start którejś z formacji to działanie przeciw demokracji. Nie, to działanie prodemokratyczne, bo wprowadzające pluralizm i prawdziwe wybory". Czyli jeszcze pół roku temu samodzielny start PSL był oznaką szanowania demokracji, wyrazem pluralizmu i opowiedzeniem się za prawdziwymi wyborami, a więc pod niezafałszowanym szyldem.

Kosiniak-Kamysz przekonywał kolegów w ten sposób, że wybory do Parlamentu Europejskiego przedstawiał jako test. Jeśli nie wypadłby on pomyślnie, z wielkiej koalicji na wybory do Sejmu i Senatu można by zrezygnować. Poza tym wybory europejskie to niewielkie polityczne ryzyko, gdyż dla elektoratu PSL są zdecydowanie na trzecim miejscu – po samorządowych i parlamentarnych.

Wewnątrzpartyjna opozycja twierdziła z kolei, że jeśli raz PSL się rozpuści w koalicji, na której ideowe oblicze nie będzie miało żadnego wpływu, to już się nie podniesie jako licząca się polityczna siła. Tym bardziej że owa koalicja jest przez dużą część opinii publicznej oraz większą część elektoratu PSL postrzegana jako lewicowa, tęczowa i progresywistyczna, a nie europejska.

Jako prezes PSL (od 7 listopada 2015 r.) Władysław Kosiniak-Kamysz widowiskowo nie przesuwał partii na lewo, choć też nie deklarował specjalnego przywiązania do konserwatywnych wartości. A nawet dość nerwowo reagował, gdy konserwatyzm jako rdzeń ideowy PSL podkreślał czterokrotny minister rolnictwa Marek Sawicki. Za ideowość wystarczała prezesowi PSL „ciągłość historyczna" w obrębie „ludowości". W wywiadzie dla „Plusa Minusa" z 23 listopada 2018 r. mówił: „Z nikim nie ścigam się na ludowość. Nie muszę przedstawiać certyfikatu ludowości, bo mam ten stempel wyryty od pokoleń. Wychowałem się w ruchu ludowym. Nie jestem ludowcem w pierwszym pokoleniu, tylko trzecim. Nasi starsi działacze mówią do mnie po imieniu, bo pamiętają mnie jako nastolatka, który pomagał PSL. Trudno o lepszy certyfikat wiarygodności i ludowości niż ciągłość historyczna". Może to i ciągłość, ale wyłącznie establishmentowa, i to od trzech pokoleń.

Przeciwnicy Kosiniaka-Kamysza zarzucają mu, że PSL i wieś zna tylko od strony gabinetów notabli związanych z partią, w tym własnych krewnych, a nie od dołu, a tym bardziej z typowo wiejskich doświadczeń. Jego ojciec Andrzej był ministrem zdrowia w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, stryj Zenon to były ambasador oraz wiceminister w MSWiA oraz w MON, stryj Kazimierz zaś to profesor biologii rozrodu zwierząt, szczególnie koni. A sam prezes PSL jest doktorem medycyny od ośmiu lat niewychodzącym z gabinetów ministerialnych i prezesowskich, urodzonym i wychowanym w Krakowie, które to miasto raczej z wsią się nie kojarzy. Przeciwnicy obecnego prezesa PSL podkreślają, że jest on typowym mieszczuchem, znającym wieś z papierowych opracowań, rozmów z partyjnym establishmentem oraz z telewizji. A typowy dla wyborcy PSL konserwatyzm prezes ludowej partii okazuje kilka razy w roku: na dożynkach i uroczystościach, w których biorą udział duchowni.

Przekonując partyjny establishment PSL do wstąpienia w szeregi Koalicji Europejskiej, Władysław Kosiniak-

eprasa.pl 45edaead13

-Kamysz nie odwoływał się do konserwatyzmu, lecz do pragmatyzmu i miraży korzyści z tego, że tylko w taki sposób mógłby zostać szefem rządu i dać partyjnemu establishmentowi to, czego on oczekuje. Dla prezesa PSL etykieta tęczowej partii nie ma znaczenia, tym bardziej że od czasu rozwodu (w 2016 r.) praktycznie o tradycyjnych wartościach się nie wypowiada. Ale wyborcom to nie musi być obojętne i mogą tego ideowego zwrotu PSL nie darować, co dostrzegli przeciwnicy wstępowania w szeregi Koalicji Europejskiej, przede wszystkim Waldemar Pawlak i Marek Sawicki. I co skutkowało rozwodem z PSL jego członka od 25 lat (szefa partyjnych struktur w mazowieckim Łącku), znanego muzyka nurtu disco polo i biznesmena Sławomira Świerzyńskiego. Jeśli nawet dla niego, człowieka świetnie znającego show-biznes oraz jego obyczajową stronę, tęczowe PSL jest nie do zaakceptowania, tym bardziej może nie być dla przeciętnego wyborcy ludowej partii.

UWIEDZIONY PRZEZ SAMEGO SIEBIE

Podążając za własną asertywnością i staraniami o funkcję premiera, Władysław Kosiniak-Kamysz sam się uwiódł, choć uważa, że to on uwodzi innych. Politycznie oczywiście. Uwiedzenie samego siebie szczególnie mocno objawiło się w październiku 2018 r., gdy pojawiła się plotka, że Donald Tusk widziałby prezesa PSL w roli przyszłego premiera. W listopadzie 2018 r. nastąpiła niemal ekstaza, gdyż w rankingu zaufania do liderów partii (w badaniu IBRIS) Kosiniak-Kamysz znalazł się na pierwszym miejscu – 41,6 proc., a Grzegorz Schetyna dopiero na czwartym – 24,4 proc. To dlatego w październiku i listopadzie 2018 r. prezes PSL na lewo i prawo udzielał wywiadów, czując się nie tylko najważniejszym politykiem opozycji, lecz również namaszczonym na przyszłego szefa rządu. A już po wstąpieniu do Koalicji Europejskiej zaczął występować z ofertami (przeważnie podwyżkami) wobec kolejnych grup społecznych, jakby już był premierem.

Prezes PSL pewnie liczy na krótką pamięć wyborców, gdyż kiedy mógł realnie coś oferować jako minister pracy i polityki społecznej w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz, nie robił tego. Za to firmował najbardziej „antyspołeczne" posunięcia rządu Tuska, czyli podniesienie wieku emerytalnego oraz skok na 153 mld zł z OFE. Już wtedy w PSL mówiono, że Kosiniak-Kamysz ma chwiejny charakter, a w realnych sytuacjach trudnego wyboru jest słabeuszem i oportunistą, któremu zależy wyłącznie na własnej karierze, a dla niej zrobi wszystko. I że zdecydowanie przecenia swoje możliwości, skoro w 2014 r. przegrał wybory do europarlamentu, na Podkarpaciu dostając zaledwie 3,18 proc. głosów (12 667), choć był jedynką listy PSL, a w wyborach do Sejmu w 2015 r. otrzymał 4,17 proc. głosów (12 171).

Partyjni przeciwnicy uważają, że Władysław Kosiniak-Kamysz daje się rozgrywać jak dziecko Donaldowi Tuskowi, mamiącemu go mirażami premierostwa, byleby tylko dopiec Grzegorzowi Schetynie. I daje się rozgrywać przewodniczącemu PO, skoro nawet nie postawił mu warunków, przystępując do Koalicji Europejskiej. Spodziewają się, że jeśli jeszcze nie przed wyborami do europarlamentu, to tuż po nich może dojść do buntu przeciw obecnemu prezesowi PSL, a nawet do podziału w partii, co oznaczałoby jej trwałą marginalizację. Szczególnie jeśli PSL nie zdobędzie żadnego mandatu do PE, co jest całkiem realne.

Władysław Kosiniak-Kamysz może więc być grabarzem PSL, a nie jego reformatorem i odnowicielem. Tym bardziej że to odnowicielstwo jest niszczeniem resztek tego, co utrzymywało PSL nad progiem wyborczym.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 45edaead13

PSL idzie pod lód

Jeśli kandyduje pan do Sejmu z ramienia PSL i później się dowiaduje, że to właśnie ludowcy podnieśli wiek emerytalny do 67. roku życia, to komu dać w mordę? Ludzie na wsiach chcieli mnie zlinczować! – mówi ***Sławomir Świerzyński***, lider zespołu Bayer Full, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem



Zirytował się pan.

Sławomir Świerzyński, przez lata działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego: Trudno się nie wkurzyć, jeżeli przez 25 lat jest się w partii, która jest chrześcijańska, ma korzenie bardzo tradycyjne, kulturowo jest osadzona w rodzinie i nagle się okazuje, że na jednej liście będziemy głosować na osoby i ugrupowania, które mówią, że rodzina jest be, że można mieć związek jednopłciowy i to też będzie małżeństwo. Słyszę o walce z Kościołem, o ściąganiu imigrantów. Partia, której hymnem jest „Rota", ma pójść razem z aborcjonistami. To zmierza w złą stronę, coś tu jest nie tak!

Może pan przesadza? PSL przez lata szło w koalicjach z SLD, z Platformą i nikt szat nie darł.

Ale wtedy ani PO, ani SLD nie miały takich głupot wypisanych na sztandarach. Powiem panu szczerze, zresztą ludzie pamiętają: grałem w kampaniach dla PO, dla SLD. W 2001 r., kiedy Sojusz wchodził do Sejmu w cuglach, sam mówiłem, że to oni mogą nas uratować. Ale i tamto SLD też było inne. A teraz wszystkie te partie zrobiły się tak lewicowe. Dla mnie za bardzo.

Ma pan na myśli ten zwrot ideologiczny? Te ukłony wobec środowisk LGBT?

Przede wszystkim. Żeby była jasna sytuacja i żebym był dobrze zrozumiany: jestem przeciwnikiem LGBT i tak dalej. Ale nie jestem przeciwko tym ludziom, że mają takie czy inne spojrzenie. Jestem przeciwny promowaniu tych poglądów na siłę i jeszcze przekonywaniu, że ciągle jest się pokrzywdzonym. Z jakiego powodu? Pan Robert Biedroń został prezydentem Słupska – taka krzywda dzieje się gejom?

A może po prostu zmienia się świat i nastawienie społeczne?

Obawiam się tego. Związki partnerskie? Przecież można mieć konkubinat i nie trzeba się żenić. Sam mam kolegów gejów, którzy mówią, że są nastawieni na jak największą liczbę partnerów. Chcą poczuć przygodę.

Zaraz pan się dowie, że to homofobiczne podejście.

A niech tak mówią. Co mnie to obchodzi?! Ale zostawmy te LGBT, bo nie tylko o to chodzi. Moim zdaniem nie może być koalicji, która łączy się tylko po to, by kogoś wykopać. Cały czas mówiłem w PSL: nam nie jest potrzebny koalicjant, nam są potrzebne program, konkrety. Prosiłem i doprosiłem się – pokazali mi 25 stron, same ogólniki: będzie dobrze, tych pogłaskamy, tamtych pocałujemy. A gdzie konkret?! Gdy sam kandydowałem do Sejmu, to powiedziałem wyraźnie: jedno prawo dla wszystkich, emerytura bez podatku, wypłata pensji brutto. Brakuje mi dziś konkretu, w zamian mamy wspólną listę wyborczą z ludźmi, którzy z PSL nie mają nic wspólnego.

A jaki pana zdaniem jest, będzie odzew lokalnych, szeregowych działaczy PSL?

Większość mnie wspiera. Dostaję wiele listów, esemesów ze wsparciem. Kiedy podejmowano decyzję o przystąpieniu do Koalicji Europejskiej, byłem wyłączony, kręciliśmy teledyski w Zakopanem. Wczoraj odebrałem telefon od mojej organizacji powiatowej – gdy moi koledzy zobaczyli, co się stało, jaka decyzja została podjęta, to powiedzieli, że na zarząd gminny nie przyjdą, bo nie są już w PSL. Co ja mam im powiedzieć?

No dobrze, ale Rada Naczelna – w olbrzymiej większości – była „za", wyłamali się nieliczni. Co takiego dzieje się zatem z PSL?

Odpowiem panu inaczej – po wyborach samorządowych czekaliśmy na spotkanie dotyczące podsumowania kampanii. Konkretnie, mocno, byliśmy wkurzeni. Mam powypisywane, co chciałem powiedzieć, co chciałem zgłosić: 500+ dla pracującego rodzica

eprasa.pl 45edaead13

na każde dziecko, oddłużenie rolnika, kwota wolna od podatku, przekształcenie immunitetu, by nie chronił tych, którzy dopuścili się przestępstw, zeznania majątkowe dla sędziów.

Konkret.

A oni dają mi pierdoły. Nie pozwolili dojść do głosu, zaklepali ogólniki. Usłyszałem, że dyskusja to będzie, owszem, ale później, później... Później to były Boże Narodzenie, opłatek, Nowy Rok. Nie było ruchu. Nikt nas nie słucha! To koszmar!

Dzwonił pan do prezesa Kosiniaka-Kamysza? Może trzeba było wziąć słuchawkę i powiedzieć: „Władek, jest źle".

Dzwoniłem. Usłyszałem, że kiedyś muszę przyjechać, pogadać, to, tamto, owamto...

Rozmawiałem z prezesem i on mówi wprost: PSL ma być stabilizatorem tej Koalicji Europejskiej. By nie było skrętu w lewo, by nie było jakichś dziwnych nowinek ideologicznych.

Niech pan posłucha: PSL zawsze było z kimś w koalicji, by coś zrobić. Powiedzmy sobie wprost: dziś nic nie zrobią! Dlaczego nie postawili się Platformie, gdy wyszła afera taśmowa? Jeśli kandyduje pan do Sejmu z ramienia PSL i później się dowiaduje, że to właśnie ludowcy podnieśli wiek emerytalny do 67. roku życia, to komu dać w mordę? Ludzie na wsiach chcieli mnie zlinczować! A objeżdżałem każdą i słyszałem: „Jakbyś, Sławek, poszedł z Kukizem, to nie ma problemu, ale z PSL – nie". Jak tak dobrze jest z PSL, to dlaczego nasi wójtowie kandydują ze swoich komitetów, chowają szyldy partyjne? Bo wiedzą, że ludzie nie chcą głosować na PSL! Ilu posłów i działaczy odeszło z partii? Dlaczego? Bo wszystko poszło w lewą stronę!

Gdy zapytałem prezesa PSL o pana, powiedział, że pan też mógł się lepiej przygotować w okręgu powiatowym. Że w wyborach samorządowych mógł pan lepiej wypaść.

Zaraz, zaraz! Powoli! Popieraliśmy obecnego wójta, który wszedł. Wystawiliśmy własnych kandydatów, popieraliśmy też kandydatów wójta, mamy naszą radę. W powiecie nasi kandydaci weszli do rady, w Płocku rządzi PSL. Fakty mnie bronią. Nie wypadłem sroce spod ogona, przez 25 lat byłem czynnym członkiem PSL.

Co dalej z PSL?

Pod lód.

Aż tak?

Jestem przekonany. Od razu mówiłem, że po takich koalicjach jak dzisiejsza, jeśli wystartują samodzielnie, to dostaną maksimum 4 proc. Wszystko przez brak czytelnych, jasnych zasad, na jakich pracujemy. Gdy w końcu chłopcy nie dostaną się do parlamentu, to wrócimy do pracy w regionach – zacznie się rozmowa, debata. I w kolejnych wyborach PSL może być silne. A teraz? Mój ty świecie...

Mówi pan tak, jakby to były oczywistości. Ale przecież we władzach PSL nie brakuje polityków, którzy mają podobny punkt widzenia – Waldemar Pawlak, Marek Sawicki... Nie mają siły przebicia?

Za Janusza Piechocińskiego tak wyczyszczono ludzi w Naczelnym Komitecie Wykonawczym, że nie ma co zbierać. To ten komitet wydaje uchwały – my je mamy realizować. A nas nikt nie słucha, w powiatach czy gminach mówimy, co chcemy zrobić. I nic, ściana.

Dokąd pójdą wyborcy PSL, których przecież trochę jest? Nie zagłosują w ogóle, oddadzą głos na PiS?

Będzie tak, jak pan mówi. Ta koalicja nie ma nic do zaoferowania – jeśli się dostaną do Parlamentu Europejskiego, to każdy z nich będzie w innym ugrupowaniu w PE! Jak oni mogą tworzyć jeden wspólny blok wyborczy?

Może to po prostu potrzeba chwili i zatrzymania PiS.

Panie... Jak nie my, to oni? I co? Takie myślenie to targowica. Tworzymy związek magnaterii, żeby się dorwać do koryta. Skoro mamy demokrację, to walczmy programem, przekonaniem człowieka, a nie takimi ruchami. Mam ponad 60 lat i pamięć dobrą jak cholera. Gdy były wybory Wałęsa–Kwaśniewski, to chodziło tylko o kolor krawata i tło, na jakim mieli wystąpić. Żadnego programu. Dziś idzie to w tę samą stronę.

Wieszczy pan drugą kadencję dla PiS.

Powiem panu, co podoba mi się w Zjednoczonej Prawicy: w końcu ktoś zlikwidował wieczystą dzierżawę. Proszę pana, całe ziemie zachodnie były pod wieczystą dzierżawą. W końcu ci ludzie czują się u siebie, a to najważniejsze, co może być. Reszta postulatów jest do dyskusji. 500+? Według mnie trzeba ograniczyć tylko do pracującego rodzica (chociaż jednego z dwojga) i wtedy na każde dziecko. Sam jestem z pokolenia, które pracowało całe życie – sam, na działalności gospodarczej. Najbardziej złodziejskim systemem jest ZUS – moje dzieci nigdy nie dostały „rodzinnego", bo spóźniałem się ze składkami, gdy jako młody chłopak stroiłem fortepiany i pianina. I od razu dostawałem karę. Teraz w końcu ktoś daje tym dzieciakom trochę oddechu, zastrzyku finansowego – moim wnuczkom też – to bardzo proszę. Nie mogę być przeciw.

Czuje się pan jeszcze ludowcem?

Tak. Cały czas. Gdy mieszka się na wsi, wśród tych ludzi, gdy ma się korzenie na wsi, to zawsze będzie się ludowcem.

Nie ma pan dość tego zaangażowania w sprawy publiczne? Ma pan zespół, mnóstwo fanów, koncertów...

To żadne wielkie zaangażowanie. Po prostu mówię to, co moim zdaniem powinno być dobre dla Polski. Widzę, że wiele osób ma podobne zdanie. Tylko tyle i aż tyle.

Co dalej?

Za dwie godziny wyjeżdżamy na koncert „Artyści przeciwko nienawiści" do Łodzi, później kolejny w Stęszewie... Roboty nie brakuje.

I dalej będzie pan śpiewał, że wszyscy Polacy to jedna rodzina?

Tak jest. To najważniejsze. Nie dajmy sobie wmówić, że jest inaczej.

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 45edaead13


Andrzej Jakubiak

Wojciech Kwaśniak

Fot. Stefan Maszewski/REPORTER (x2)

Pod ochronnym parasolem sądu?



WOJCIECH BIEDROŃ

Straty liczone w miliardach, szokująca bezczynność szefostwa Komisji Nadzoru Finansowego za rządów PO-PSL Andrzeja Jakubiaka i Wojciecha Kwaśniaka, a na koniec wyglądająca jak polityczny manifest decyzja Sądu Rejonowego w Szczecinie, który stwierdza, że żadnego powodu do zatrzymania obu urzędników nie było. Czy środowisko sędziowskie włącza się z polityczną interwencją w bulwersującą sprawę SKOK Wołomin? Wiele na to wskazuje

W sprawie SKOK Wołomin wszystko wydaje się jasne. Grupa cwaniaków wyciąga z banku gigantyczne pieniądze, w tle znajdują się ludzie dawnych służb specjalnych, koligacje towarzysko-służbowe i bezczynność państwa. Prokuratorzy przez kilka lat rozplątują gąszcz powiązań, dochodzi do zatrzymań i rozbicia mafijnego układu. To jednak nie koniec.

„Nie jesteśmy Kasą Krajową" – miał powiedzieć na posiedzeniu Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego Wojciech Kwaśniak, gdy już w kwietniu 2013 r. jeden z urzędników sugeruje, by w SKOK Wołomin ustanowić zarządcę, który ukróci gigantyczny przekręt, polegający na wyłudzeniach sięgających kwoty 1,6 mld zł. Kierujący ówcześnie KNF Andrzej Jakubiak i Wojciech Kwaśniak potrzebowali półtora roku, by zarząd wprowadzić. Dość powiedzieć, że doszło do tego, gdy już cała wierchuszka SKOK Wołomin trafiła do aresztu.

KALENDARIUM JAK AKT OSKARŻENIA

Wrzesień 2012 r. Kasa Krajowa SKOK przekazuje KNF alarmujące informacje na temat możliwych nieprawidłowości w działaniu pięciu SKOK-ów. Wśród nich znajduje się SKOK Wołomin. Informacje są bardzo konkretne. Stanowią podstawę nie tylko do drobiazgowej kontroli, lecz wręcz wprowadzenia nadzoru komisarycznego. Nic takiego jednak się nie dzieje. Mijają trzy miesiące, zanim KNF informuje SKOK Wołomin o zamiarze przeprowadzenia kontroli. Ta rusza dopiero 18 lutego 2013 r. i stwierdza, że już na koniec 2012 r. sytuacja w tej instytucji stanowi zagrożenie dla klientów. Protokół pokontrolny zawiera wniosek o ustanowienie zarządu komisarycznego – kluczowy do zatrzymania przekrętów w SKOK Wołomin.

WIELKIE PRANIE PIENIĘDZY

Co się dzieje w tym czasie w SKOK Wołomin? Trwa wyprowadzanie setek milionów złotych. Przestępcy czują się pewni, mimo kontroli. W lipcu i sierpniu 2013 r. pracownicy KNF sami tworzą projekt decyzji o wprowadzeniu zarządu komisarycznego. Jest blisko zaakceptowania

eprasa.pl 45edaead13

tej decyzji. I co? Nic. Dziś wiemy, że KNF już 22 października 2013 r. mogła podjąć decyzję o wprowadzeniu do SKOK Wołomin zarządu komisarycznego.

Co dalej ze sprawą? KNF podejmuje kolejną niezrozumiałą decyzję. Mimo niebudzących wątpliwości ustaleń dotyczących przestępczego procederu w wołomińskiej Kasie w październiku 2013 r. Komisja podejmuje decyzję o kontynuowaniu postępowania administracyjnego. Zleca kolejne kontrole. Ich efektem jest jedynie potwierdzenie wcześniejszych ustaleń.

W kwietniu 2014 r. dochodzi do dramatycznego wydarzenia. Pobity metalowym prętem zostaje Wojciech Kwaśniak. Dziesięć dni później do aresztu trafiają autorzy i główni bohaterowie przekrętu. To Joanna P. oraz Piotr P. – były oficer WSI, zamieszany także w inne afery finansowe. To, że szefostwo SKOK Wołomin znajduje się w areszcie, nie sprawia, że KNF decyduje się na wprowadzenie zarządu komisarycznego. Dochodzi do szokującej sytuacji. W połowie czerwca 2014 r. prokuratura stawia Joannie P. dodatkowe zarzuty. Śledczy zwracają się z pilnym wnioskiem do KNF o ściganie przestępstwa polegającego na sprowadzeniu niebezpieczeństwa wyrządzenia znacznej szkody majątkowej w wołomińskiej Kasie. Prokuratura alarmuje, że brak takiego wniosku uniemożliwia prowadzenie śledztwa w tym zakresie. Jednak KNF tego wniosku nie składa. Decyduje się na to dopiero 4 listopada 2014 r. Od wyników pierwszej kontroli KNF w SKOK Wołomin mija niemal 19 miesięcy.

FRYZJERKA ZARABIA 30 TYS. ZŁ?

Sprawa osobliwego zachowania szefostwa KNF i bezczynności tej instytucji nadzoru bankowego wraca w lipcu 2016 r. Rusza drobiazgowe śledztwo. Analizowane są dokumenty i kolejne posunięcia Komisji. Śledczy sprawdzają również umowy kredytowe klientów, w rzeczywistości byli słupami, dzięki którym wyprowadzano pieniądze ze SKOK Wołomin. Fałszowano dokumenty i analizy zdolności kredytowej. Tygodnik „Sieci" dotarł do kilku takich dokumentów kredytowych. Z jednego z nich wynika, że prowincjonalna fryzjerka miała zarabiać 30 tys. zł miesięcznie. To nie koniec. Zaświadczenia o wynagrodzeniach potrafiły pochodzić z różnych firm, ale sygnowane były taką samą pieczątką. Zabezpieczeniem dla kilku różnych kredytów była jedna nieruchomość, i to o zawyżonej wartości. O podobnych nieprawidłowościach mówiła kontrola GIIF właśnie z marca 2013 r. Kredyty na kwotę powyżej 1 mln zł stanowiły ponad 70 proc. wszystkich udzielanych kredytów. Było ich aż 609.

Jakubiaka i Kwaśniaka pogrążyli podlegli im urzędnicy, którzy w okresie od sierpnia do października 2013 r. przygotowali już projekty decyzji o ustanowieniu w SKOK Wołomin zarządu komisarycznego. Wszystkie trafiały do szuflady. Dlaczego ostateczna decyzja o wprowadzeniu zarządu komisarycznego została wydana dopiero w listopadzie 2014 r. i jest ona niemal identyczna z projektem z października 2013 r.?

CO BYŁO W PROTOKOŁACH?

Prokuratorzy ustalili też inne fakty. W trakcie analizy zabezpieczonych materiałów w UKNF i nie tylko okazało się, że wiele kluczowych dokumentów przejętych przez śledczych nie dołączono wcześniej do akt postępowania w Komisji. To nie koniec. Protokoły z posiedzeń UKNF różniły się od nagrań, które rejestrowano w ich trakcie. 6 grudnia 2018 r. dochodzi do zatrzymania Andrzeja Jakubiaka, Wojciecha Kwaśniaka i pięciu innych pracowników Komisji. Wszyscy odpowiadają z art. 231 p. 1 kk, czyli za niedopełnienie obowiązków. Jakubiak i Kwaśniak otrzymują dozór policyjny, ale ich pełnomocnicy składają zażalenia na zatrzymanie ich klientów oraz środki zapobiegawcze. Nie podobają się im także przeszukania w mieszkaniach ich klientów.

KONTROWERSYJNE ORZECZENIE

Zażalenia czekają aż trzy miesiące, by sędzia Wojciech Piotrowski z Sądu Rejonowego Szczecin-Prawobrzeże je rozpatrzył. 26 lutego br. sąd wydaje swoją kontrowersyjną decyzję. Z jednej strony uznał, że zatrzymanie Jakubiaka i Kwaśniaka było bezzasadne, ale już przeszukanie mieszkania Kwaśniaka i zabezpieczenie telefonu oraz nośnika pamięci „miało podstawę". Co ciekawe, mimo obszernego materiału dowodowego, ewidentnych zaniechań i opóźnień w pracy KNF sędzia uznał, że brakuje dowodów na popełnienie przez wierchuszkę KNF przestępstwa. Z niezwykle lakonicznego, ustnego uzasadnienia, do którego najważniejszych tez dotarliśmy, wynika, że już z samego faktu, iż podejrzani byli urzędnikami, a nie przestępcami, miało wynikać, iż nie będą oni uzgadniać swoich wersji w przypadku, gdyby zamiast zatrzymania zastosowano wobec nich wezwanie do stawiennictwa w prokuraturze.

Sędziego nie przekonuje też to, że KNF przez ponad półtora roku nie ustanowiła zarządu komisarycznego, a w tym czasie przestępcy wyprowadzali pieniądze ze SKOK Wołomin. Jedna z najbardziej kontrowersyjnych tez stawianych przez sędziego Wojciecha Piotrowskiego polega na tym, iż to rzekomo Kasa Krajowa SKOK miała sama wydłużać postępowanie w UOKiK poprzez składanie przez jej przedstawicieli wniosków dowodowych. To nieprawda. Dla sądu nie mają też znaczenia przygotowane w UKNF projekty decyzji o ustanowieniu zarządu komisarycznego w SKOK Wołomin ani kluczowy fakt, że były one przygotowywane już w roku 2013. Sędzia w ustnym uzasadnieniu nie odniósł się także do ważnych zeznań dyrektora Departamentu Informacji Finansowej GIIF Tomasza Powałki i Pawła Wiesiołka, którzy sami informowali o konieczności wprowadzenia zarządu komisarycznego. Pominął wszystkie wątpliwości wynikające z różnic zeznań, treści protokołów i innych dowodów.

Sprawa Jakubiaka i Kwaśniaka nie jest jedyną, w której decyzja szczecińskiego sądu rejonowego budzi kontrowersje. W czerwcu 2017 r. ten sam sąd nie zgodził się na areszty dziesięcioosobowej ekipy menedżerów związanych z zakładami chemicznymi w Policach. Prokuratorzy ustalili, że przekręty podejrzanych sięgały ponad 30 mln zł. Czy decyzja dotycząca zażalenia Andrzeja Jakubiaka i Wojciecha Kwaśniaka jest kolejnym elementem rozgrywki między środowiskiem sędziowskim a prokuratorem generalnym?

eprasa.pl 45edaead13

Przeciw tęczowej rewolcie

Ogłaszamy powstanie Ruchu 4 Marca. Trzeba monitorować działania podejmowane przez urzędy miejskie w sferze edukacji. Bo każdemu z rodziców grozi taka oto sytuacja, że po kilkunastu latach wychowawczego wysiłku pojawi się w szkole ktoś, kto zrobi naszemu synowi czy córce wodę z mózgu, kto wywróci dziecku świat do góry nogami

Jacek Karnowski rozmawia z Markiem Grabowskim, prezesem Fundacji Mamy i Taty

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski uroczyście podpisał tzw. Kartę LGBT+. W dokumencie znalazły się postulaty dotyczące, cytujemy: „bezpieczeństwa, edukacji antydyskryminacyjnej i antyprzemocowej w szkole, wolności artystycznej, utworzenia hostelu interwencyjnego dla osób będących w sytuacji kryzysowej". Jaki jest prawdziwy sens tej inicjatywy?

Marek Grabowski: To dokument programowy, faktycznie przygotowany przez gejowską organizację Miłość Nie Wyklucza, który zawiera wskazówki dotyczące polityki w obszarze mniejszości seksualnych, zapewne nie tylko w Warszawie. Bo do prezydenta stolicy – z tego, co wiemy – mają dołączyć prezydenci innych dużych miast. Przeorana ma zostać rzeczywistość światopoglądowa w takich wymiarach jak edukacja, sport, a także biznes.

Czy podpisanie tej bardzo daleko idącej – można powiedzieć, że agresywnej – Karty LGBT+ jest próbą przełamania, wykreowania punktu zwrotnego w sferze wojny światopoglądowej?

Pierwszym przyczółkiem, a może raczej poligonem doświadczalnym dla środowisk gejowskich, był Gdańsk, wspierający takie inicjatywy jak Tęczowy Gdańsk czy Karta Różnorod-



eprasa.pl 45edaead13

ności. Już wówczas mieliśmy pełną świadomość, że jeśli tam się uda, to kolejna będzie Warszawa.

W Gdańsku się udało?

Tam pojawił się dość znaczący opór, niektóre sprawy udało się zablokować dzięki aktywności środowisk prorodzinnych. Zwróćmy uwagę, że inaczej niż w Gdańsku prezydent Trzaskowski nie wchodził już w żadne konsultacje społeczne, tylko po prostu ogłosił Kartę, narzucił ją mieszkańcom bez jakiejkolwiek próby rozmowy czy dialogu.

Które elementy owej Karty LGBT+ zdaniem pana fundacji są najgroźniejsze?

Najgroźniejsze są dwa kierunki: ten dotyczący dzieci i ten dotyczący biznesu. Bo to dotknie niemal każdego z nas, pośrednio lub bezpośrednio, i powinniśmy mieć tego świadomość. Na przykład w sferze biznesowej ta Karta wprowadza pojęcie „tęczowej sieci gospodarczej". Sprowadza się to do tego, że wszystkie firmy, które chcą w jakikolwiek sposób współpracować z miastem – czy to dowożąc marchewkę do szkoły, sprzedając urzędom długopisy, naprawiając chodniki – muszą podpisać specjalną „lojalkę". Czyli muszą się zobowiązać zarówno do „respektowania różnorodności", jak i jej promowania w miejscu pracy.

Czy tego typu ingerencja w stosunki gospodarcze jest zgodna z prawem?

Dysponujemy już analizą prawną, z której jasno wynika, że tego typu zapisy stoją w sprzeczności z konstytucyjnie zagwarantowanym prawem swobody gospodarczej, a także z zapisami prawa o zamówieniach publicznych. Bo jeśli proponowane przez miasto przepisy weszłyby w życie, skutki byłyby więcej niż poważne. Po pewnym czasie właściwie nie można byłoby odmówić zatrudnienia osobie deklarującej przynależność do mniejszości seksualnych, niezależnie od jej kompetencji czy sposobu funkcjonowania. Przedsiębiorcy musieliby tolerować nawet najbardziej egzotyczne zachowania. Następnym krokiem będą zapewne parytety. Prezydent Trzaskowski nieprzypadkowo rzucił liczbę 100 tys. osób należących do mniejszości seksualnych w Warszawie. W sumie wszystko to grozi istotnym naruszeniem zarówno fundamentów prowadzenia biznesu, jak i wolności Polaków. Apelujemy także do organizacji przedsiębiorców, by dostrzegły ten problem.

Czym grożą zapisy Karty LGBT+ dotyczące dzieci i młodzieży?

W ostatnich dniach w kontekście tego dokumentu strona konserwatywna dużo mówiła o zagrożeniu demoralizacją. I to jest słuszny punkt widzenia, ale niejedyny. Bo przedstawiciel czy też rzecznik mniejszości seksualnych, który ma się znaleźć w każdej szkole – jak pokazują doświadczenia „tęczowego piątku" – tak naprawdę będzie agitatorem politycznym. Celem nie jest tylko zmiana postaw, wychwycenie osób niemających pewności co do swojej tożsamości seksualnej ani zachęcenie ich do tożsamości homoseksualnej. Prawdziwym celem jest wykreowanie nowego elektoratu.

Oczywiście lewicowego?

Tak, takiego, który będzie popierał któreś z ugrupowań nowej lewicy.

Indoktrynując licealistę, za trzy–cztery lata nowa lewica może mieć posłusznego wyborcę.

Oczywiście. Tym bardziej że grupa młodych ludzi jest zazwyczaj dość mało aktywna politycznie. W Polsce głosują raczej ludzie starsi, niechętni nowej lewicy, trudni do zmiany stanowiska np. w sprawie promocji LGBT. Aktywizacja młodego pokolenia, jego nakręcenie w kierunku faktycznie rewolucyjnym może poważnie zmienić mapę polityczną Polski, może zmieść ze sceny formacje konserwatywne. To jest moim zdaniem bardzo ważne założenie tych, którzy stoją za obecną akcją.

Czyli to, co robi Rafał Trzaskowski, to nie jest jakiś mało znaczący gest ideologiczny w stronę lewicowych wyborców, ale poważna, precyzyjnie zaplanowana i przemyślana operacja, w wyniku której ma powstać swego rodzaju fabryka nowego człowieka i nowych postaw?

To będzie społeczna maszyna, która – po pierwsze – będzie generowała środki materialne poprzez przejmowanie biznesu, a po drugie, będzie wychowywała nowych „towarzyszy broni" radykalnej lewicy i środowisk LGBT. Jeśli towarzyszą temu coraz śmielej głoszone zapowiedzi wypychania nauczania religii oraz dążenie do zdejmowania krzyży w szkołach, to obraz staje się jasny. Celem jest nowy człowiek, pozbawiony tożsamości kulturowej, rodzinnej, a do tego niepewny swojej tożsamości płciowej. W naszym życiu ma nie być nic pewnego, nic jednoznacznego. Jednego dnia możemy uznać siebie za mężczyznę, a innego za kobietę.

I to idzie coraz dalej, nie widać kresu?

Nie widać. W Stanach Zjednoczonych już pojawiają się postulaty, by refundować mężczyznom przeszczepy macicy, tak by mogli poddać się zapłodnieniu in vitro. Powstaje swego rodzaju ludzka hybryda, która demoluje społeczeństwo. Nie tylko kulturowo, lecz i biologicznie. W Nowym Jorku już ok. 25 proc. młodych ludzi nie jest pewne swojej tożsamości seksualnej. Kilkadziesiąt lat ideologicznej presji robi swoje. Bo orientacja seksualna – ale nie płeć – jest rzeczywiście w jakiejś mierze konstruktem kulturowym. Dlatego musimy bronić kultury.

Komentując zapowiedzi prezydenta Warszawy, minister edukacji Anna Zalewska stwierdziła: „W szkołach nie ma miejsca na tego typu przedsięwzięcia".

To są działania sprzeczne z całym porządkiem prawnym i edukacyjnym. Nasi eksperci stwierdzają w przywołanej już wyżej analizie, że promocja standardów WHO nie da się pogodzić z polskim programem nauczania. Wtłaczanie tego typu treści w ramy zajęć szkolnych byłoby więc wykroczeniem. Podobnie należy ocenić wtłaczanie tego typu treści za plecami rodziców. Zgodnie z art. 48 ust. 1 konstytucji rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami. Z kolei art. 72 ust 1. głosi: „Rzeczpospolita Polska zapewnia ochronę praw dziecka. Każdy ma prawo żądać

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 45edaead13

od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją". Co więcej, prawo polskie przewiduje odpowiedzialność dyscyplinarną i karną osób prowadzących placówki oświatowe, które rozpowszechniają nieobyczajne treści. Promocja standardów WHO, na które powołują się władze Warszawy, są formą wykroczenia albo wręcz przestępstwa.

Co konkretnie głoszą owe „standardy WHO"?

To są rzeczy naprawdę bardzo szokujące, ale niestety trzeba o tym mówić. To są np. zalecenia dotyczące zachęcania czterolatków do masturbacji. To jest nauka antykoncepcji dla dzieci w wieku od 6 do 8 lat. W dalszych latach oczywiście idzie to dalej. Wszystko to jest podszyte założeniem, na które zwracają uwagę nasi przyjaciele z Wielkiej Brytanii: jeśli wyrażasz zgodę, wszystko jest dopuszczalne, wszystko jest w porządku. Kwestia wieku, kwestie moralne, dojrzałość – to nie ma żadnego znaczenia. To jest sprowadzenie człowieka nawet poniżej poziomu zwierząt. To wyjątkowo brutalne zubażanie młodych ludzi. Tak naprawdę wychowywanie osób uzależnionych od seksu, ludzi nieszczęśliwych, często zmuszonych później do dożywotnich terapii.

Także wychowanie „narybku" dla pewnych środowisk?

Tak. Powszechne przekonanie, że w tego typu środowiska i doświadczenia osobę młodą wprowadza zazwyczaj ktoś starszy, to nie jest tylko stereotyp.

Prawo podlega jednak interpretacji, nie zawsze uczciwej. To może nie wystarczyć.

Dlatego ogłaszamy powstanie Ruchu 4 Marca. My, czyli Fundacja Mamy i Taty. Chodzi o to, by monitorować działania podejmowane przez urzędy miejskie w sferze edukacji. Będziemy dążyć do tego, by docelowo w każdej szkole znalazł się rodzic, który będzie się zajmował tą kwestią. Liczymy na wsparcie wszystkich ludzi zdrowego rozsądku, niezależnie od tego, czy

> Prawdziwym celem takich inicjatyw jak Karta LGBT+ jest wykreowanie elektoratu nowej lewicy

są z PiS, PO, PSL, czy wspierają narodowców. Liczymy na pomoc tych wszystkich, którzy sami są rodzicami i wiedzą, jakim trudem jest wychowanie dziecka. Bo każdemu z nas grozi taka oto sytuacja, że po kilkunastu latach naszego wysiłku w szkole pojawi się ktoś, kto zrobi naszemu synowi czy córce wodę z mózgu, kto wywróci świat dziecka do góry nogami, kto zakwestionuje cały nasz wysiłek.

To ma być forum aktywności wyłącznie dla rodziców, czy również dla młodzieży?

Liczymy także na młodzież, bo przecież to nieprawda, że nie ma młodzieży dobrze wychowanej, zdroworozsądkowej, która nie godzi się na demoralizujące zajęcia. Zwłaszcza w liceach nie można się opierać tylko na rodzicach, bo wówczas łatwo wywołać nastrój buntu przeciwko starszemu pokoleniu. Jeśli młodzież nie da się zastraszyć, to dużo łatwiej będzie nam powstrzymać tęczową rewoltę.

Ruch 4 Marca ma więc zmobilizować rodziców do działania, do stawiania oporu, do walki o respektowanie prawa?

Tak. Na początku chcemy się skupić na dużych miastach, najbardziej zagrożonych. Trzeba działać teraz, póki jeszcze można. Będziemy przygotowywali kolejne analizy prawne, będą też materiały dla rodziców i uczniów na temat tego, jak rozmawiać z dyrekcją, jak działać. Bliskie nam środowiska z Zachodu podkreślają, że nie możemy ustąpić ani na krok, bo jeśli to zrobimy, spadnie na nas lawina żądań. Nie możemy naruszyć naszego systemu prawnego.

Lewica się cieszy, że społeczeństwo dość szybko się liberalizuje. Według niedawnego sondażu Ipsos zwolennicy jednopłciowych związków partnerskich to już 56 proc. społeczeństwa. Rośnie też poparcie dla małżeństw gejów i lesbijek – ogółem wynosi 41 proc. Czy wasze badania potwierdzają ten trend?

Generalnie tak, choć czy są to aż tak wysokie liczby? Z naszych badań, również prowadzonych przez Ipsos, wynika, że wciąż aż 86 proc. Polaków popiera konstytucyjną definicję małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Co ważne, ten wskaźnik rośnie, a nie spada. Można w tych rozbieżnych wynikach dostrzegać jakąś schizofrenię, ale moim zdaniem fundament wciąż jest mocny, mimo bardzo silnych presji i różnych zabiegów medialnych.

Warto chyba podkreślać, że jeśli ten bój wygra lewica, to grozi nam wręcz totalitaryzm. To nie jest tak, że zatrzymają się na dzisiejszych postulatach albo że chodzi o „tolerancję". Chodzi o pełną dominację.

Lewicowa rewolucja nigdy się nie kończy, zawsze znajduje sobie nowe cele, nowe podmioty do „wyzwolenia". Na Zachodzie postulat ograniczenia karalności pedofilii do dzieci poniżej 12. roku życia wyraźnie wchodzi już do głównego nurtu polityki. A przecież kontakty dorosłych mężczyzn z tak młodymi chłopcami to po prostu rzecz obrzydliwa!

Prof. Ryszard Legutko stwierdził ostatnio: „Polska w tej chwili jest jednym z niewielu krajów na świecie, które są zdolne ocalić wolność. Jeżeli jej nie utrzymamy, to niech Matka Boska ma nas w swojej opiece".

Ma rację. Ale musimy się ruszyć. Nasze struktury – związane z Kościołem, z harcerstwem, z Orszakami Trzech Króli, także inne – nie mogą spać, muszą się przebudzić. Po drugie, potrzebne są silne think tanki, silne organizacje pozarządowe, struktury badawcze. Tego jednak w polskich warunkach nie da się zrobić bez wsparcia politycznego, które musi być silniejsze niż jest. Nie można przespać kolejnych lat.

20/0119/F

eprasa.pl 45edaead13



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100
1919/2019

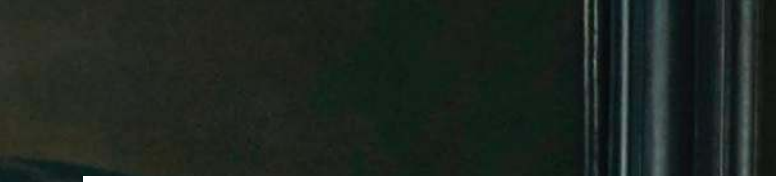
Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl 45edaead13



Mamy XVII-wieczny film dokumentalny

Rolka sztokholmska to fryz o długości 15 m, przypomina taśmę filmową złożoną z 39 klatek. To zapis wydarzenia towarzyskiego. Jest pokazywana bardzo rzadko, ostatnio w 2002 r., i po tej wystawie znowu zostanie zamknięta na kilkanaście lat



Z prof. dr. hab. Wojciechem Fałkowskim, dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie, rozmawia Aleksandra Jakubowska

W Krakowie to chyba nie lubią króla Zygmunta III Wazy?

Wojciech Fałkowski: Mają mu za złe, że przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy. Teraz próbują się odkuć: „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa...

...bo się zaraz tutaj zjawią/ butne miny, święte słowa/ i głupota, która aż naprawdę boli". Słynna piosenka zespołu Pod Budą. Ach, te animozje krakowsko-warszawskie.

Właśnie, tyle lat minęło, a wygląda na to, że ciągle boli. Bo to było nie tylko przeniesienie dworu, lecz całego centrum – administracyjnego i kulturalnego państwa do Warszawy. Zmiana była znacznie większa i znacznie ważniejsza, niż to teraz wygląda na kartach podręczników historii.

Mija 400 lat od chwili, gdy zakończyła się przebudowa Zamku Królewskiego w Warszawie. To wówczas nabrał on takiego kształtu, jaki ma dzisiaj, bo przecież jego historia jest znacznie wcześniejsza, były różne remonty i dobudowy. I w związku z tą rocznicą Zamek Królewski ogłosił Rok Wazowski, a jednym z wydarzeń w trakcie tych obchodów jest ekspozycja rolki sztokholmskiej...

...zwanej wcześniej polską.

Ale zanim o tym porozmawiamy, chciałam pana zapytać, cóż takiego skłoniło króla Zygmunta III Wazę do tej przeprowadzki? Gdyby pan porównał te dwa miasta, ich potencjał ludnościowy, materialny, kulturalny – jednak Kraków od wieków był stolicą królów polskich.

Historia wskazywała na Kraków. To było miejsce koronacyjne, wszyscy królowie polscy, z wyjątkiem Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta Poniatowskiego, byli tam koronowani, miasto z tradycją władzy zwierzchniej od czasów piastowskich. A więc tradycja i prestiż miejsca przemawiały za Krakowem. Z kolei w Warszawie odbywały się sejmy walne koronne i elekcje królewskie. Ale chyba decydujące były dwa inne czynniki. Warszawa była centralnie położona, bliżej morza, czyli polityki szwedzkiej i bałtyckiej.

Zygmunt III Waza był przecież jednocześnie królem Szwecji, więc miał bliżej.

Warszawa miała też lepszą komunikację z Litwą, była bliżej na szlaku handlowym, a zatem naturalną koleją rzeczy była wygodniejszym miejscem do rządzenia, zajmowania się polityką i zagraniczną, i zewnętrzną.

A drugi czynnik?

Warszawa była metropolią, która bardzo się rozwijała, od połowy XVI w. była taką rakietą, która szybko się wznosi do góry. Kraków był dostojny, wspaniały, ustabilizowany, a Warszawa była dynamiczna, ciągle w rozwoju.

Była trochę nuworyszowska w porównaniu z Krakowem?

Trochę nuworyszowska, trochę w opozycji do Krakowa, ale chyba właśnie dlatego Zygmunt lepiej się czuł w tym mieście. Chciał mieć taką dynamiczną sytuację – i w polityce, i w otoczeniu kulturowym.

Pierwsza żona Zygmunta III Wazy Konstancja Austriaczka przyjechała jednak do Krakowa i ta rolka sztokholmska, o której już wspomnieliśmy, pokazuje właśnie wjazd tego wielkiego orszaku z okazji ślubu króla z Habsburżanką.

To było przed przeniesieniem stolicy do Warszawy, a miejsce koronacyjne stale było na Wawelu.

Zamek Królewski w Warszawie był wielokrotnie grabiony, wojska szwedzkie, brandenburskie, rosyjskie, niemieckie... Niektórzy historycy twierdzą, że skala rabunku w czasie potopu szwedzkiego była znacznie większa niż w okresie II wojny światowej. Bardzo wiele cennych rzeczy z Polski znalazło się w Szwecji, a jedną z nich, odzyskaną przez Polskę, jest właśnie rolka sztokholmska.

Została nam podarowana w 1974 r. przez ówczesnego premiera Szwecji Olofa Palmego. Chciał tym gestem wesprzeć usiłowania społeczeństwa odbudowującego Zamek Królewski. Był to gest polityczny i symboliczny, solidarności z narodem, który zamek odbudowywał za własne pieniądze, wbrew władzy komunistycznej, przełamując jej niechęć i dotychczasowe blokady dla tego pomysłu. Szwecja zwróciła coś, co od prawie 400 lat było w jej rękach, a więc już po dawno przedawnionych roszczeniach.

W czasie potopu szwedzkiego wojska grabiły Zamek Królewski bez skrupułów. Szwecja nie była bogatym krajem, więc wszystko, co wpadło w ręce jej żołnierzy, było zabierane i wywożone. Niespełna 20 lat po śmierci Zygmunta III Wazy zrabowano ponad 200 obrazów z jego pierwszej w Polsce kolekcji malarstwa flamandzkiego i włoskiego. Ale zabierali też kominki, posadzki, kolumny... Jak wiele stracił Zamek Królewski w czasie potopu szwedzkiego?

To była rzeczywiście grabież, ale była taka tradycja, że wojsko żywi się wojną, czyli krótko mówiąc – wszystko, co się nadawało na łup, było zabierane. Z drugiej strony wspaniałość pałaców, nie tylko Zamku Królewskiego, lecz i arystokracji polskiej, usytuowanych wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i na Nowym Mieście robiła wrażenie, Szwedzi patrzyli na to z podziwem i zachłannością. Chęć posiadania wszystkiego, co miało jakąś wartość lub im się podobało, była ogromna.

Jest katalog dzieł sztuki utraconych w czasie II wojny światowej, a czy jest jakiś spis utraconych w czasie tych różnych najazdów dzieł z Zamku Królewskiego?

Fot. Mat. prasowe Zamku Królewskiego w Warszawie (x5)

eprasa.pl 45edaead13


Czarna karoca wioząca damy dworu Konstancji


Czerwona karoca wioząca damy dworu Konstancji, za nią jeździec – mistrz ceremonii

Nie, nie ma. Opierając się na inwentarzach królewskich, staramy się odkupić te dzieła, które w sposób legalny, np. po rozbiorach, po utracie niepodległości w końcu XVIII w., zostały rozproszone, trafiły w ręce prywatne. Niedawno udało nam się kupić obraz Bernarda Bellotta, zwanego Canalettem – „Widok Kapitolu", który był pierwszą pracą malarską tego artysty po przybyciu na dwór polski. Król Stanisław August obraz u niego zamówił, więc malarz musiał się bardzo przyłożyć, żeby udowodnić swoją maestrię, pokazać swój kunszt.

I zamiast jednej umowy-zlecenia dostać pełny etat nadwornego królewskiego malarza.

Dokładnie tak się to odbyło. I ten obraz, oznaczony sygnaturą kolekcji królewskiej, został przez nas parę miesięcy temu zakupiony i w tej chwili znajduje się w salach zamkowych.

Wróćmy zatem do odzyskanej rolki sztokholmskiej. Dlaczego ona jest takim unikatem w dwóch aspektach – artystycznym oraz historyczno-obyczajowym, cennym dla badaczy tamtejszej epoki?

Mamy do czynienia z XVII-wiecznym filmem dokumentalnym. To jest fryz o długości 15 m, przypomina taśmę filmową złożoną z 39 klatek. Jest to zapis wydarzenia towarzyskiego. Mamy sceny, które kolejno po sobie następują, czytelną narrację, jest przekazana atmosfera tego wydarzenia, na przestrzeni między Łobzowem, Bramą Floriańską i Wawelem. Wjazd odbył się w nocy 4 grudnia 1605 r., więc król nakazał powtórny wjazd za dnia.

Czyli stosując filmowe porównania – dubel.

I jeszcze kazał wykonać malarski zapis wjazdu swojej przyszłej żony, całej świty jej towarzyszącej oraz oddziałów wojska, które ją witały. Mamy dokumentalny zapis uzbrojenia, obecności konkretnych osób, które z imienia i nazwiska możemy rozpoznać, mamy świadectwo tego, co się działo wśród obserwującej gawiedzi, np. jest sportretowana para żebraków bijących się o rozrzucane monety. Anonimowy artysta i to uwiecznił. Kiedy robiliśmy wystawę, to kłopot polegał na tym, żeby ze zbiorów muzealnych w Polsce wybrać takie uzbrojenie, które było dokładnie sportretowane na rolce, by towarzyszyło jej ekspozycji. Kolczuga wystawiona na wprost oddziału towarzyszy pancernych uwiecznionych na rolce jest kolczugą z tego okresu, nie jest repliką.

Możemy też na rolce zobaczyć, jakie trendy mody panowały wówczas w Europie i Polsce.

W ubiorze dworzan z Grazu i cudzoziemców towarzyszących arcyksiężniczce dominowała czerń, najmodniejsza wówczas na zachodzie Europy, u Polaków przeważa czerwień. Wszystkie damy biorące udział w paradzie występują w kryzach.

Ale jedno mnie szczególnie intryguje, skąd w karocy dwórek Konstancji wzięła się kobieta z brodą?

To Helena Antonia z Liège, brodata karlica, którą Konstancja zabrała do Polski i która stała się atrakcją wawelskiego dworu.

Rolka przybyła do nas w złym stanie, długo trwała jej konserwacja?

Jest to akwarela z gwaszem, na papierze, naklejona na płótno, praktycznie stale jest pod czujną obserwacją specjalistów. Po ofiarowaniu była dziesięć lat w sejfie konserwatorskim. Jest pokazywana bardzo rzadko, ostatnio w 2002 r., i po tej wystawie znowu zostanie zamknięta na kilkanaście lat.

Trzeba się więc spieszyć, żeby ją obejrzeć do 10 marca. Mamy Rok Wazowski, a więc muszę zadać pytanie, jakim władcą był Zygmunt III Waza?

Rządził nie tylko ogromnym terytorium, lecz dysponował także dużą siłą militarną i polityczną, prestiż polskiego dworu w Europie był bardzo wysoki. Wazowie dzięki koronie polskiej weszli do grona najwybitniejszych monarchów europejskich, korzystali z tego, by okazać się równymi z najznamienitszymi dynastiami rządzącymi w Europie. Stąd np. dwa kolejne mariaże Zygmunta z Habsburżankami, to był ród, który rządził połową Europy.

eprasa.pl 45edaead13



Zygmunt III Waza w otoczeniu lokajów, paziów i halabardników



Oddział milicji krakowskiej

Mało brakowało, a nie zostałby królem Polski.

Zygmunt został wybrany w czasie wolnej elekcji, był przedstawiany jako Piast – Piast, czyli „nasz", król Polski, związany i krwią, i tradycją ze szlachtą polską. Habsburgowie mieli ochotę, by Polskę przyłączyć do swojego wianuszka chwały i prawie im się to udało, ale ich polscy stronnicy, popierający kandydata z rodu Habsburgów Maksymiliana III, przegrali bitwę pod Byczyną i korona spoczęła na skroni syna Katarzyny Jagiellonki i szwedzkiego króla Jana III Wazy.

Osłodziły im trochę tę porażkę dwa małżeństwa Zygmunta III Wazy z Habsburżankami?

Tak, to były małżeństwa z rozsądku, dynastyczne, tak jak to się przeważnie wówczas działo. Habsburgowie chcieli mieć tutaj wpływy, a Zygmunt III chciał wejść do tego elitarnego grona najważniejszych dynastii europejskich.

Czym Zygmunt III Waza zapisał się w dziejach Polski oprócz tego, że przeniósł stolicę do Warszawy?

Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Potencjał był ogromny, to było takie apogeum wpływu i pozycji politycznej dawnej Rzeczypospolitej, ale nie było żadnej linii politycznej, która by została zrealizowana. Wschodnia polityka moskiewska przeistoczyła się w awanturę i skończyła porażką. W konflikcie ze Szwecją Zygmunt też niczego nie uzyskał. Mariaże habsburskie nic nie przyniosły. Nie miał Zygmunt III Waza sukcesu politycznego.

Może chociaż gospodarczy?

To jest właśnie ten moment, kiedy rozwój gospodarczy i polityki fiskalnej państwa jest na zakręcie i powoli zaczyna się schodzenie w dół, więc też nie możemy przypisać Zygmuntowi jakichś poczynań reformatorskich. On myślał jeszcze w kategoriach tej wczesnej XVI-wiecznej polityki dynastycznej. Miał wzory skutecznej habsburskiej polityki przez śluby, przez sojusze, ale nie potrafił tego przekuć w jakąś jedną linię polityczną, która by przyniosła korzyść imperium, bo wtedy rzeczywiście Rzeczpospolita była wielkim imperium – i politycznym, i terytorialnym.

Ale jako pierwszy świecki człowiek doczekał się po swojej śmierci pomnika.

Rzeczywiście, w Warszawie nie było żadnego świeckiego pomnika, syn Zygmunta Władysław IV, honorując ojca, chciał w ten sposób potwierdzić potęgę całego rodu, wynosił na piedestał całą wazowską dynastię. Ta figura była jeszcze pozłacana w tamtym czasie. Może powinniśmy przywrócić ten blask i wtedy w perspektywie Krakowskiego Przedmieścia i dachów Starego Miasta rzeczywiście jaśniałaby postać króla w słońcu, odbijająca się we wspaniały sposób.

Rok Wazowski to nie tylko ekspozycja rolki sztokholmskiej, niewątpliwie perły wystawienniczej. Co jeszcze warszawiacy i turyści będą mogli obejrzeć na Zamku Królewskim?

W maju otwieramy wielką wystawę biżuterii tej epoki. To będą eksponaty, które nie są w sejfach konserwatorskich, ale takie bardzo pilnie strzeżone, z Jasnej Góry, z polskich i zagranicznych muzeów. Ten zbiór biżuterii i złotnictwa, który pokażemy, właściwie nigdy nie był prezentowany polskiej publiczności.

A co takiego charakterystycznego w tej biżuterii było, czym specjalnym się wyróżniała?

Sami jesteśmy ciekawi, czy istniało coś takiego jak polska biżuteria końca XVI i do połowy XVII w. Ta wystawa ma przynieść odpowiedź, ponieważ razem z nią ukaże się naukowy katalog, który ma właśnie za zadanie postawić ten problem i spróbować go zanalizować.

A polskie klejnoty koronacyjne?

Niestety, nie mamy ich. Przepadły w czasie rozbiorów, a pierwsze piastowskie zaginęły w niewiadomych okolicznościach. Zatem żadnych koronacyjnych klejnotów nie mamy. Ale na naszej wystawie będą klejnoty królewskie, które wchodziły w skład skarbca królewskiego. Został on częściowo rozgrabiony najpierw przez Szwedów, później Prusaków. Skarbce wawelski i warszawski przetrwały tylko częściowo i niektóre rzeczy pokażemy, ale jako zbiór nie istnieją.

eprasa.pl 45edaead13



JAROMIR KWIATKOWSKI



Spełnione marzenia

13-letnia Ania Dąbrowska z Wesołej koło Dynowa na Podkarpaciu w finale drugiej edycji „The Voice Kids" pokonała Pawła Szymańskiego i Wiktorię Gabor. Telewizja pokazała jej wielką radość, a jednocześnie pewne niedowierzanie, kiedy usłyszała, że to właśnie ona okazała się najlepsza

Moi drodzy, bardzo serdecznie was pozdrawiam i życzę wam, żebyście się nigdy nie poddawali, nie chowali się w domu, tylko wychodzili i spełniali swoje marzenia, bo to jest najważniejsze. Również chciałabym podziękować wszystkim tym, którzy od początku programu mnie wspierali, a w czasie finału wysyłali SMS-y i trzymali za mnie kciuki. Dzięki wam jestem w tym miejscu, w którym jestem. Serdecznie dziękuję – z takim przesłaniem zwraca się do swoich rówieśników i fanów za pośrednictwem tygodnika „Sieci" Ania Dąbrowska, zwyciężczyni drugiej edycji „The Voice Kids".

– Kiedy została nas tylko trójka i każdy miał równe szanse, na pewno pojawiła się u mnie myśl o możliwym zwycięstwie – wspomina Ania. – Ale podczas programu skupiałam się przede wszystkim na tym, aby na kolejnych etapach być coraz lepszą.

Za zwycięstwo otrzymała 50 tys. zł i kontrakt z wytwórnią Universal Music Polska. To druga edycja „The Voice Kids", a zarazem drugie zwycięstwo młodziutkiej wokalistki z Podkarpacia – przed rokiem wygrała jaślanka Roksana Węgiel, późniejsza zwyciężczyni Eurowizji Junior.

WYBRAĆ CLEO

Talent Ani od początku programu zachwycił trenerów i każdy chciał ją mieć w swojej drużynie. Młodziutka wokalistka przyznaje, że najpierw myślała o ekipie Tomsona i Barona. – Ale kiedy stałam na scenie i jurorzy wymieniali różne opinie na mój temat, serce podpowiedziało mi, żeby jednak wybrać Cleo – opowiada. I dodaje: – Z Cleo pracowało się cudownie. Jest bardzo ciepłą osobą, daje wiele cennych rad.

Tuż przed ogłoszeniem wyników finaliści wykonali piosenki ze swoich

eprasa.pl 45edaead13

premierowych singli. Ania zaśpiewała „Małe skrzydła", skomponowaną i napisaną przez Cleo. – Powiedziała mi, że byłam dla niej inspiracją i napisała tę piosenkę specjalnie dla mnie. Kiedy ją usłyszałam, poczułam od razu, że to będzie moja piosenka. Zawsze ją śpiewam z serca.

Podczas finału w telewizyjnym studiu Ani towarzyszyli m.in. rodzice. – Emocje były niesamowite, nie do opowiedzenia – opowiada tata Jarosław Dąbrowski. – Kiedy doszło do momentu ogłoszenia wyników, wydawało mi się, że mam zawał albo coś w tym rodzaju – się śmieje.

Równie mocno przeżywała tę chwilę Magdalena Dąbrowska, mama Ani. – Byłam bliska omdlenia, ugięły mi się nogi – wspomina. I dodaje: – Taka sytuacja przydarzyła mi się dwa razy w życiu. Pierwszy raz – kiedy dowiedziałam się, że nasze córki są chore. Drugi – gdy usłyszałam, że to Ania została uznana za najlepszy dziecięcy głos w Polsce. Kiedy przyszła refleksja, pomyślałam: „Boże, jak Ty potrafiłeś mi wynagrodzić ten ból, który przeżyłam 10 lat wcześniej".



Fot. Jan Bogacz TVP

NIE MAM ZA DUŻO CZASU

Pani Magdalena ma na myśli to, że 10 lat temu, niedługo po narodzinach młodszej córki Alicji, rodzice dowiedzieli się, że zarówno ona, jak i trzy lata starsza siostra Ania są chore na mukowiscydozę – poważną chorobę genetyczną, która powoduje zmiany w układzie oddechowym i pokarmowym.

Ania w trakcie programu nie ukrywała swojej choroby. Wręcz przeciwnie, zdobyła się na poruszające wyznanie: „Największym moim marzeniem jest wydanie pierwszej płyty. Póki jestem w stanie. Muszę szybko spełniać swoje marzenia, bo nie mam za dużo czasu".

– Ania ma świadomość, co się wiąże z mukowiscydozą – wyjaśnia tata. – Wie, że teraz śpiewa, ale może przyjść czas, że nie będzie już mogła tego robić, bo ta choroba jest związana z obciążeniem płuc. Poza tym średnia przeżywalność chorych na mukowiscydozę, choć się poprawia, nadal nie jest wysoka.

Choroba córek wymusiła na państwu Dąbrowskich przeorganizowanie domu. Pan Jarosław zrezygnował z pracy zawodowej, żeby być na co dzień z dziewczynkami, zająć się ich rehabilitacją, wozić je do lekarzy. – Ale nie tak do końca, bo jestem sołtysem Wesołej. To jest moja odskocznia od zajęć domowych i obowiązków związanych z chorobą dziewczynek – podkreśla.

Prowadzenie domu i utrzymanie rodziny spoczęło więc na pani Magdalenie, która jest z wykształcenia pedagogiem specjalnym ze specjalizacją z oligofrenopedagogiki (pedagogiki niepełnosprawnych intelektualnie). Dlatego nie mogła uczestniczyć w każdym spotkaniu podczas kolejnych etapów „The Voice Kids". – Musiałam zostawać w domu z młodszą córką, która ze względu na swoją chorobę wymaga opieki i troski – wyjaśnia. – Ale starałam się dojeżdżać na wszystkie finałowe momenty, kiedy kończyły się kolejne etapy.

Rodzice Ani i Ali podkreślają, że życie osób chorych na mukowiscydozę nie jest łatwe. – Najtrudniejsze jest funkcjonowanie w środowisku, w dużych skupiskach ludzi – podkreśla tata. – Osoby z mukowiscydozą mają zmniejszoną odporność i „zbierają" wszelkie choroby, są bardziej podatne na różne infekcje.

A mama dodaje: – Dlatego bardzo ważna jest samodyscyplina i uporządkowany tryb życia, bo jednak codziennie trzeba wykonać wiele czynności związanych z rehabilitacją. To nie jest tylko gimnastyka usprawniająca, ale inhalacje, przyjmowanie leków do posiłków, oczyszczanie dróg oddechowych i przestrzeganie higieny życia.

Ania uważa, że choroba nie stanowi dla niej przeszkody w śpiewaniu. Wręcz przeciwnie – kiedy śpiewa, jej płuca się powiększają. Nauczyła się też oddychać przeponą poprzez śpiewanie, więc nie obciąża płuc. Jest to zatem swoista rehabilitacja. Po zwycięstwie stwierdziła: „Teraz już się nie boję tej choroby, jest częścią mnie po prostu".

PRZEŁOMOWY ROK

Młoda artystka, pomimo choroby, jest bardzo obciążona obowiązkami. Jest uczennicą ósmej klasy Szkoły Podstawowej im. Józefa Piłsudskiego w Wesołej oraz szóstej klasy Szkoły Muzycznej I stopnia w Dynowie (w klasie fortepianu). Dojeżdża także do Rzeszowa na zajęcia ze śpiewu w Centrum Sztuki Wokalnej.

– Ten rok jest dla Ani w ogóle przełomowy, bo kończy szkołę podstawową i szkołę muzyczną I stopnia, przygotowuje się do sakramentu bierzmowania, a teraz jeszcze ten sukces i obowiązki związane z programem „The Voice Kids". No i oczywiście rehabilitacja – wylicza pani Magdalena. I dodaje: – Będziemy potrzebować wsparcia i zrozumienia ze strony tych wszystkich osób, które z Anią na co dzień przebywają i pracują. Mamy oczywiście różne obawy, ale też zaufanie do ludzi, np. nauczycieli, którzy – jak wierzę – nam pomogą. Zresztą myślę, że każda szkoła będzie chciała przyjąć Ani z otwartymi ramionami.

Dodajmy, że dziewczynka lubi jeździć na deskorolce i rowerze oraz grać w piłkę ręczną. Zapytana, jak znajduje na to czas, przyznaje, że teraz zbytnio go nie ma, ale jeżeli coś się kocha, to zawsze znajdzie się na to chwilę.

Pan Jarosław podkreśla, że nigdy nie zamykali córek pod kloszem, wręcz przeciwnie – starali się, aby mogły rozwinąć skrzydła i żyć normalnie jak inne dzieci. – Życie jest krótkie i nie wiemy, co czeka nas jutro, więc staramy się żyć radośnie każdego dnia – podkreśla tata Ani i Ali.

Zapytany, na czym polega wsparcie jego i żony dla Ani, odpowiada: – Na byciu z nią. Śmieję się, że zazwyczaj robię za kierowcę i ochroniarza. Widzimy, jak Ania pięknie się rozwija i jaką pasją jest dla niej śpiewanie, przebywanie na scenie. Kiedy zobaczyliśmy, że to jest to, co potrafi ją nawet leczyć, tak układamy plany nauki i leczenia, żeby miała czas na realizowanie swoich pasji.

PASJA, PRACA, POKORA

Najważniejszą postacią na artystycznej drodze Ani jest jej nauczycielka śpiewu – Anna Czenczek, dyrektor Centrum Sztuki Wokalnej w Rzeszowie. Zwyciężczyni „The Voice Kids" podkreśla, że jej nauczycielka nie tylko zawsze ją wspierała i promowała, lecz także wspólnie podjęły decyzję, by spróbowała swoich sił w tym programie, co było jej wielkim marzeniem.

eprasa.pl 45edaead13


Ania z rodzicami

Fot. Mateusz Ingiot

Anna Czenczek wspomina, że Ania Dąbrowska przyszła do CSW w 2014 r. – Od samego początku wykazywała się wielką systematycznością – podkreśla. – Dawałam jej do śpiewania bardzo różny repertuar i obserwowałam, jak pięknie się rozwija. Przede wszystkim jednak czerpała radość z tego, co robi.

Dyrektorka CSW podkreśla, że ilekroć była po długiej podróży i od razu musiała być na próbie, bardzo pomagały jej radość i pozytywna energia, z jaką Ania wchodziła na salę. Przyznaje też, że dziewczynka czasami bywała zmęczona – w końcu chodzi do trzech szkół! Wtedy mocne wsparcie dawała jej nauczycielka.

Mama Ani podkreśla, że córka tak pewnie i odważnie podjęła się wyzwania, jakim był udział w „The Voice Kids", dzięki doświadczeniu estradowemu, które zdobyła w CSW.

Tego doświadczenia nabywała, biorąc udział w wielu festiwalach, krajowych i zagranicznych, konkursach i przeglądach.

– Nie zawsze zdobywała na nich nagrody, ale często powtarzam, że nagroda nie jest wyznacznikiem tego, co kto potrafi. Czasami można mieć gorszy dzień lub nie trafić w gust jurorów – podkreśla Anna Czenczek. I dodaje: – Ale najważniejsze jest to, że Ania ma marzenia, które ciężką pracą realizuje.

Ania śpiewała już na jednej estradzie z gwiazdami: Grzegorzem Hyżym, Anią Wyszkoni, Skaldami i Mietkiem Szczęśniakiem, brała też udział w nagraniu piosenki i teledysku tego ostatniego – „Jest jeden świat". Możliwość wspólnego występu i obserwowania gwiazd za kulisami również wzbogaciła jej artystyczną osobowość.

Estradowe obycie zaowocowało tym, że Ania nie ma problemu w kontaktach z mediami. Do tego ma do pomocy stylistę, panią od makijażu oraz dobrych kompozytorów, z którymi współpracuje CSW. To wszystko razem – plus talent – zaowocowało sukcesem.

Dyrektorka CSW zauważa, że Ania uwielbia koncertować, a radość, która jest w niej na co dzień, na scenie wręcz promieniuje. Dlatego dziewczynka bardzo chętnie korzysta z propozycji występów. – A tato wtedy dzielnie stwierdza: „Dobrze, przyjedziemy" – podkreśla. I dodaje: – Rodzice cieszą się z tego, co Ania robi, i nigdy nie narzekają. Nigdy mi nie powiedzieli, że przesadzam z liczbą występów. Zawsze są otwarci na moje zaproszenia.

– Choć są takie sytuacje, kiedy trzeba powiedzieć „stop" – wtrąca mama. – Na przykład kiedy córka musi pójść do szpitala. Ale pani Ania to rozumie i nigdy nie mówi, że śpiew jest najważniejszy.

Zarówno państwo Dąbrowscy, jak i Anna Czenczek zgodnie podkreślają, że – jeżeli chodzi o rozwój Ani – darzą siebie nawzajem ogromnym zaufaniem.

– To są inne typy autorytetu – podkreśla Magdalena Dąbrowska. – Strona organizacyjna, zmotywowanie Ani do wyjścia z domu, to rola rodziców. Wszystko, co dotyczy życia artystycznego, to rola nauczyciela, mistrza. Myślę, że pani Ania wspaniale spełnia tu swoją funkcję. Liczę na dalszą współpracę i objęcie przez nią opiekuńczymi skrzydłami dalszej kariery naszej córki.

– Jeżeli są marzenia, pasja, pokora i współpraca pomiędzy rodzicami, uczniem a nauczycielem, to prędzej czy później zaowocuje to sukcesem – podkreśla Anna Czenczek.

OCHŁONĄĆ PO SUKCESIE

Po sukcesie Ani rozdzwoniły się telefony z prośbami o wywiad i z gratulacjami. – To bardzo miłe, bardzo to lubię, więc nie sprawia mi to problemu – przyznaje zwyciężczyni „The Voice Kids".

We wtorek po finale hucznie powitała Anię jej podstawówka w Wesołej. Młoda artystka podkreśla, że jest wdzięczna swojej klasie, ale także całej szkole, dyrekcji i nauczycielom, za ogromne wsparcie i wysłane SMS-y. Dyrektorka szkoły Lesława Baran powiedziała w TVP Rzeszów, że to olbrzymi zaszczyt dla szkoły, a nauczyciele i uczniowie są szczęśliwi i dumni, że mają taką gwiazdę u siebie. Grzegorz Hardulak, wychowawca klasy Ani, dodał, że „to jest naprawdę bardzo skromna, sympatyczna dziewczynka, więc da radę z naszą pomocą".

Państwo Dąbrowscy i Anna Czenczek są zgodni, że obecnie, kilka dni po sukcesie Ani, jest jeszcze takie nagromadzenie emocji i taki szum medialny wokół niej, iż potrzebne byłoby kilka dni spokoju na ochłonięcie i reset. Trzeba spokojnie wszystko przemyśleć, wysłuchać tego, co czuje Ania, co jej podpowiada serce i intuicja. Wziąć pod uwagę jej dziecięcą psychikę, zdrowie, szkolne obowiązki, ale także marzenia i pragnienia.

– I mądrze to wszystko poukładać, by była szczęśliwa – podkreśla szefowa CSW. – Bo bez sceny jej sobie nie wyobrażam.

Ania również tego sobie nie wyobraża. – Na pewno jest to droga, którą chcę podążać. Chcę związać przyszłość z muzyką i dalej występować – podkreśla.

Ma świadomość, że sława, która spływa nagle na tak młodą osobę, może stanowić zagrożenie. – Trzeba mieć do tego zdrowe podejście i pozostać sobą, żeby nie zwariować – podkreśla.

Pytam Anię, czego jej życzyć na przyszłość. Odpowiada: – Szczęścia. Żeby się wszystko dobrze układało, tak jak do tej pory. Żebym nadal mogła spełniać swoje marzenia. I żeby to, co robię, dawało mi szczęście.

– I dobrych ludzi na artystycznej drodze – dopowiada Anna Czenczek.

eprasa.pl 45edaead13

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



odc. 2

Wojskowość

czas wielkich dowódców

PARTNER DODATKU

ORLEN

cprasa.pl 45edaead13

Czas wielkich dowódców, wielkich wojen

XX-lecie międzywojenne było czasem wielkich dowódców – wojskowi byli wtedy osobami publicznymi, zasłużonymi w boju, podziwianymi przez miliony. Wojskowej historii II Rzeczypospolitej można nadać kształt, obejmując ją dwiema cezurami – początkowa wyznacza największy triumf wolnej polskiej armii, końcowa stanowi jednocześnie jej największą klęskę

Gdy 16 sierpnia 1920 r. siły polskiego Frontu Środkowego, dowodzone osobiście przez naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, uderzyły z pozycji nad Wieprzem na gotujące się do zaatakowania Warszawy oddziały rosyjskiego Frontu Zachodniego, nikt nie się spodziewał aż tak pomyślnego dla Polaków przebiegu zdarzeń. Brawurowy manewr całkowicie zmienił układ sił, wedle którego jeszcze dzień wcześniej upadek polskiej stolicy i de facto koniec niepodległej Rzeczypospolitej był realną wizją zarówno dla obu stron konfliktu (oczywiście z chlubnymi wyjątkami po stronie heroicznych obrońców młodego polskiego państwa), jak i powoli akceptowany przez państwa europejskie (czego wyrazem były postanowienia odbywającej się miesiąc wcześniej konferencji w Spa). To, co nastąpiło po 16 sierpnia, było wielkim triumfem dopiero co zjednoczonej armii II RP nad zaprawioną w wewnętrznych i zewnętrznych bojach wielką Armią Czerwoną Lwa Trockiego. Rozbicie słynnej z okrucieństwa Konarmii Siemiona Budionnego pod Komarowem zatrzymało bolszewickie siły pod wodzą Aleksandra Jegorowa na południu (politrukiem sowieckiego Frontu Południowo-Zachodniego był wówczas nie kto inny, jak późniejszy „wielki wyzwoliciel" Polski Józef Stalin), a ofensywa nad Niemnem zamieniła północne wojska Michaiła Tuchaczewskiego w zgraję maruderów. Po „cudzie nad Wisłą" niepodległość Polski została obroniona, marsz



prasa.pl/45edaead13

bolszewików ku światowej rewolucji zatrzymany, a Józef Piłsudski, weteran walk o niepodległość przeciw caratowi i na frontach wielkiej wojny, stał się człowiekiem instytucją.

Cała wojna polsko-bolszewicka stanowiła tylko część, choć oczywiście tę największą, walki Polaków o ustanowienie granic nowego państwa. Sprawa polska stanowiła problem dla triumfatorów I wojny światowej, bo nikt tak naprawdę nie wiedział, jak ustalić granice państwa leżącego pomiędzy rozczarowanymi rozstrzygnięciami na frontach i w komnatach Wersalu Niemcami a zawsze groźną i teraz zupełnie nieobliczalną, bo rządzoną przez radykalnych komunistów zwanych bolszewikami, Rosją. Polacy musieli wziąć los w swoje ręce. Wojsko Polskie II Rzeczypospolitej złożone było z oddziałów i żołnierzy, którzy w trakcie wielkiej wojny walczyli po stronach wszystkich zaborców, a teraz dysponowali różnym uzbrojeniem czy umundurowaniem. Legiony Polskie, Korpusy Polskie, Błękitna Armia, Polska Organizacja Wojskowa, Armia Wielkopolska – między innymi z tych formacji kształtowała się siła, która już niebawem miała przeprowadzić zwycięskie kampanie niemal na wszystkich odcinkach polskich granic, bo też granice z niemal wszystkimi sąsiadami były przedmiotem ostrych sporów. Dzięki powstaniu wielkopolskiemu cała Wielkopolska została wydarta Niemcom, po powstaniach śląskich i plebiscycie wschodnia część Górnego Śląska przeszła podobną drogę, sprytny manewr wojskowy nazwany buntem przywrócił Polsce Litwę Środkową z Wilnem, po bojach z Ukraińcami pod skrzydła II RP trafiła Galicja Wschodnia ze Lwowem, a o ostatecznym kształcie wschodniej granicy zadecydowała wspomniana wojna z bolszewikami. To właśnie zaangażowanie w walki z Rosjanami zadecydowało o w zasadzie jedynym niekorzystnym militarnie rozstrzygnięciu dotyczącym polskich granic, a mianowicie siłowym zajęciu Zaolzia przez Czechosłowację. Ta sytuacja da o sobie znać wiele lat później, kiedy po układzie monachijskim Polska wymusi na rozbitym południowym sąsiedzie zwrot tych ziem. Konsolidacja ziem polskich rzadko następowała na podstawie rozstrzygnięć przy zielonym stoliku, a częściej poprzez politykę faktów dokonanych wypracowywaną przy bohaterskim udziale polskich żołnierzy.

Wojsko Polskie miało jednego wodza i był nim Józef Piłsudski, choć podejście do jego przywództwa wojskowego, szczególnie na terenach odebranych Niemcom, podawano niekiedy w wątpliwość. Bohater wojny z bolszewikami i legenda Legionów Polskich był naturalnym przywódcą nie tylko polityki wojskowej, lecz również polityki państwowej. Oczywiście, kontakty nie ze wszystkimi dowódcami polskiej armii były dla Marszałka proste, szczególnie dotyczyło to tych spośród nich, którzy byli związani z Narodową Demokracją czy w przeszłości zajmowali eksponowane stanowiska w armii austro-węgierskiej. Międzywojnie było czasem wielkich dowódców, a za wielkością przeważnie szły ambicje. Piłsudski miał swoją wizję armii i nie zamierzał dzielić się władzą wojskową ani z politykami, ani z tymi dowódcami, do których nie żywił zaufania. Zniechęcony sejmokracją, po zamordowaniu prezydenta Gabriela Narutowicza i utworzeniu rządu Chjeno-Piasta, Marszałek odsunął się w 1923 r. w cień, ale po trzech latach, zaniepokojony upolitycznieniem armii, postanowił zareagować. Doprowadził do przewrotu majowego, który tylko dzięki wsparciu piłsudczyków przez kolejarzy nie zakończył się wojną domową pomiędzy siłami rządowymi, wspartymi przez nadciągające z Wielkopolski wojska, a żołnierzami popierającymi racje Marszałka. Po tragicznych walkach na ulicach stolicy obsesją Piłsudskiego stało się odbudowanie i umocnienie jedności armii, która miała od teraz być jeszcze mniej podatna na jakiekolwiek wpływy polityków – do samej śmierci piastował stanowisko ministra spraw wojskowych. Teraz to wojskowi stali się obecni we władzach państwa na nieznaną wcześniej skalę, czego



Józef Piłsudski dokonuje przeglądu 1. Dywizjonu Artylerii Konnej

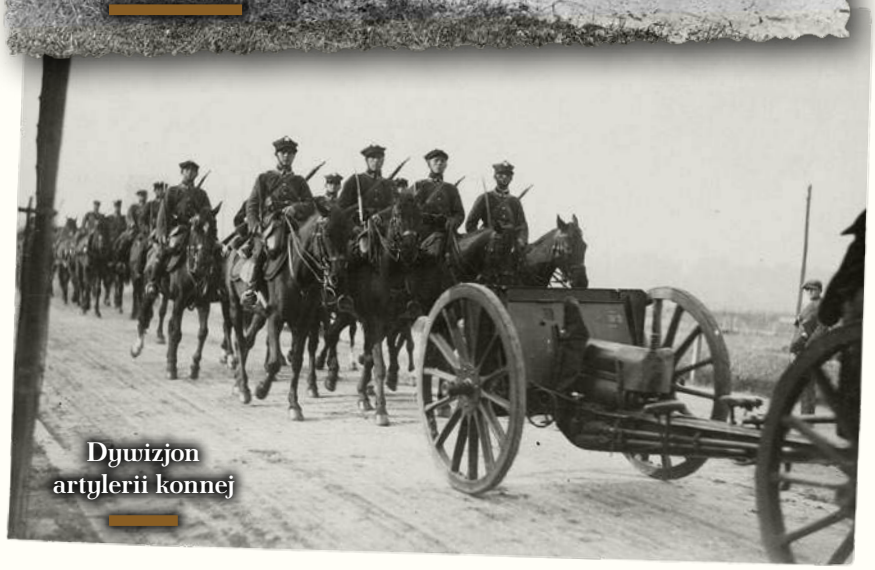
cyfrasa.pl 45edaead13

najjaskrawszym przykładem pozostają „rządy pułkowników". Karierę w wojsku robili przede wszystkim kompani Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (tytuł dzierżony przez Piłsudskiego od 1926 r.) z czasów legionowych, a wielu spośród tych, którzy walczyli po „złej" stronie w trakcie przewrotu, zostało odsuniętych od funkcji dowódczych. Natomiast faktem pozostaje, że autorytet pogromcy bolszewików był wśród żołnierzy niezszargany i niepodważalny, a dopóki Piłsudski żył, pomimo obiektywnych niedostatków polskiej armii można było być pewnym, że w przypadku zagrożenia będzie ona niczym zaciśnięta pięść.

Coraz słabszy stan zdrowia Marszałka niestety nie wyzwolił wśród jego wojskowych popleczników energii do samodzielnego działania i opracowania wizji armii bez swojego wodza, wobec czego po śmierci Piłsudskiego we władzy wojskowej powstała pewnego rodzaju próżnia. Starał się ją wypełnić nowy GISZ, Edward Śmigły-Rydz, ale był po prostu innym typem człowieka niż poprzednik, a dodatkowo jego błyskawiczna kariera (już w 1936 r. otrzymał tytuł marszałka, wcześniej noszony jedynie przez Piłsudskiego) nie odpowiadała znacznej części starej piłsudczykowskiej gwardii, która odbierała to jako obrazę pamięci „ojca niepodległości". Nie da się ukryć, że Śmigły-Rydz lansowany był na wodza narodu wedle propagandowych zabiegów żywcem zaczerpniętych z Włoch, Niemiec czy Rosji. Po zakończeniu kryzysu ekonomicznego stwierdzono, że armia wymaga modernizacji i ustalono plan sześcioletni, którego ambitne zamierzenia trzeba było z powodów finansowych w szybkim czasie zrewidować (pomimo zbierania nadzwyczajnych środków na realizację celów wojskowych w ramach Funduszu Obrony Narodowej). Co nie znaczy, że polski przemysł zbrojeniowy nie miał się czym pochwalić – bombowiec Łoś, czołg 7TP, karabin Maroszka, pistolet Mors czy armata Star, wszystkie pochodzące z rodzimych zakładów, były dowodem daleko posuniętej technologicznej myśli polskich inżynierów. Niestety, produkcja powyższych nie ruszyła przed atakiem Niemców pełną parą, a zamówienia zagraniczne nie dotarły na czas. W 1939 r. Wojsko Polskie nie było armią zdolną konkurować ze swoimi dwoma najbardziej agresywnymi sąsiadami, a Śmigły-Rydz szybko zdał sobie z tego sprawę i przekroczył granicę polską-rumuńską w połowie września, gdy w całym kraju podlegli mu żołnierze walczyli o swoje państwo.



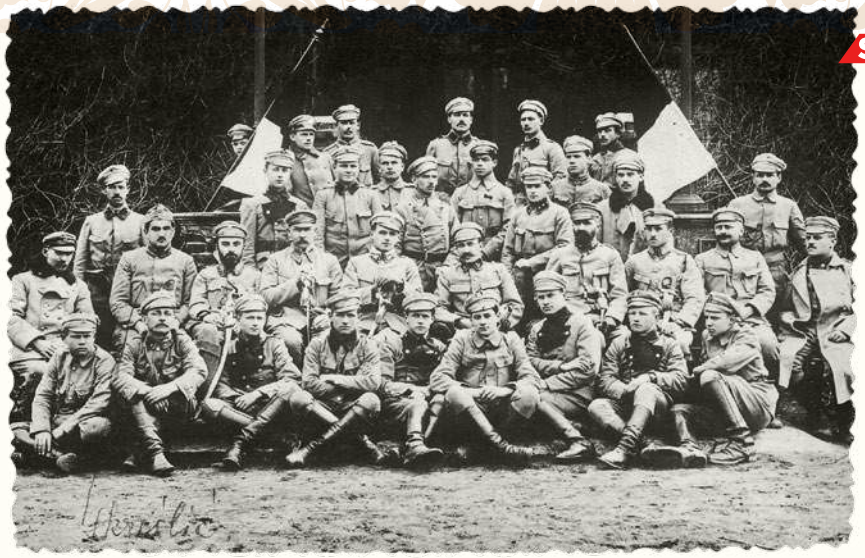
Gniazdo polskiego CKM podczas wojny 1920 r.



Dywizjon artylerii konnej

Pod koniec lat 30. śmiertelny wróg komunizmu Adolf Hitler i nieprzejednany tępiciel faszyzmu Józef Stalin postanowili z powodów taktycznych zakopać wzajemne ideologiczne różnice, które przecież teoretycznie tworzyły przepaść do zasypania niemożliwą. Polityka równowagi pomiędzy Niemcami a ZSRR, prowadzona przez całe dwudziestolecie międzywojenne przez polską dyplomację, doprowadzała do wściekłości całą wierchuszkę rządzących III Rzeszą nazistów, którzy nieustannie mieli nadzieję na uczynienie z II Rzeczypospolitej niemieckiego satelity. Położenie Polski dawało Niemcom nadzieję na wciągnięcie jej do paktu antykominternowskiego i w antybolszewicką krucjatę, ale nieprzejednane stanowisko ministerstwa spraw zagranicznych pod wodzą Józefa Becka te plany przekreślało. Kolejne demonstracje siły III Rzeszy oraz bezradności Wielkiej Brytanii i Francji, jakimi bez wątpienia były remilitaryzacja Niemiec, wypowiedzenie traktatu wersalskiego, Anschluss Austrii, zajęcie Kłajpedy i rozbicie Czechosłowacji, miały w połączeniu z nierealnymi żądaniami dotyczącymi „polskiego korytarza" gdańskiego wzbudzić wśród polityków II RP strach i skłonić do ustępstw – wobec ich braku decyzja Hitlera o ataku na niesfornego sąsiada była pewna. Z drugiej strony rządzący Rosją bolszewicy, a dokładniej dzierżący władzę absolutną Stalin, mający wielki talent do odkrywania gigantycznych wewnętrznych i zewnętrznych spisków, był przekonany o potajemnych ustaleniach pomiędzy Polską, Niemcami i Japonią, które w konsekwencji miały doprowadzić do obalenia komunistycznych rządów w Związku Radzieckim. Krwawy dyktator miał również wielkie mniemanie o działaniach słynnej „dwójki",

eprasa.pl/45edaead13



Żołnierze Legionów Polskich. Widoczni m.in. Walery Sławek (siedzi 4. z prawej w 2. rzędzie), Michał Karaszewicz-Tokarzewski (siedzi 5. z lewej w 2. rzędzie), Adam Skwarczyński (siedzi 3. z lewej w 2. rzędzie)

Fot. Biblioteka Narodowa, NAC x3

czyli polskiego wywiadu wojskowego, na terenie ZSRR. Wyrazem stosunku Stalina do Polaków była operacja polska NKWD przeprowadzona w ramach wielkiej czystki, która wraz z wywołaniem wielkiego głodu na Ukrainie była praktycznym zastosowaniem ludobójstwa na długo, zanim po podobne środki sięgnął Hitler. Polskie władze nie mogły ani nie chciały pozwolić na „pomoc" ze strony Rosjan w przypadku agresji Niemiec, co nie spotykało się ze zrozumieniem ze strony Francuzów i Brytyjczyków. Wydawało się, że do obrony niepodległości w przypadku niemieckiego ataku wystarczające są gwarancje uczestnictwa w wojnie przeciw Hitlerowi, jakich Londyn i Paryż udzieliły Warszawie.

Gdy świat obiegła wieść o pakcie zawartym przez Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa, wszyscy zaniemówili. Dołączony do niego tajny protokół dodatkowy był postanowieniem o IV rozbiorze Polski i nie dawał II Rzeczypospolitej najmniejszych szans na przetrwanie. Do rozpętanego 1 września przez Hitlera piekła ochoczo dołączył 17 września Stalin, a wyczekiwane przez 123 lata państwo przestało istnieć. Żołnierze Wojska Polskiego walczyli z największym poświęceniem, zgodnie z pamiętnymi słowami przemówienia Józefa Becka, które po dziś dzień wydają się jednymi z najważniejszych w polskiej historii: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor". Wojsko honoru nie straciło, ale suchy i ciepły wrzesień 1939 r. straszliwie je wykrwawił. Dlaczego formacja, która dwie dekady wcześniej zadała druzgocącą klęskę jednej z największych armii świata, okazała się niemal bezradna? Oczywiście, nikt o zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że w równoczesnym starciu z niemieckimi i rosyjskimi siłami jakakolwiek armia ówczesnego świata miałaby większe szanse, ale tempo dezintegracji polskich formacji było zaskakujące. Musimy pamiętać o tym, że II RP nie była państwem bogatym, a wielki kryzys ekonomiczny pierwszej połowy lat 30. w niewielu miejscach miał cięższy przebieg niż nad Wisłą. Budżet nie pozwalał na to, aby armia była odpowiednio modernizowana i dozbrajana, czego przeciwieństwem było tempo zbrojenia się III Rzeszy. Szwankował przestarzały system łączności, marynarka i lotnictwo w zasadzie nie istniały w porównaniu z siłami niemieckimi, broń pancerna również nie miała podjazdu do tego, czym dysponowały III Rzesza i ZSRR. Kadra oficerska nie grzeszyła wysokim wykształceniem, a system dowodzenia, wedle którego wszystkie armie raportowały bezpośrednio do marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, był co najmniej problematyczny. Musimy również pamiętać o estymie, jaką cieszył się zmarły w 1935 r. Józef Piłsudski, ojciec i wódz polskiej armii – próżno szukać dziś przykładów takiego oddania, jakie prezentowali wojskowi względem Komendanta. Gdy go zabrakło, wojsko zostało niejako „osierocone", a istniejące w nim od początku niepodległości podziały (wzmocnione jeszcze bratobójczymi walkami na ulicach Warszawy w 1926 r.) znów dały o sobie znać. Oparcie armii na waleczności piechoty i kawalerii, co jeszcze niedawno mogło wystarczyć, w 1939 r. było pomysłem zbyt prostym.

Niemcy na polskich ziemiach wypróbowali rewolucyjną taktykę blitzkriegu, która przy odpowiedniej organizacji i ruchliwości dywizji pancernych, zmechanizowanych oddziałach piechoty i wsparciu ponad tysiąca bombowców przyniosła śmiercionośne rezultaty. Polska została otoczona ze wszystkich stron i musiała we wrześniu bronić długich granic (w tym niemal 3 tys. km granicy z Niemcami i 1,5 tys. km granicy z Rosją), co było w zasadzie niemożliwe, szczególnie że niemal nigdzie nie zbudowano fortyfikacji. Dodatkowym problemem była zbyt późno zarządzona mobilizacja (aby nie rozdrażnić Niemców, jak przekonywali wówczas Brytyjczycy i Francuzi), przez co na placu boju stawiło się prawie pół miliona żołnierzy mniej, niż zakładano. Brawurowe akcje Niemców, błędy w polskim systemie dowodzenia i chaos wśród politycznych decydentów, w połączeniu z czysto obiektywną przewagą armii III Rzeszy i ZSRR, sprawiły, że Polacy przystąpili do masowej ewakuacji na teren przedmościa rumuńskiego. Tam mieli oczekiwać na zdecydowane ruchy Francji i Wielkiej Brytanii na zachodzie Europy. Jak wiadomo, te nigdy nie nastąpiły, choć trzeba zupełnie uczciwie stwierdzić, że dla ówczesnej sytuacji Polski niewiele mogło to zmienić. Czwarty rozbiór, tym razem dokonywany przez dwa najbardziej zbrodnicze totalitaryzmy w dziejach świata, stał się faktem. Co najważniejsze, duch polskiego żołnierza nie został złamany. Część wojska zajęła się tworzeniem podziemnego ruchu oporu, którego zasięg, liczebność i skuteczność nie miały sobie równych podczas II wojny światowej, inni reorganizowali się poza okupowaną Polską. Waleczność Polaków na wszystkich frontach wojennej zawieruchy stała się powodem do dumy dla przyszłych pokoleń – to również w jakiś sposób sukces ideałów i przekonań, które II Rzeczpospolita wpajała swoim obywatelom.

Michał Muzyczuk

cprasa.pl 45edaead13

Grono wybitnych wojskowych II RP jest szczególnie liczne

Z dr. Andrzejem Gładyszem z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego rozmawia Maciej Wolny

Jaki był stan polskiej armii po I wojnie światowej?

Dr Andrzej Gładysz: Przede wszystkim polska armia nie była jednolita. Dysponowaliśmy żołnierzami, którzy byli wyszkoleni i uzbrojeni przez trzech zaborców: Niemcy, Austro-Węgry i Rosję. W ramach ich armii w trakcie I wojny światowej funkcjonowały formacje z założenia polskie, takie jak znane wszystkim Legiony Polskie czy Legion Puławski (po stronie carskiej Rosji), ale także oddziały w znacznej mierze złożone z Polaków pod obcą komendą. U progu niepodległości mieliśmy do dyspozycji grono oficerów bazujących na szkoleniu i regulaminach poszczególnych armii zaborczych. Ponadto na terenie kraju funkcjonowała Polska Organizacja Wojskowa, licząca kilkadziesiąt tysięcy osób formacja podziemna, przygotowana do tego, żeby w odpowiednim momencie wziąć broń do ręki i walczyć o niepodległą Polskę. Mieliśmy także rodaków służących w wojsku u boku aliantów zachodnich. Największym i najbardziej istotnym tego typu zgrupowaniem była tzw. Błękitna Armia Józefa Hallera. W toku odzyskiwania niepodległości, na przestrzeni lat 1918–1921 powoływani byli do wojska cywile pozbawieni jakiegokolwiek przeszkolenia. Było to wymuszone przede wszystkim działaniami toczonymi na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, ale również na terenach południowych czy zachodnich – chociażby na Śląsku czy w Wielkopolsce.

Jak w takim razie wyglądał proces scalania się formacji wojskowych na początku dwudziestolecia międzywojennego?

Pierwszy moment scalający miał miejsce w październiku 1918 r. w Warszawie. Rada Regencyjna Królestwa Polskiego powołała na szefa sztabu Wojsk Polskich gen. Tadeusz Rozwadowskiego. Przełomową chwilą był przyjazd do Polski Józefa Piłsudskiego, który 11 listopada objął władzę zwierzchnią nad Wojskiem Polskim. Dzień później wydał pierwszy rozkaz skierowany do żołnierzy odradzającej się armii. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że pozostałość po rozbiorach jest bardzo silna i w samej grupie wojskowych są nieporozumienia, zarówno osobiste, jak i związane z wojskowym rzemiosłem. Dlatego podkreślał, że liczy na przezwyciężenie tych różnic i szybką odbudowę poczucia koleżeństwa oraz wspólnoty w armii. W perspektywie walk o granice na wschodzie i zachodzie oraz wojny polsko-bolszewickiej rzeczywiście udało się to osiągnąć dosyć szybko, chociaż niesnaski w wojsku pojawiały się również później, już po ustaleniu granic i w trakcie istnienia II Rzeczypospolitej.

Jaki wpływ na jedność Wojska Polskiego miał przewrót majowy?

To temat kontrowersyjny i do dzisiaj budzący wiele wątpliwości. Znajdą się poglądy tłumaczące działanie Józefa Piłsudskiego: pogłębiający się kryzys gospodarczy, społeczny, polityczny. Piłsudski zaczął też odczuwać, że jego wpływy w wojsku słabną, a cały czas w tym środowisku funkcjonowało wielu jego bliskich oficerów, którzy go bardzo szanowali i darzyli umiłowaniem jako ojca niepodległości oraz wodza. Marszałek zdecydował się na przewrót wojskowy, który jest krytycznie oceniany przez historyków. W tym kontekście mówi się wręcz o końcu demokracji w Polsce. Z całą pewnością to wydarzenie dla wojskowych było szalenie tragiczne, ponieważ przywracało bliskie wspomnienia o tym, jak Polak musiał strzelać do Polaka. Między 12 a 15 maja, kiedy toczono walki, zginęło w Warszawie niemal 400 osób – zarówno po stronie rządowej, jak i piłsudczyków. Z przewrotem majowym wiązało się też wiele osobistych tragedii, chociażby ta dotycząca legionisty, płk. Mieczysława Więckowskiego, będącego w 1926 r. dowódcą 7. Pułku Piechoty, który popełnił samobójstwo, nie mogąc dokonać osobistego wyboru pomiędzy rządem a Piłsudskim.

Jak w tych okolicznościach polska armia przygotowywała się do agresji płynącej zarówno ze wschodu, jak i zachodu?

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej regularnie planowano i rozwijano koncepcje związane z obroną granicy wschodniej. Zakładano działania na kierunkach białoruskim oraz ukraińskim. Dwa teatry walki były naturalnie rozdzielone poleskimi bagnami, które uniemożliwiały poważniejsze akty zbrojne na tym terenie. Opracowano szczegółowy plan zakładający funkcjonowanie czterech–pięciu armii w pierwszej linii i dwóch kolejnych oraz odwodu w następnej. Połowa sił będąca w pierwszej linii miała przyjąć uderzenie sowieckie, natomiast druga część pozostawała do dyspozycji i mogła być użyta na wybranym kierunku. Cały plan zmierzał do tego, żeby większość swoich sił skupić przeciwko części ugrupowania przeciwnika. Wydaje się jednak, że na etapie planowania nie doceniano liczebności armii Związku Sowieckiego, bagatelizowano postęp technologiczny, ilość sprzętu, artylerii oraz broni pancernej,

prasa.pl 45edaead13



Gen. Tadeusz Rozwadowski





Oficerowie Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera

która była nieporównywalnie wyższa od stanu, jakim dysponowało Wojsko Polskie. Natomiast w operacyjnym planie zachodnim kluczowa była śmierć Józefa Piłsudskiego. Marszałek nie doceniał zagrożenia ze strony nazistowskich Niemiec. Nawet po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera plany sztabowe dotyczące obrony granicy zachodniej nie postępowały. Był to kierunek raczej lekceważony. Od lat 20. wprawdzie istniał tzw. plan S, który dotyczył mobilizacji armii polskiej w razie wojny z Niemcami, ale był on w latach 30. już nieaktualny. Następca Piłsudskiego, Edward Rydz-Śmigły, podjął problem zagrożenia ze strony Niemiec, jednak analizy te początkowo nie przełożyły się na wymierne dokumenty sztabowe. Prace dotyczące nowego planu operacyjnego, o nazwie „Zachód", oficjalnie ruszyły dopiero w marcu 1939 r. Kolejnym problemem było zajęcie Czechosłowacji – spowodowało ono konieczność obrony kierunku południowego. Wprowadziło to roszady do planu operacyjnego, mające na celu obronę południowych rubieży II RP. Spodziewano się uderzenia niemieckiego z Prus Wschodnich i uderzenia z południa – obu w kierunku Warszawy. Poważnym mankamentem planu było oparcie go na założeniu sojuszu z Wielką Brytanią i Francją. Warunkiem pomocy aliantów miało być pokazanie, że Polska czynnie broni się przed agresją. W związku z tym musiano podjąć ryzyko bitwy granicznej, żeby nie oddawać terenu bez walki. Plan zakładał wycofywanie się i prowadzenie walk opóźniających. Ponownie nie doceniono przewagi sprzętowej i liczebnej armii niemieckiej. Co gorsze – zdecydowanie przeceniono wsparcie aliantów, którzy nie tylko faktycznie nie zaangażowali się w wojnę z Niemcami, lecz również na ostatnim etapie przygotowań, latem 1939 r., nie wsparli ani finansowo, ani sprzętowo państwa polskiego.

Żołnierze potrzebują dowódcy. Jakie były według pana najwybitniejsze postacie polskiej wojskowości tamtego okresu?

Niewątpliwie kluczową postacią militarną był Józef Piłsudski. Nie był on profesjonalnym wojskowym, ale potrafił sobie dobrze radzić z żołnierzami, zwłaszcza niższych szczebli. Istotną postacią był gen. Tadeusz Rozwadowski. O jego znaczeniu może świadczyć trwająca do dziś dyskusja na temat sukcesu w Bitwie Warszawskiej. Kolejną ważną personą był Józef Haller, który przyprowadził z Francji bardzo silną formację złożoną z Polaków. Mieliśmy grono oficerów legionowych, chociażby Kazimierza Sosnkowskiego. Mamy tu do czynienia z postaciami malowniczymi, wręcz legendarnymi, jak słynny Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ale również z takimi o bardzo ugruntowanej wiedzy i wykształceniu wojskowym. Wielu oficerów polskiego pochodzenia kończyło szkoły wojskowe zarówno w Rosji, jak i w Austro-Węgrzech. Później swoje umiejętności wykorzystywali w służbie na rzecz odradzającego się Wojska Polskiego i walki o granicę niepodległej ojczyzny. W kontekście roku 1918 warto wspomnieć również postać znakomitego oficera, bardzo zasłużonego dla sprawy polskiej, gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, dowódcy I Korpusu Polskiego, następnie walczącego na czele powstania wielkopolskiego. Moim zdaniem grono tych wybitnych postaci polskiej wojskowości okresu dwudziestolecia międzywojennego jest szczególnie liczne i godne pamięci.

Fot. NAC x3

eprasa.pl 45edaead13

Pierwsza wojna Niepodległej



W pamięci polskiego narodu najistotniejsze miejsce pośród walk niepodległej Polski zajmują starcia z bolszewikami, które faktycznie zadecydowały o kształcie II Rzeczypospolitej. Ale nie można zapominać o tym, co się działo na Kresach Wschodnich przed wybuchem wojny z Armią Czerwoną. Zanim Polska stała się przedmurzem walki ze światową rewolucją komunistyczną, musiała się uporać z armią narodu marzącego o własnym niepodległym bycie

„Zgliszczami i cmentarzami znaczy bóg wojny swój odwieczny a dotąd nie ujarzmiony krwawy pochód po ziemi. Ale za to hojnie wynagradza zwycięzców, dając w zamian dary, jakich zwykle ani prawo, ani sprawiedliwość dać nie potrafi: wolność, niepodległość, ojczyznę! Mieczem wykuwa się granice i wywalcza się byt narodu i od miecza się ginie lub traci to, co się posiadało [...]" – tymi słowami gen. Tadeusz Kutrzeba rozpoczyna swój szczegółowy opis wyprawy kijowskiej z 1920 r. Po odzyskaniu niepodległości 11 listopada 1918 r. bardzo szybko musimy unieść ten metaforyczny miecz w obronie dopiero co zmartwychwstałego państwa. Najwcześniej konieczność obrony przyszłych granic raczkującego jeszcze państwa polskiego pojawia się na Kresach Wschodnich, a konkretnie w Galicji Wschodniej.

W tym czasie w naszej polityce wschodniej dominują dwie koncepcje: inkorporacyjna reprezentowana przez endecję i stojącego na jej czele Romana Dmowskiego oraz federalistyczna lansowana przez Józefa Piłsudskiego. Ani Piłsudski, ani Dmowski nie biorą do końca pod uwagę w swoich planach ruchów nacjonalistycznych, które kształtują się na terenie Kresów od połowy XIX w. W tym okresie mamy do czynienia z odrodzeniem ruchu narodowego Litwinów, rozpoczyna się również proces kształtowania narodu ukraińskiego, w mniejszym stopniu te tendencje dostrzegamy na Białorusi.

Po wybuchu rewolucji październikowej Rosja stoi w ogniu, walki prowadzone są na kilkunastu frontach, daje to szansę na przejęcie kontroli nad Kresami Wschodnimi Niemcom i Austro-Węgrom. Państwa centralne na zajętych terenach starają się ograniczać żywioł polski, a niemieckie dowództwo Oberkommando-Ostfront skutecznie wpływa na pogłębienie sporów między sąsiadami. W lutym 1918 r. państwa centralne zapraszają przedstawicieli Ukraińskiej Centralnej Rady do udziału w rozmowach pokojowych prowadzonych w Brześciu z Rosją Radziecką, uznając tym samym powstanie państwa ukraińskiego. Podpisują separatystyczny pokój z Ukraińcami i jednocześnie zrywają rokowania z bolszewikami, a ich wojska przez nikogo niepowstrzymywane ruszają w głąb Białorusi, Litwy, Łotwy i Ukrainy. 3 marca 1918 r. podpisują układ pokojowy z Rosją radziecką. W listopadzie 1918 r. Ober-Ost rozciąga się na przestrzeni 2,5 tys. km od Zatoki Botnickiej po Morze Azowskie i stanowi żywą tamę chroniącą Europę przed zalewem rewolucji z Rosji. Po zakończeniu I wojny światowej brytyjski minister wojny Winston Churchill stwierdza: „Skończyła się wojna olbrzymów, rozpoczęły się waśnie pigmejów".

W październiku 1918 r. rozpadają się Austro-Węgry, a Ukraińcy w Galicji Wschodniej przygotowują się do przejęcia władzy. W okresie konfliktu polsko-ukraińskiego na terenie Ukrainy występują aż trzy byty, które twierdzą, że

eprasa.pl 45edaead13

posiadają mandat do reprezentowania narodu ukraińskiego. Lwów pierwszy skupia ich uwagę, ponieważ stanowi główny ośrodek miejski i polityczno-kulturalny Polaków w regionie. Polacy mają informacje o przygotowywanym przez Ukraińców puczu wojskowym, ale podejmują wyjątkowo nieskoordynowane działania. 1 listopada 1918 r. Ukraińcy chwytają za broń, za cichym przyzwoleniem władz Austro-Węgier opanowują Lwów i w krótkim czasie całą Galicję Wschodnią, a połączenia kolejowe i telefoniczne z Galicją Zachodnią zostają zerwane. W polskich organizacjach paramilitarnych we Lwowie rozpoczyna się mobilizacja, ale brakuje w zasadzie wszystkiego, nie ma broni ani odpowiedniego ekwipunku, toteż pierwsze akcje skupiają się na ich pozyskiwaniu. Wśród polskich sił, liczących 5 listopada trochę ponad 6 tys. ludzi, prawie ¼ stanowią młodociani, w tym młodzież i dzieci w wieku od 12 do 17 lat. Ich heroizm wpłynie na ukształtowanie się w późniejszym czasie legendy Orląt Lwowskich. W kraju organizują się oddziały odsieczowe – jeden z nich pod przywództwem ppłk. Michała Karasiewicza-Tokarzewskiego za pomocą pociągów brawurowo przedziera się z Przemyśla do Lwowa 19 listopada. Ostatecznie udaje się przełamać ukraiński opór i w nocy z 21 na 22 listopada oddziały Ukraińców opuszczają Lwów. Nie zmienia to sytuacji w całej Galicji Wschodniej, która nadal znajduje się pod ukraińską kontrolą – Lwów jest zablokowany.





W kolejnych miesiącach wielokrotnie dochodzi do prób odblokowania miasta, ale wciąż brakuje szerszego planu uporania się z Ukraińcami w całym regionie. W kwietniu 1919 r. linia frontu przebiega w odległości ok. 100 km na wschód od Lwowa. Walki wciąż mają jednak ograniczony charakter, wpływ na to mają kwestie polityczne, w szczególności naciski mocarstw na zaprzestanie walk. To powtarzająca się tendencja podczas całego okresu konfliktu polsko-ukraińskiego. Znaczącą rolę odgrywa w tym brytyjski premier David Lloyd George, który stara się wykorzystać działania Polaków w Galicji Wschodniej przeciwko nim samym w trakcie konferencji paryskiej.

Pod koniec kwietnia powstaje plan generalnej ofensywy w Galicji Wschodniej i na Wołyniu. Polska zamierza w niej wykorzystać armię gen. Hallera, która formalnie podlega mocarstwom, co powoduje kolejny konflikt na linii II RP – mocarstwa zachodnie. Po raz pierwszy Polacy mają przewagę nad wojskami ukraińskimi. Generalna ofensywa rusza w maju, dowództwo operacyjne przejmuje osobiście Piłsudski. Dzięki lepszemu przygotowaniu strategicznemu i natarciu w kilku kierunkach udaje się przełamać front. Ukraińcy są w odwrocie, spychani systematycznie na wschód. 22 maja 1919 r. ofensywa się zatrzymuje. Francuski premier Georges Clemencau, jednocześnie przewodniczący konferencji paryskiej, w trakcie rozmowy z Dmowskim jasno daje do zrozumienia, że dalsze prowadzenie przez Polskę działań zaczepnych negatywnie odbije się na negocjacjach dotyczących jej zachodniej granicy. W czerwcu konferencja pokojowa ma się ku końcowi. Zmienia się stanowisko mocarstw, a brytyjski minister spraw zagranicznych A.J. Balfour składa projekt przyznający Polsce prawo do ustanowienia „tymczasowej okupacji wojskowej Galicji Wschodniej, aż po rzekę Zbrucz". Pod koniec czerwca rozpoczyna się dalsza część ofensywy, 14 lipca Ukraińcy wycofują się za Zbrucz. 17 lipca kończy się operacja wojskowa w Galicji Wschodniej. Umożliwiła ona przetestowanie nowo powstałej polskiej armii na poziomie operacyjnym i strategicznym, co będzie kluczowe w kontekście zbliżającego się walnego konfliktu z bolszewikami.

Walki z Ukraińcami toczą się również na Wołyniu, wycofywanie się Ober-Ostu zachęca polskie dowództwo do zajęcia tych terenów. Wojska atamana Szymona Petlury coraz bardziej angażują się w konflikt z Armią Czerwoną i jego uwaga odwraca się od tych terenów. W trakcie generalnej ofensywy na froncie ukraińskim oddziały na Wołyniu prą do przodu bez większych przeszkód. W czerwcu we Lwowie dochodzi do rokowań z ludźmi Petlury. Mimo że układ nie wchodzi w życie, walki na Wołyniu nie są już kontynuowane. Nieuznanie pod koniec czerwca przez Radę Najwyższą konferencji wersalskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej skutkuje tym, że Petlura zaczyna postrzegać Polskę jako sojusznika w walce z bolszewikami. Ostatecznie kwestię granicy na Wołyniu rozstrzygnie traktat ryski. Mimo oporu ze strony mocarstw polityka faktów dokonanych przynosi efekty. Galicja Wschodnia przynajmniej na jakiś czas jest zabezpieczona. Polskie działania na Ukrainie bynajmniej nie spotykają się z aprobatą miejscowej ludności, której stosunek do Polaków jest bardzo negatywny – można nawet mówić o nienawiści do Lachów. Ukraińcy poddadzą się tej nienawiści i dadzą upust żądzy zemsty w trakcie niemieckiej okupacji ziem II Rzeczypospolitej.

Dominik Pawlik

Fot. Biblioteka Narodowa x2

cprasa.pl 45edaead13

Obywatelu, broń się!

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nie tylko wojsko stoi na straży bezpieczeństwa. Pomijając inne powołane do tego celu służby i formacje – jak policja czy różnego rodzaju straże – powszechny obowiązek obronny spoczywa na każdym obywatelu. Nakłada go na nas Konstytucja RP w artykule 85. W dwudziestoleciu międzywojennym z punktu widzenia prawa było podobnie, choć mam wrażenie, że rozumienie i interpretacja tej powinności przez społeczeństwo w tamtych latach miały inny wymiar niż dziś. Nie ma się czemu dziwić, ponieważ wywalczone z ogromnym poświęceniem po 123 latach zaborów wolność i niepodległość cały czas były wystawiane na próby i ciągle narażane, choć z różnym natężeniem, na realną groźbę utraty

Być może dlatego różnorodność obywatelskich inicjatyw proobronnych w Polsce w latach 1919–1939 jest tak ogromna i przybiera czasem bardzo skrajne formy. Przyjmując, że inicjatywą obywatelską nazywamy wszystkie dobrowolne działania oddolne cywilów, mające na celu podtrzymywanie i wzmacnianie gotowości obronnych społeczeństwa, mieszczą się w tym pojęciu zarówno zrzeszanie się w organizacjach paramilitarnych, uprawianie sportów obronnych, organizowanie branżowych przysposobień wojskowych, jak i deklaracje gotowości do największego poświęcenia, czyli legendarna lista polskich „żywych torped".

Czym innym jest sposób wykorzystania tych inicjatyw przez wojskowych. Myślę, że generałowie, administracja i władze II RP doskonale zdawali sobie sprawę z tego potencjału, wykorzystywali i wspierali go w miarę możliwości, czego dowodem mogą być choćby regulacje prawne zwalniające aktywnych proobronnie obywateli z części obowiązkowej służby wojskowej lub przyznawane urlopy czy inne gratyfikacje. Strukturalnie pieczę nad wszystkimi sprawami związanymi z tym tematem miał od 1927 r. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, podległy bezpośrednio Ministerstwu Spraw Wojskowych. Poszczególne departamenty utrzymywały kontakty z dużymi organizacjami, takimi jak Strzelec, a inne monitorowały działania branżowych przysposobień wojskowych lub przyjmowały oraz opracowywały nietypowe zgłoszenia i inicjatywy obywatelskie.



Obóz Przysposobienia Wojskowego Kobiet w Istebnej



Oddziały Związku Strzeleckiego podczas defilady przed prezydentem RP

Dużą uwagę należy poświęcić przysposobieniu obronnemu ogólnemu oraz branżowym i specjalistycznym przysposobieniom wojskowym. Powstawały one przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego – na początku w wyniku przekształceń z organizacji bojowych istniejących przed Wielką Wojną oraz wojnami o granice Polski lub w ich czasie. Później były tworzone w odpowiedzi na potrzeby powstające w różnych środowiskach zawodowych i pasjonackich. Najważniejsze i najliczniejsze przysposobienia obronne to przede wszystkim słynne PWK, czyli Przysposobienie Wojskowe Kobiet, utworzone w latach 20. w miejsce OLK – Ochotniczej Legii Kobiet, której członkinie od listopada 1918 r. zasłużyły się w walkach z Ukraińcami i bolszewikami. W szeregach PWK nie brakowało instruktorek z praktycznym doświadczeniem bojowym, dlatego kolejne pokolenie kobiet miało możliwość odebrania fachowego wyszkolenia

Fot. NAC 23 | 41/0219/F

cyfrasa.pl 45edaead13

i przygotowania w dziedzinie służby medycznej oraz pomocniczej na rzecz wojska i cywilów. Członkinie PWK niejednokrotnie dały heroiczny dowód tego przygotowania w działaniach zbrojnych lat 1939–1945, a niekiedy i po roku 1945. Kolejną dużą grupą przysposobień wojskowych są organizacje oparte na mundurowych zawodach publicznych. Jednym tchem można tu wymienić Przysposobienia Wojskowe Kolejowe, Pocztowców, Leśników, ale również takie formacje jak specjalistyczne przysposobienia wojskowe lotnicze, marynarskie czy pancerne. Kolejarze i pocztowcy niejednokrotnie brali na siebie ciężar walki na pierwszej linii frontu we wrześniu 1939 r. Wielogodzinna obrona Poczty w Gdańsku, wykolejenie lub zatrzymanie wrogich składów na węzłach i bocznicach kolejowych w okolicach Trójmiasta oraz Tczewa to tylko nieliczne przykłady doskonałego przygotowania pracowników PKP i poczty do walki zbrojnej. Istniało również powołane jako jedno z pierwszych i posiadające tradycje sięgające epoki napoleońskiej Przysposobienie Wojskowe Konne. W tym przypadku trudno mówić o zawodzie. Była to raczej specjalizacja oparta na pasji i tradycjach kawaleryjskich. Wszak koniarze to do dziś bardzo specyficzne środowisko. PWKon zwane też „Krakusami" i kontynuujące tradycje właśnie tej formacji kawalerii, utworzonej w 1812 r., pojawia się pod swoją nazwą w dwudziestoleciu międzywojennym pod koniec lat 20. jako inicjatywa uczniów szkół i byłych lub czynnych wojskowych mogących sobie pozwolić na posiadanie i operowanie własnymi końmi. Wszystkie te inicjatywy były synergią trudu cywilów i wojskowych, którego istotny wpływ na obronność II RP jest znaczny oraz zauważalny historycznie.

Organizacje paramilitarne z najstarszymi tradycjami to niewątpliwie Strzelcy i w pewnym stopniu również ruch sokoli, który jako formacja mundurowa w głównym nurcie skoncentrowana na wychowaniu fizycznym i sporcie, bliski idei ruchu harcerskiego i skautowskiego, nie wykluczał szeroko pojętych szkoleń wojskowych czy proobronnych. Obie organizacje powstały jeszcze przed Wielką Wojną, choć znacznie starszą inicjatywą jest ruch sokoli, którego początki datuje się na drugą połowę XIX w. Do Strzelców należy też dołączyć organizację Orląt istniejącą od 1933 r. i zrzeszającą najmłodszych, nastoletnich członków. Dwudziestolecie międzywojenne to rozkwit organizacji strzeleckich. W latach przed Wielką Wojną istniało kilka formacji noszących takie nazwy, obok kilku związków byli to m.in. tzw. Drużynnicy oraz Towarzystwo Strzeleckie. Podczas działań wojennych w latach 1914–1918 prawie wszyscy członkowie tych formacji zasilali szeregi Legionów Polskich i innych organizacji zbrojnych, w tym Polskiej Organizacji Wojskowej, a po 11 listopada 1918 r. Strzelcy stanęli do walki o granice na wszystkich frontach powstań i wojen o kształt Polski. Gdy granice zostały ustalone, członkowie organizacji przeszli do realizacji wszystkich założeń statutowych w warunkach pokoju, szkoląc swych członków w zakresie aktywności związanych z szeroko pojętą obronnością.

Najbardziej skrajną i niebywałą jak na polskie warunki kulturowo-społeczne inicjatywą proobronną końcówki dwudziestolecia międzywojennego jest tzw. lista polskich żywych torped. Określenie „żywe torpedy" nie musi oznaczać działania rozumianego tylko jako samobójcze misje typu kamikaze. Pierwsze skojarzenia w odniesieniu do „żywych torped" kierują nas w stronę Japonii i końcówki II wojny światowej, prawda jest jednak inna. Tego typu formacje i środki walki zakładały najczęściej samotną walkę i zadanie jak największych strat nieprzyjacielowi, przy skrajnie ryzykownej akcji i ograniczeniu do minimum strat własnych. Były one przewidywane do użycia w różnych formach na lądzie, morzu i w powietrzu w wielu armiach świata, a w kilku zostały zrealizowane z różnymi skutkami. Nie wszystkie zakładały pewną śmierć pilota lub operatora broni. W warunkach Polski przed rokiem 1939 „żywe torpedy" pozostały tylko w fazie koncepcyjnej, a ich główny ślad zachował się jako legendarna lista zgłoszeń i deklaracji niemal 1,5 tys. ochotników gotowych na najwyższe poświęcenie dla obrony ojczyzny.

Po roku 1989 reaktywowano część przedwojennych organizacji, które z wiadomych względów musiały zakończyć działalność i nie istniały w czasach PRL, kiedy komunistyczne władze powołały w ich miejsce własne formacje. Dziś tradycje międzywojenne współistnieją z zupełnie nowymi inicjatywami, dostosowanymi do warunków współczesnych. Są one dostępne prawie dla każdego – sam jestem członkiem jednej z odrodzonych formacji proobronnych. Aktywność społeczeństwa w dziedzinie obronności w II RP była godna podziwu. Czy została ona odpowiednio wykorzystana przez wojsko i struktury państwowe? To już temat na inny artykuł.

Jan Nałęcz



Członkini Przysposobienia Wojskowego Kobiet z karabinem Mauser 7,92 mm na straży

cprasa.pl 45edaead13

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl 45edaead13



Zbyt poprawne Oscary

***Rami Malek**, nagrodzony za rolę Freddiego Mercury'ego w filmie „Bohemian Rhapsody", świetnie się wpisał w specyfikę 91. gali Oscarów. Amerykanin, podkreślający egipskie korzenie, aktorski szczyt osiągnął, wcielając się w charyzmatycznego wokalistę brytyjskiej grupy Queen*

Fot. Li Ying/Xinhua News/East News

eprasa.pl 45edaead13



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Meksykanin, Egipcjanin i muzułmanin w czołówce nagrodzonych. Trzy razy królowa. Wątki LGBT. Polityczny konflikt w tle i efekty poprawności politycznej widoczne w werdykcie. Ale też chwile autentycznych wzruszeń. I nieoczekiwany polski akcent. Tak wyglądały Oscary 2019.

Alfonso Cuaron, Rami Malek, Mahershala Ali, Olivia Colman, Regina King, Spike Lee, Ludwig Göransson, Lady Gaga... najbardziej wyraziści triumfatorzy najważniejszej filmowej gali. Zwycięski skład mający zaświadczyć o różnorodności, wielorasowości i otwartości kina. Ale także członków Amerykańskiej Akademii Filmowej. Przyjrzyjmy się na początek laureatom w kategoriach aktorskich.

JEJ WYSOKOŚĆ STYL

Brytyjka Olivia Colman. Najpierw poruszyła widzów genialną kreacją schorowanej, rozchwianej emocjonalnie, biseksualnej królowej Anny. Potem dostarczyła uczestnikom gali szczerych emocji. Zwróciła się ze sceny do Glenn Close, siedmiokrotnie nominowanej i ani razu nienagrodzonej Oscarem, znakomitej aktorki, która najwyraźniej szykowała się do odebrania „podsumowującej" jej dokonania statuetki. Ubrana w spektakularną złotą kreację (ważącą ponoć 20 kg) była królową czerwonego dywanu. Niestety jako ekranowa „Żona" noblisty przegrała rywalizację z odtwórczynią monarszej roli w filmie „Faworyta".

Colman bardzo pięknie oddała honor rywalce: „Przez lata byłaś moją idolką i naprawdę nie chciałam, żeby to się dziś tak zakończyło. Jesteś wspaniała i kocham cię z całego serca" – powiedziała, odbierając statuetkę.

OD BIELI DO CZERNI

Odtwórcy ról drugoplanowych (bez dwóch zdań znakomitych) Regina King i Mahershala Ali wypełniali „parytetowe" wymogi oscarowej ceremonii. Wcześniejsze edycje były krytykowane za „zbyt białych" laureatów, w tym roku w społecznościowych mediach komentowano... #OscarstooBlack. Powód? Nigdy wcześniej Akademia nie nagrodziła tylu Afroamerykanów.

Muzułmanin Ali (podczas gali podkreślający strojem swoje wyznanie) rolą w filmie „Green Book" (uznanym przez akademików za najlepszą produkcję roku) dodatkowo odwrócił stereotypowy porządek rzeczy. Jego bohater – wykształcony, subtelny, czarnoskóry pianista – skonfrontowany został z prostackim białym kierowcą.

Ali ma osobne miejsce w historii Oscarów. Statuetki (za rolę drugoplanową) odbierał rok po roku (najpierw za film „Moonlight") i jako pierwszy w historii nagrody muzułmanin.



Ludwig Göransson

ZMIERZYĆ SIĘ Z LEGENDĄ

Podobnie jak Mahershala Ali, Rami Malek zdobył najpierw popularność dzięki serialowi. W jego przypadku był to „Mr. Robot", w którym zagrał programistę. Jednak dopiero rola w „Bohemian Rapsody" pozwoliła mu się wspiąć na aktorskie wyżyny, zdobyć Oscara, wyznać publicznie miłość do partnerki z planu i schodząc ze sceny... efektownie upaść, dostarczając tematu bulwarowym tytułom. Incydent, którego zresztą nie uchwyciła żadna z kamer, porównywano do potknięcia Jennifer Lawrence z 2013 r., dowodząc, że z rolą lidera grupy Queen na koncie upadki można już traktować jak medialną trampolinę.

Malek często podkreśla silne więzi łączące go z Egiptem (mimo że urodził się i wychował w Los Angeles, do którego rodzice przenieśli się z Kairu). Jego pierwszym językiem był arabski. „Jestem Egipcjaninem. Dorastałem, słuchając egipskiej muzyki. Kochałem Umm Kulthum, kochałem Omara Sharifa. Są mi bliscy. Czuję się związany z tą kulturą. Ona jest częścią mnie" – mówi.

By móc realizować swoje marzenia, długo po ukończeniu szkoły aktorskiej utrzymywał się w Hollywood, pracując m.in. jako dostarczyciel pizzy. Do rozwożonych pudełek wkładał swoje zdjęcia. W końcu któreś trafiło we właściwe ręce i gdy już niemal stracił nadzieję na bycie aktorem, w 2004 r. dostał niewielką rolę w sitcomie „Kochane kłopoty". Dwa lata później zadebiutował w kinie rolą faraona Ahkmenraha w „Nocy w muzeum". Z racji pochodzenia i wyglądu często proponowano mu granie np. zamachowców samobójców. W pewnym momencie poprosił agenta, by odrzucał wszystkie role, które pokazywały Arabów w złym świetle.

Kiedy Tom Hanks zobaczył go w miniserialu wojennym „Pacyfik", dał mu rólkę w swoim filmie „Larry Crowne – uśmiech losu". Z kolei „Mistrz" Paula Thomasa Andersona, w którym partnerował Joaquinowi Phoenixowi i Philipowi Seymourowi Hoffmanowi, zwrócił

eprasa.pl 45edaead13


Rami Malek, Olivia Colman, Mahershala Ali i Regina King

Fot. Shutterstock (x2)

na niego uwagę Sama Esmaila. Scenarzysta i producent, również egipskiego pochodzenia, powierzył mu główną rolę w serialu „Mr. Robot", a ta utorowała mu drogę do „Bohemian Rhapsody".

By przygotować się do tej roli, Malek przeniósł się do Londynu. Brał lekcje śpiewu, uczył się grać na fortepianie, analizował ruchy i sposób mówienia lidera grupy Queen. Jego praca została doceniona m.in. Złotym Globem, a w końcu Oscarem. Rami Malek, rewelacyjny w roli Freddiego Mercury'ego, słusznie odebrał statuetkę dla pierwszoplanowego aktora. Ale czy cztery Oscary dla przeciętnego w sumie filmu (choćby pozostałe trzy były w technicznych kategoriach: najlepszy dźwięk, montaż i montaż dźwięku) to nie przesada?

NASZYJNIK OD TIFFANY'EGO

Trzymając już statuetkę złotego rycerza w dłoni, 37-letni Malek wzruszył słuchaczy, deklarując publicznie miłość do narzeczonej Lucy Boynton. Poznali się na planie filmu „Bohemian Rhapsody", w którym zagrała przyjaciółkę Mercury'ego. Gdy aktor wychodził na scenę, by odebrać statuetkę, to właśnie Lucy pierwsza gorąco mu pogratulowała.

Uczuciową chemię dało się też zauważyć między Lady Gagą a Bradleyem Cooperem. Ekscentryczna gwiazda muzyki, nominowana m.in. do nagrody za pierwszoplanową rolę w filmie „Narodziny gwiazdy" w reżyserii Coopera, ostatecznie odebrała statuetkę za piosenkę „The Shallow". Wykonali ten utwór razem podczas uroczystości, wywołując gorącą reakcję widowni.

Wcześniej, na czerwonym dywanie, Lady Gaga przyciągała uwagę dopełniającym piękną kreację diamentowym naszyjnikiem od Tiffany'ego. Wartym, bagatela, 30 mln dol. Drogocenny żółty kamień niemal 60 lat temu nosiła Audrey Hepburn, promując film „Śniadanie u Tiffany'ego".

POLSKI ŚLAD

Gdy się okazało, że „Zimna wojna" Pawła Pawlikowskiego nie ma szans na żadną z trzech statuetek, emocje nad Wisłą podgrzała informacja, że mimo wszystko mamy swój udział w tegorocznych oscarowych zwycięstwach. Ludwig Göransson, zdobywca statuetki za oryginalną muzykę do filmu „Czarna pantera" (produkcja Marvela zgarnęła w sumie trzy Oscary, także za scenografię i kostiumy), okazał się w połowie Polakiem. Urodzonym w Szwecji. Tu został kompozytorem i producentem, stąd wyjechał do Hollywood, ale matka 34-letniego dziś artysty pochodzi z Warszawy. Dziadkowie wciąż mieszkają w Polsce.

Oczywiście szkoda, że „Zimna wojna" nie zdobyła ani jednego Oscara. Paweł Pawlikowski miał jednak od początku świadomość, że jego film jest zbyt podobny formalnie, a zarazem nie tak bliski napiętej sytuacji między USA a Meksykiem jak trafiona w miejsce i czas „Roma" Alfonso Cuarona. Także odtwórcy głównych ról Joanna Kulig oraz Tomasz Kot nie spełniali warunków tegorocznego oscarowego parytetu.

WALEC POPRAWNOŚCI

Nie odmawiając talentu nagrodzonym ani artystycznych walorów znakomitej większości nominowanych i wyróżnionych produkcji, nie sposób nie zauważyć, jak na minionej już oscarowej gali 2019 r. zaważyły polityka oraz polityczna poprawność.

Największym zwycięzcą tej edycji okazał się (to trzeba podkreślić: wybitny filmowo) Meksykanin Alfonso Cuaron, twórca „Romy". Odebrał statuetki w trzech kluczowych kategoriach: reżyser, nieanglojęzyczny film i zdjęcia.

Kinowemu dziełu w walce o uznanie członków Amerykańskiej Akademii Filmowej pomogły nie tylko oryginalność formy i talent realizującej obraz ekipy. Siłę przekazu wyostrzyły konflikt trwający na granicy amerykańsko-meksykańskiej, a także – o czym nie sposób zapominać – niezwykle skuteczna (i kosztowna) kampania promocyjna.

Wspomniany wcześniej trend wzmocniła statuetka za scenariusz adaptowany dla filmu „BlacKkKlansman" Spike'a Lee. Reżyser (tu też współscenarzysta) od kilkudziesięciu lat zaangażowany w temat rasowej dyskryminacji nie omieszkał wykorzystać danego mu oscarowego czasu. Dał się zapamiętać zarówno za sprawą stroju (fioletowy garnitur, złote sneakersy i pierścienie z napisem „miłość" oraz „nienawiść"), ekspozycji radości (gdy dosłownie zawisł na szyi Samuela L. Jacksona), jak i wygłoszonej mowy, w której otwarcie wystąpił przeciwko polityce Trumpa.

W innych wypowiedziach laureatów (m.in. Cuarona) też pojawiały się wątki polityczne, dotyczące zwłaszcza imigrantów. Niemal wszyscy artyści pochodzenia latynoskiego, choćby przez chwilę, mówili na scenie po hiszpańsku.

Z powodów poprawnościowych po raz pierwszy od 30 lat tegoroczna oscarowa gala obyła się bez prowadzącego. Producent filmowy i komik Kevin Hart, który miał być gospodarzem uroczystości, zrezygnował, gdy przypomniano mu wypowiedzi sprzed lat, uznane dziś za krzywdzące dla społeczności LGBT. Oscarowym rzecznikiem tej grupy okazał się perfomer Billy Porter, który na czerwony dywan wszedł ubrany w suknię, trzymając pod ramię swojego partnera.

eprasa.pl 45edaead13



Walka ze znienawidzoną gwiazdą show-biznesu pełniącą dziś najważniejszą funkcję w Stanach Zjednoczonych przenosi się na zupełnie nowy grunt. Klocki zostały rzucone

Na wojnie z Trumpem



ŁUKASZ ADAMSKI

Hollywood nie lubi prawicowych prezydentów USA. To oczywista oczywistość. Nie będę wyważał w tym tekście otwartych drzwi i dowodził tej tezy. Mogę tylko relacjonować kolejne etapy tej niekończącej się jatki. Warto jednak zauważyć, że paradoksalnie to wpływowi republikańscy politycy wywodzą się z Hollywood. Ronald Reagan był przecież gwiazdą kina lat 50. XX w., a tylko miejsce urodzenia (poza granicami USA) zablokowało ikonie kina akcji Arnoldowi Schwarzeneggerowi możliwość ubiegania się o prezydenturę USA po dwóch kadencjach na stanowisku gubernatora Kalifornii. Teraz w Białym Domu jest on, Donald Trump.

OD SATYRY DO WYZWISK

Żaden prezydent USA nie doświadczył ze strony Hollywood takiego hejtu jak 45. prezydent tego kraju. Trump ma przecież swoją gwiazdę w hollywoodzkiej Alei Sław. Jest jednym „z nich". Od kiedy został prezydentem, jego gwiazda jest co chwilę niszczona. Rada miejska West Hollywood opowiedziała się nawet za jej zlikwidowaniem. Gwiazda Trumpa pojawiła się w 2007 r., gdy był on u szczytu sławy jako prowadzący i producent reality show „The Apprentice". Należy też do Gildii Aktorów Amerykańskich. Trump jest związany z show-biznesem praktycznie od początku swojej kariery. Zagrał samego siebie w „Kevin sam w Nowym Jorku". Pojawił się też w takich hitach jak „Bajer z Bel-Air", „Drew Carey Show", „Spin City", „Seks w wielkim mieście", „Klub 54", „Klan urwisów" czy „Detektyw Monk". W 2005 r. ABC nakręciło film na podstawie jego biograficznej książki „The Art of The Deal". Trump sam wykreował się na jedną z ikon popkultury. Nie przez przypadek dwa razy prowadził (2004, 2015) kultowy program „Saturday Night Live", który od 1988 r. konsekwentnie z niego kpi (a wtedy był pośrednikiem w handlu nieruchomościami). Teraz to właśnie Alec Baldwin co tydzień wciela się w prezydenta Trumpa, tworząc jedną z najostrzejszych i najbardziej radykalnych satyr na urzędującego prezydenta USA w historii amerykańskiej telewizji. Trumpa parodiowało wielu aktorów i aktorek, na czele z Johnnym Deppem i Meryl Streep (na gali Złotych Globów).

Radykalna satyra z prezydentów USA nie jest niczym zaskakującym. Pierwsza poprawka do konstytucji gwarantuje w USA wolność słowa, pozwalającą na szyderstwo z głowy państwa w najmocniejszym wymiarze. Jednak obecnie mamy do czynienia już nie tylko z satyrą, lecz również z jawną nienawiścią. Komiczka i aktorka Sarah Silverman

Fot. Shutterstock/Courtesy of Warner Bros. Pictures

eprasa.pl 45edaead13

kilka dni temu napisała na Twitterze, że Trump jest „śmierdzącą dziurą w penisie". „Jedz gówno pizdo" – dodała na portalu społecznościowym. Samuel L. Jackson nazwał Trumpa „motherfucker". Słowo to jest przypisane do aktora przez to, w jaki sposób je wypowiada w licznych filmach. Określenie to ma jednak swoje umocowanie w debacie publicznej. Gwiazdor nawiązał do słów członkini Izby Reprezentantów Rashidy Tlaib, która tak określiła prezydenta USA. Wcześniej słynący z nienawiści do Trumpa legendarny Robert De Niro powiedział publicznie „fuck you Trump".

Nie można oczywiście zapominać, że część awantur obecny prezydent USA wznieca sam, szydząc na Twitterze ze swoich dawnych przyjaciół z Hollywood. Tak było w przypadku Arnolda Schwarzeneggera, któremu wytknął, że jest gorszym od niego prowadzącym „The Apprentice" i ma mniejszą oglądalność.

CZAS NA KRESKÓWKI?

Pokłosie wojny Trumpa z Hollywood widać już nie tylko w programach rozrywkowych czy w zaangażowanym społecznie kinie, lecz również w filmach dla najmłodszych. Nie chodzi o parodiowanie postaci Trumpa w kreskówkach. To zdarza się głównie w produkcjach dla dorosłych, takich jak „Family Guy", „South Park" czy „Prezydent z kreskówki" z HBO.

Antytrumpowskie przesłanie pojawiło się ostatnio w świecie klocków. „Lego. Przygoda 2" nie jest oczywiście filmem jawnie politycznym. Widzowie odrzuciliby otwartą ideologiczną agitkę pojawiającą się w produkcji skierowanej do dzieci. Druga część przebojowego hitu Phila Lorda i Chrisa Millera z 2014 r. to podprogowy antytrumpizm na najwyższym poziomie (prezydent ani razu nie pojawia się na ekranie). Oczywiście jest to kolejny osadzony na bezpiecznych torach obraz z klockowego uniwersum (po drodze mieliśmy genialny film o Batmanie i serial o Kici Rożek) przeznaczony dla najmłodszych widzów. Lord i Miller w kapitalny sposób połączyli rasową animację dla dzieciaków urodzonych w drugiej dekadzie XXI w. z ironią i graniem na sentymentach dzisiejszych 30-, 40-latków, tęskniących za popkulturą „najntisów".

„Lego. Przygoda" kończył się sceną, gdy Emmett i jego wesoła ferajna pokonali złego kapitalistę (uroczy jest ten kawiorowy socjalizm Hollywoodu) i mieli żyć klockowo oraz szczęśliwie. Wtedy do wykreowanego przez 12-letniego chłopca świata dopuszczona została jego siostrzyczka z klockami Duplo. Mija pięć lat, a zabawa rodzeństwa trwa w najlepsze. Świat Emmetta nie jest już jednak perfekcyjny. Lśniące wieżowce zostały zniszczone przez kosmiczną armię dziewczyn. Klockburg zamienia się w krainę rodem z „Mad Maxa". Skoro jest postapokalipsa na pustyni, to musi się pojawić jakaś wersja Maksa Rockatansky'ego. A to prowadzi już prosto do lat 80. i 90. – ery maczystowskiego, reaganowskiego kina o twarzach Stallone'a i Gibsona.

Gdy Donald Trump wygrał wybory prezydenckie, napisałem, że nie można sukcesu – odwołującego się do mitologii Reagana – miliardera odrywać od mody na kino lat 80. Wyczuli to przecież twórcy „South Parku", którzy poświęcili cały sezon na pokazanie, jak tęsknota za silną i twardą Ameryką gładko przeszła z popkultury do Waszyngtonu. Twórcy tego filmu doszli do tego samego wniosku i wymierzyli ostrze swojej moralizatorskiej przypowiastki właśnie w ten trend. Czy zrozumieli, że sami budowali modę retro na sentymencie do ery kina epoki reaganowskiej? Czy teraz posypują głowy popiołem? Na to wygląda.

To nawiązanie do epoki Trumpa zauważył też Michał Oleszczyk na filmweb.pl. „Koniec końców, choć szczegółów nie zdradzę, film prezentuje rodzaj utopii: z pozoru równo traktującej obydwie strony sporu (vide: symetryczne napisy końcowe), ale w istocie przechylonej w stronę ukarania męskiego fantazmatu »samotnego wilka«, wcielanego przez Rexa. To tej postaci dostaje się najbardziej – i to w jego wątku najwyraźniej widać ideologiczne założenia całego filmu, satyrycznie wymierzonego w typ testosteronowej łobuzerki, jaką wprowadził do politycznego mainstreamu obecny prezydent Stanów Zjednoczonych" – napisał krytyk filmowy.

ZŁY MACZYZM

Ten film jest łopatologicznym uderzeniem w maczyzm kina ery VHS. Alter ego bohatera o imieniu Rex, który okazuje się głównym czarnym charakterem, jest wyjęty z kina republikańskich gwiazd, takich jak Chuck Norris, Sylvester Stallone czy Arnold Schwarzennegger. Teza, jaką stawiają twórcy, jest jasna. W czasach liberalnego ładu i wszechobecnej tęczy, poprawności politycznej i miłości międzygalaktycznej kult twardziela wyjętego z „Życzenia śmierci" z Charlesem Bronsonem jest niebezpiecznie intrygujący i pociągający. Co jednak kryje się za twarzą kogoś, kto chce uczynić miasto Lego great again? Za maską herosa mamy destrukcyjnego, zakompleksionego mściciela, który leczy rany po tym, jak go odrzucono. Rex to tak naprawdę zastraszony chłopiec z rozdętym ego i zdolnościami manipulacyjnymi.

Idealny świat – mówią nam twórcy – brzydzi się przemocą. Chyba że do obrony krainy biorą się kobiety. Im walczyć wolno w imię rewolucji feministycznej. A klasyczni herosi? Oni stają się zniewieściali. Superman, Batman, Aquaman i Zielona Latarnia trzymają się w świecie Lego za ręce i tańczą, oblewani tęczowymi kolorami wprost z ulic San Francisco Ery Wodnika. Brakuje tylko lecącego w tle „Imagine" Johna Lennona i Yoko Ono. Wszyscy międzygatunkowo się kochają i tylko ten straszny miłośnik kina akcji czasów zimnej wojny pragnie zniszczenia w imię maczyzmu.

Rex oczywiście doświadcza objawienia. Przechodzi na jasną stronę liberalnej mocy. Najpierw musi jednak zrzucić z siebie kostium twardziela z kina ery zimnej wojny. Przesłanie „Lego. Przygoda 2" pokazuje, że decydenci w Hollywood szukają przyczyn zwycięstwa Donalda Trumpa i nie ograniczają się wyłącznie do walki z prezydentem USA za pomocą satyry czy bluzgów na Twitterze. Czy jednak zdiagnozowanie własnych zaniechań wystarczy, by odbić Biały Dom z rąk Rexa Trumpowskiego?

eprasa.pl 45edaead13

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wielki smutek w Arkansas

Powtarzanie, jak ważne stało się doświadczenie wielu ludzi z ambitnymi serialami, stało się już truizmem. Dwa pierwsze sezony „Detektywa" (w oryginale „True Detective") na HBO podobały mi się. Przy czym nie wiem, czy „podobanie się" to najlepsze oddanie stanu mego ducha. Chwilami nie lubiłem ich, a jednak tkwiłem przy nich – zafascynowany.

Pierwszy to opowieść o dwóch policyjnych partnerach, tropiących latami po pustkowiach amerykańskiego południa tajemnicę skazanej na zapomnienie zbrodni. Stopień mojej antypatii do pary bohaterów (Woody Harrelson i Matthew McConaughey) przekraczał chyba nawet toksyczność ich wzajemnych relacji. Ale była w tym głębia.

Drugiego „Detektywa" obwołano słabszym. A ja byłem zainteresowany nie tylko jedną z najlepszych scen strzelanin, jakie w życiu widziałem (Łukasz Adamski powiedziałby „baletem śmierci"), lecz i traktacikiem o ludziach połamanych, wstydzących się samych siebie. Wygrał to dla mnie m.in. Colin Farrell, dawny amant, tu roztyty i zaniedbany. True detective? Raczej true man.

To wszystko już w kinie było. Przebłyski godności ludzi upodlonych. Paląca niczym kwas solny toksyczność świata zbrodni przywierająca zmęczonym policjantom do twarzy i ubrań. A jednak opowiedziano to zajmująco, ze sporą dawką suspensu, pomimo umyślnie wolnego tempa. Nic Pizzolatto, twórca serialu, ma niepowtarzalny styl.

W trzecim sezonie wrócił do schematu z pierwszego. Znowu są dwaj policyjni partnerzy. Znowu badają tajemnicę, której wyjaśnienia nikt nie chce, wędrując po bezdrożach południowego stanu Arkansas, krążąc po zapyziałych osadach. Znowu nie mogą spać po nocach, rozlatuje im się życie prywatne. I sami bywają jeśli nie podli, to zbyt brutalni, nieuważni, zniszczeni przez rutynę. Jest poważna różnica: jeden z nich jest Murzynem. To daje okazję do obserwacji na temat stosunków rasowych – w społeczeństwie przełamującym już segregacyjne bariery, ale nie zawsze mentalnościowe. Siła dygresji społeczno-obyczajowych czyni ten serial bez mała historycznym.

Ta seria ma wyrafinowaną konstrukcję. Dzieje się na trzech planach: roku 1980, kiedy zniknęła dwójka dzieci: braciszek i siostrzyczka. Planem drugim jest rok 1990 – powrót do śledztwa. Plan trzeci to rok 2015, kiedy starzy już detektywi zostają wciągnięci w powrót do odległej przeszłości. Oglądamy całą historię niejako naprzemiennie, po części od tyłu, poszczególne elementy układanki odsłaniają się nie po kolei. Nie wszystko nawet pojmiemy do końca. Ta mozaika i tak budzi mój podziw.

To opowieść o tylu rzeczach naraz. O naturze systemu policyjnego nienastawionego na wyświetlanie prawdy. O okrucieństwie reguł społeczeństwa wciąż na poły feudalnego, choć niby nowoczesnego. O przyciąganiu się i odpychaniu par: białego i czarnego partnera, ale także murzyńskiego detektywa Wayne'a Haysa z jego murzyńską żoną. O tym, że nierozwiązana tajemnica może zaciążyć na życiu śledczych.



Ale i o tym, że jej rozwiązanie będzie połowiczne, choćby przez kruchość organizmu starego człowieka. Gdzieś zza męczącego, niemiłego klimatu wyłania się wzruszenie, choćby siłą niełatwej, rwanej przyjaźni, wbrew wszystkiemu.

Wielkie kreacje Mahershali Alego (Hays) i Stephena Dorffa (Roland West) oraz masa soczystych epizodów (jest nawet Michael Rooker!) czynią ten serial diabelnie wiarygodnym. Nie można się oderwać, a potem pozostaje się ze smutkiem.

Piotr Zaremba

57/1118/F

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

TY MASZ DOM, A ONI?

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały jest powrót wielu osób i rodzin oraz odbudowa domów w Dolinie Niniwy” – kard. Pietro Parolin – Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba również Twojej pomocy.

I Ty możesz się włączyć w BUDOWĘ DOMÓW

w Dolinie Niniwy, w dwóch miastach Iraku: BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów
Tytuł przelewu: Akcja DOM
Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602 7608 3791

Archiwum ks. Mariusza Boguszewskiego/PKWP

Więcej informacji na:
www.fundacja.niedziela.pl

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

maika MŁODZIEŻOWA AGENCJA INFORMACYJNA

eprasa.pl 45edaead13



Wojciech Stanisławski

Pokusa koniunktiwu

Nie da się w pełni racjonalnie rozważać możliwych alternatyw tego, co naprawdę się stało. Ale tryb przypuszczający historii nie przestaje fascynować

Marzenie o tym, by odwrócić bieg czasu – zmienić tę jedną, niepomyślną decyzję, zdążyć przed laty na pociąg, zdać na inne studia – jest znane chyba wszystkim i szczęśliwi ci, którzy nie strawili lat życia, podrzucając w garści kości do gry i zastanawiając się, jak inaczej mogło się wszystko potoczyć, gdyby... No właśnie, rozkoszna udręka z tym trybem przypuszczającym. Nie przypadkiem obecność koniunktiwu w składni jest dla Herberta (w zamęczonej przez ciągłe cytowanie „Potędze smaku") nieomylną oznaką kultury wysokiej. Nie przypadkiem dwoje innych polskich poetów drugiej połowy XX w. rozważa w przejmujących frazach, co by było... „Gdyby wczesne kochanie spełniło się było" – to Miłosz, z najświetniejszego może cyklu „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada". „Do pensjonatu w górach jeździłby, / na obiad do jadalni schodziłby, / [...] Czasami ktoś od progu wołałby: / – panie Baczyński, telefon do pana" – tak, to oczywiście Szymborska.

Od rozważania kolein pierwszego kochania myśl kieruje się jednak nieuchronnie ku innym niespełnionym możliwościom, przesądzającym o kształcie nie tylko naszego życia. „Gdybym był jechał w poselstwie liczony do ojców miasta / Gdybyśmy byli zawarli z Ferrarą przymierze" – pisze Miłosz w tym samym poemacie kilka wersów dalej. Gdzie Wilno, gdzie Ferrara, osobliwie pod panowaniem rodu d'Este; ale przedstawiciele narodów, którym się mniej powiodło, nie ustają w poszukiwaniu szczelin, przez które można się było kiedyś, w przeszłości, przecisnąć na lepszą stronę historii, gdzie palmy są i liberalizm. Gdybyśmy przyjęli chrzest w innym obrządku. Gdyby Sikorski nie zginął w Gibraltarze. Gdyby nie wybuchło powstanie warszawskie, gdybyśmy po Grunwaldzie do skutku oblegali Malbork. Gdybyśmy... Gdyby...

Nie da się tego rodzaju rozważań prowadzić do końca racjonalnie i dlatego zwykle zajmują się nimi amatorzy, kawiarniani stratedzy, którzy nigdy nie czytali Lema i nie uświadomili sobie nieogarnionej ludzkim umysłem ilości zmiennych, które tworzą rzeczywistość. Oni myślą, że historia jest jak warcaby, że tworzą ją dwa tuziny pionków i wystarczy zmienić jeden z nich, po czym rzeczywistość potoczy się dalej, na tych samych 64 polach i kilku szlakach, z twardym stukotem drewna o drewno (nieco podobnie, dodajmy, myślą prostoduszni entuzjaści dyscypliny zwanej geopolityką). Na próżno byłoby tłumaczyć jednym i drugim, że chaos zakrada się do wszystkich planów, że zawsze w końcu nieoczekiwanie pęka końskie strzemię lub przewód paliwowy, a zbłąkana kula, zamiast drasnąć chrząstkę ucha, trafia prosto w skroń. Dlatego „historią alternatywną" zajmują się najczęściej amatorzy, a pisarze, ci naprawdę udani, w „Człowieku z Wysokiego Zamku" czy w „Lodzie" raczej bawią się możliwością innego świata, niż projektują nam alternatywy.

A jednak ta pokusa jest nie do odparcia i trudno się dziwić profesorowi Andrzejowi Chwalbie, że podjął wyzwanie, pochylając się na kartach „Zwrotnic dziejów" nad siedmioma momentami przesądzającymi o losach Polski (jeśli wziąć pod uwagę jeszcze „Przypadek" Kieślowskiego oraz wcześniejszy o kilka lat cykl powieści traktujących o historii alternatywnej, zatytułowany „Zwrotnice czasu", okaże się, że w naszym myśleniu o probabilistyce metafory „kolejowe" odgrywają zastanawiająco dużą rolę). Pragnąc uniknąć wspomnianego wcześniej nadmiaru alternatywnych scenariuszy, narzuca sam sobie twarde, mocno ograniczające rygory: żadnych fikcyjnych postaci, żadnych nieistniejących okoliczności. „Nikomu nie przedłużamy życia, nie każemy królowym rodzić synów zamiast córek, nie wygrywamy przegranych bitew".

Oczywiście zasady tej nie da się zastosować do końca konsekwentnie. „Fikcyjna postać" to mógłby być ktoś najzupełniej realny, kto dzień przed debiutem na wielkiej scenie historii zmarł na zapalenie wyrostka, każda alternatywa, choćby najbardziej prawdopodobna, rodzi konieczność stoczenia kolejnych bitew, których wyniku nie sposób już przewidzieć. W tej zabawie chodzi jednak trochę o co innego: o zawrót głowy na myśl nie o pojedynczej zbłąkanej strzale, kuli czy bakterii, lecz o trwałej (a przynajmniej trudno odwracalnej) przemianie ładu społecznego i politycznego, która mogła się dokonać

eprasa.pl 45edaead13

za sprawą stosunkowo prostych i prawdopodobnych decyzji. Rzeczpospolita, w której rząd dusz sprawuje polski Kościół narodowy, powołany na mocy uchwały Sejmu z roku 1555, której nie sprzeciwiłby się Zygmunt August? Tak, to możliwe. Nie, nie stalibyśmy się za jej sprawą ani Szwajcarią, ani Anglią Europy Środkowej – możliwe za to, że wobec nieobecności unii brzeskiej (bo wszak protestanci nie mieliby ambicji, by ją zawiązywać z braćmi prawosławnymi) zniknąłby przynajmniej jeden powód niezadowolenia Kozaków, a Moskwa straciłaby potężne narzędzie wpływu.

I tak dalej, im dawniej, tym przepastniej. Suwerenna Rzplita pod rządami jednego z Habsburgów, naszym współobywatelem już nie Bach, lecz Mozart? Ziemowit I na tronie zamiast Jagiełły? Zduszenie Prus w zalążku, co mogło mieć niemały wpływ na losy całego świata? Nie wszystkie scenariusze jednakowo przekonują, drażni nieraz rozmówca prof. Chwalby, Wojciech Harpula, zadający pytania w przerysowany, teatralny sposób. Ale już sama prowokacyjna myśl o tym, że reformatorzy Sejmu Wielkiego przyspieszyli ostateczny upadek Rzeczypospolitej, nie potrafiąc mierzyć zamiaru podług sił (na szczęście autorzy kończą swoje poszukiwania na roku 1791), by uznać „Zwrotnice dziejów..." za narzędzie raczej poszerzające nasze rozumienie przeszłości niż zamykające nas wśród kilku ciasnych alternatyw.

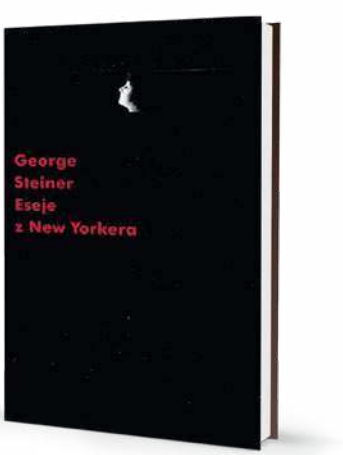


Andrzej Chwalba, Wojciech Harpula, „Zwrotnice dziejów. Alternatywne historie Polski", Wydawnictwo Literackie, 2019

Sokrates w stylu casual

Być za pan brat z Kafką i Orwellem, Tołstojem i Cioranem jednocześnie. Przybliżać Anglosasom niepojęte światy Borgesa i Sołżenicyna (wykreowane przez nich światy prozy i światy skorupy, w których wyrastali); będąc intelektualistą z korzeniami żydowskimi, znaleźć zrozumienie dla Thomasa Bernhardta i Louisa Ferdinanda Céline'a. Nie tylko wiedzieć, kim jest Karl Kraus (i co znaczył ten najwybitniejszy, najwścieklejszy Austriak dla całej Europy Środkowej), lecz i wytłumaczyć, na czym polegała niepowtarzalna, zmarła wraz z Krausem odmiana niemieckiego. Ba, samemu będąc dwujęzycznym, pokazać, na czym polega gra między francuskimi a angielskimi wersjami Becketta (i niedoskonałości przekładu) – po czym w następnym szkicu, bez najmniejszej potrzeby wytchnienia zająć się z kolei biografią Alberta Speera, fenomenem Oxford English Dictionary, historyczną przegraną komunizmu i pośmiertnym zwycięstwem Canettiego.

Napisał tego rodzaju tekstów blisko 150, w przerwach między poważniejszymi, jak sądził, pracami akademickimi czy przekładowymi. Blisko 150 wyrastających z recenzji esejów, klarownych, lekkich, skrojonych nienagannie jak żagle, obywających się bez jednego przypisu, oszczędnych jak minimalistyczne rzeźby. Niemal wszystkie poświęcone były spuściźnie Europy pierwszej połowy XX w. (lub bodaj, kiedy nominalnie przekraczał tę granicę, jak w przypadku Becketta – europejskiego ducha).



George Steiner, „Eseje z New Yorkera", przeł. Olga i Wojciech Kubińscy, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk, 2018

No cóż, coś takiego potrafił tylko jeden Amerykanin: George Steiner.

Nieraz wstydzimy się poznawać wielką literaturę (lub bodaj dobrze ją rozumieć) na podstawie opracowań: wydaje nam się to działaniem na skróty, sięganiem po erzac. Tych skrupułów można się wyzbyć przynajmniej w przypadku Steinera. Wątpliwe, byśmy z klasyków wyczytali tyle, ile on, który przy okazji porównawczej lektury Bernhardta zauważa, że „literaturze nienawiści brakuje tchu", a pisząc o trzech wydanych na Zachodzie książkach rosyjskich dysydentów, szkicuje, ot tak, schemat ewolucji myślowej przywódców ZSRS – schemat, który kolejne dekady potwierdziły w pełni. Steiner, dziś 90-letni, jest jednym z tych intelektualistów fenomenów, którzy wydają się bohaterami jednej z powieści Bellowa: pogodni, wszystkowiedzący i bezpretensjonalni, niczym antyczny filozof, który zszedłby z uczelnianego cokołu i zajrzał na popołudniowe koktajl party w dżinsach, T-shircie i marynarce. Po 15 latach od ostatniego jak dotąd przekładu jego pracy na polski Steiner nareszcie wrócił w tomiku, którego uroda (także edytorska) wynagradza kilka wpadek, jakie zdarzyły się tłumaczom.

eprasa.pl 45edaead13

Adamski





Kino

Film o miłości

Szkoda, że to nie nominowane do Oscara przeciwko „Zimnej wojnie" i „Romie" „Kafarnaum" zostało czarnym koniem swojej kategorii. To wielkie kino. A przecież niewiele trzeba było zrobić błędów, by opowieść o sierotach na libańskich ulicach stała się wyrachowaną pocztówką rodem z programów National Geographic.

Nadine Labaki nie gra tak na emocjach. Libańska reżyserka „Karmelu", zamiast manipulować obrazem krzywdzonych dzieci, oddaje im głos. Dosłownie. Główną rolę gra dzieciak wyrwany z bejruckich ulic nędzy. 12-letni Zain Al Rafeea w dużym stopniu gra samego siebie, czyli syryjskiego dzieciaka bez tożsamości. W jednym z wywiadów Labaki opowiadała, że Zain mieszkał w warunkach gorszych niż jego bohater. Różnica jest taka, że ma kochających rodziców. W „Kafarnaum" wciela się w chłopca, którego poznajemy podczas procesu sądowego. Zain jest sądzony za dźgnięcie nożem mężczyzny. Wykorzystuje swoją sprawę do tego, by oskarżyć rodziców o to, że... sprowadzili go na świat. Film Labaki jest krzykiem w stronę wielodzietnych rodzin imigrantów, które nie dość, że nie są w stanie zadbać o dobro własnych dzieci, to powołują kolejne na świat. Unaocznia też porażkę ogólnoświatowej polityki imigracyjnej. Reżyserka robi to bez ideologicznego gniewu.

To tylko poboczne wątki tej przeszywającej opowieści. Labaki nakręciła film o miłości. Miłości czystej. Miłości dziecięcej. Kafarnaum jest biblijną krainą, w której nauczał Jezus. Możliwe, że wychowana w wierze chrześcijańskiej Labaki chciała w ten sposób pokazać, iż człowieczeństwo w zbrukanym cierpieniem miejscu można zachować tylko z pomocą miłosierdzia. 12-letni Zain, zamiast bawić się beztrosko z rówieśnikami na ulicach Bejrutu, musi ciężko zarabiać na życie. Gdy nie udaje mu się uchronić 11-letniej siostry przed wydaniem jej przez rodzinę za mąż za lokalnego sklepikarza, ucieka z domu. Tak zaczyna się jego tułaczka, w której towarzyszy mu poznany na szlaku roczny chłopiec.

To najbardziej poruszająca część „Kafarnaum". Wszystko dzięki niezwykle dojrzałej roli Zaina. Chłopak ma na twarzy wypisany nie tylko ból, jakiego doświadczył na ulicy. Zain jest wulgarny i brutalny. Przesiąkł też cynizmem pozwalającym przeżyć w norach dla biedoty. Jest w nim również dziecięco pojęta miłość. Miłość szczera. Miłość niewyrachowana, nieobliczona na zysk. Zain opiekuje się maluchem o wiele lepiej niż dorośli nie tylko dlatego, że potrzebuje substytutu rodziny. On opiekuje się bezbronnym dzieckiem, bo tak trzeba.

Dzieli się z nim posiłkiem. Ciągnie go swoimi chudymi rączkami na skonstruowanej z deskorolki i garnków przyczepce. Taką naukę wyniósł z ulicy. Taka jest ludzka powinność. Wszystko to wybrzmiewa dzięki niezwykle dojrzałej roli młodego naturszczyka. Może dlatego nie odbieram „Kafarnaum" jako emocjonalnego szantażu. Ten film jest doskonale wyważony. Nie ma ani ocierającego się o kicz romantyzmu „Slumdoga", ani pornografii nędzy reportaży o biednych dzieciach Trzeciego Świata. Piękne kino. Ściska za serce.

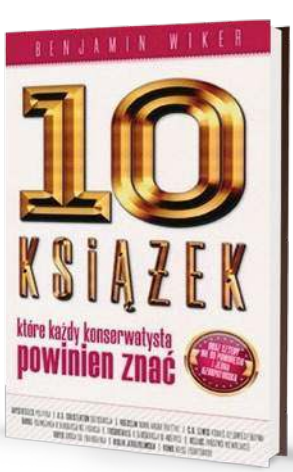
„KAFARNAUM", REŻ. NADINE LABAKI, DYSTR. GUTEK FILM

Książka

Ożywcza lektura

Macie dosyć totalnego pomieszania pojęć i politycznego postmodernizmu, gdzie nie wiadomo, jaka jest granica między lewicą a prawicą? Amerykański katolik Benjamin Wiker w brawurowy i jednocześnie skondensowany sposób omawia najważniejsze dla każdego konserwatysty literackie dzieła. Od Arystotelesa, przez Chestertona, Vogelina, Burke'a, Tocqueville'a i eseje politycznych federalistów, aż po Hayeka i Belloca przypomina nam autor konserwatywne spojrzenie na świat. Wiker nie jest oryginalny w opisie dzieł C.S. Lewisa. Intryguje już jednak, analizując pod kątem konserwatywnej myśli „Burzę" Williama Szekspira oraz „Rozważną i romantyczną" Jane Austen. Błyskotliwe jest też obnażenie bałamutności – uważanego niesłusznie przez niektórych za konserwatywne dzieło – „Atlasu zbuntowanych" Ayn Rand. Bardzo ożywcza i inspirująca lektura. Szczególnie dla tych zapominających, czym jest prawdziwy konserwatyzm i jak niewiele z nim mają wspólnego prawicowe partie w Europie.

„10 KSIĄŻEK, KTÓRE KAŻDY KONSERWATYSTA POWINIEN ZNAĆ", BENJAMIN WIKER, WYD. FRONDA



Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 45edaead13

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



VOD

Thriller w stylu De Palmy

Lata 70. XX w. To wtedy powstały najlepsze polityczne thrillery, jak „Trzy dni kondora" Pollacka, „Wszyscy ludzie prezydenta" Pakuli czy „Rozmowa" Coppoli. Na początku lat 80. najwybitniejszy thriller tamtego okresu pt. „Wybuch" nakręcił Brian De Palma.

10-odcinkowy „Homecoming" Sama Esmaila („Mr. Robot") jest serialem oddającym hołd tamtemu kinu. Już w pierwszym odcinku poznajemy dwie twarze Heidi Bergman (Julia Roberts). W 2018 r. pracuje w prywatnej klinice leczącej weteranów z Iraku i Afganistanu z syndromem stresu pourazowego. Heidi jest oddana swojej pracy w Homecoming Transitional Support Center, działającemu we współpracy z Departamentem Obrony Stanów Zjednoczonych. Bez przerwy wisi na telefonie ze swoim szefem (Bobby Cannavale), przez co nie jest w stanie ułożyć sobie życia osobistego. Kilka lat później, krocząca po kolejnych szczeblach kariery pani psycholog, jest kelnerką w podrzędnym, nadmorskim barze. Nie pamięta, dlaczego przestała pracować dla prywatnego ośrodka leczącego żołnierzy eksperymentalnymi metodami. Pewnego dnia w barze zjawia się urzędnik Departamentu Stanu (Shea Whigham), który musi rozpatrzyć skargę na metody wykorzystywane w zamkniętej już klinice. Zadaje Heidi coraz bardziej niepokojące pytania.

Esmail prowadzi akcję nielinearnie. Liczne przeskoki czasowe są na tyle pomysłowo opakowane, że nawet na moment nie wprowadzają konfuzji u widza. Wzorem mistrza De Palmy reżyser zwęża i dzieli ekran. Napięcie buduje dzięki wymyślnym ujęciom Toda Campbella, a nie pościgom czy strzelaninom typowym dla thrillera. Rzeczywistość Heidi w roku 2022 jest skadrowana za pomocą wąskiego prostokąta, co pokazuje zwężoną perspektywę niepamiętającej części swojej przeszłości kobiety.

„Homecoming" nie jest efekciarskim naśladownictwem. Twórcy odwołują się do ukochanych filmów nie tylko ujęciami („Vertigo" Hitchcocka), motywami muzycznymi z „Carrie" De Palmy (matkę Heidi gra zresztą Sissy Spacek) czy „Coś" Carpentera, lecz również dbają o spójność scenariusza. Nominowana za rolę do Złotego Globu Julia Roberts przejmująco odmalowuje sprzeczne emocje targające kobietą. Pokazuje zarówno jej inteligencję i bezwzględność w robieniu kariery, jak i rozdarcie oraz zwątpienie w czasie kryzysu. Wiarygodnie nakreślona jest skomplikowana i kluczowa dla akcji relacja Heidi z leczonym żołnierzem Walterem Cruzem (Stephan James). Choć jest to serial Roberts, to show momentami kradnie lekko przerysowana postać Cannavale'a, który na przemian jest maczystowskim cwaniakiem i żałosnym błaznem.

Julia Roberts nie wystąpi w kolejnym sezonie, który ma opowiadać odrębną historię. Stylowa i przemyślana produkcja tego sezonu daje nadzieję na początek fascynującej antologii.

„HOMECOMING"
DOSTĘPNY NA AMAZON PRIME

Włoska baśń

Nagrodzony na festiwalu w Cannes „Szczęśliwy Lazzaro" Alice Rohrwacher dowodzi, że neorealizm włoskich mistrzów spod znaku Vittorio De Sici wciąż ma się dobrze. 37-letnia Rohrwacher to jedna z najciekawszych włoskich reżyserek młodego pokolenia. Jej oniryczna baśń opowiada o dobrodusznym parobku (wziętym przez to za pomyleńca) Lazzaro, który na swojej drodze spotyka szlachcica Tancrediego. Obaj żyją w wiosce Iniolata rządzonej przez matkę szlachcica, złą markizę Alfonsinę de Lunę, wyzyskującą farmerów na plantacji tytoniu. Współczesność miesza się ze średniowieczem, świat żywych ze światem duchów, a czas płynie zupełnie oddzielnym rytmem. „Szczęśliwy Lazzaro" jest symboliczną opowieścią o wyzysku, żerowaniu na dobru i krzywdzie szlachetnych ludzi. Socjalistyczna agitka? Nie, bo autorka, zanurzając się w magiczny realizm, ucieka przed prostymi ideologicznymi i politycznymi szufladkami. Uroczy film, choć na pewno nie dla miłośników tradycyjnej narracji w kinie.

„SZCZĘŚLIWY LAZZARO",
REŻ. ALICE ROHRWACHER, DYSTR. AURORA



Kino

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 45edaead13

Zmierzch Zachodu

Najnowsza książka znanego historyka prof. Wojciecha Roszkowskiego jest opowieścią o dziejach cywilizacji zachodniej. Opowieścią pesymistyczną, bo autor przekonuje czytelnika, że czas Zachodu dobiega na naszych oczach końca

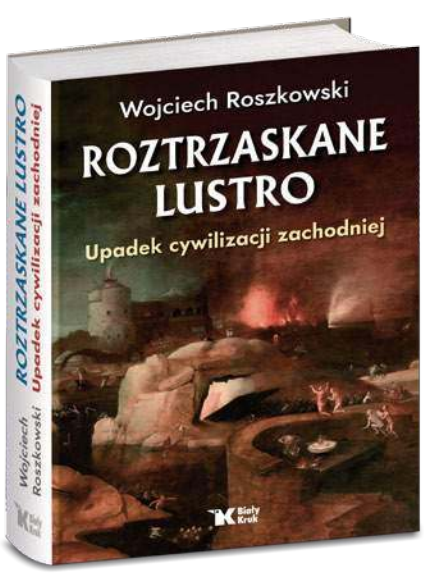


KONRAD KOŁODZIEJSKI

W przeszłości wiele razy wieszczono koniec cywilizacji, dostrzegając w różnych zjawiskach symptomy upadku, jednak chyba nigdy wcześniej te zjawiska – tak jak dziś – nie zdołały się połączyć w jeden niszczycielski nurt podmywający fundamenty kultury, na których zbudowano potęgę Zachodu.

Te fundamenty kładli po kolei – jak wylicza w „Roztrzaskanym lustrze" Wojciech Roszkowski – starożytni Grecy, którym nasza cywilizacja zawdzięcza zdolność logicznego, rozumnego myślenia, Rzymianie, których porządek prawny stał się źródłem późniejszego bogactwa, oraz Kościół. Chrześcijaństwo całkowicie zmieniło status człowieka, wywyższyło go, nadało mu godność i podmiotowość oraz w rezultacie wolność. Chrześcijanie, ujmując wszystko w ramy sprawiedliwości oraz moralności, wprawili świat zachodni w ruch i nadali mu cel. Cel zupełnie wykraczający poza codzienną egzystencję, cel doskonały, którym jest zbawienie każdego człowieka. Zmierzający do niego człowiek stał się centralnym punktem naszej cywilizacji i jej największą siłą.

Dziś ten cel jest zewsząd kwestionowany i atakowany. Źródła tej agresji znajdują się zarówno poza naszą kulturą, jak i wewnątrz niej. Te zewnętrzne wypływają z innych systemów wartości od dawna rywalizujących – jak choćby islam – z Zachodem. Wewnętrzne zaś są zwykle nieuniknioną konsekwencją wolności, w jaką nasza cywilizacja wyposażyła człowieka. Człowiek wolny może być bowiem wolny od wszystkiego, może się też zagubić i – będąc w tym stanie – odrzucić wolność.



Wojciech Roszkowski, „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej", wyd. Biały Kruk, Kraków 2019

Cywilizacja zachodnia nie jest ani nie była totalna. Odróżniając wiarę od wiedzy, sacrum od profanum, zachowując między nimi proporcje, pozwalała każdemu człowiekowi na samodzielne poszukiwania. Na tych poszukiwaniach zbudowana została jej potęga we wszystkich najważniejszych wymiarach: w polityce, ekonomii, technologii czy kulturze. Jednak tkwiło w niej także ziarno możliwego upadku.

Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki? Czy w chwili, gdy kolejna herezja wymknęła się spod kontroli i reformacja zyskała zinstytucjonalizowany status, osłabiając tym samym zachodni Kościół? A może 200 lat później, gdy w dobie oświecenia trwale naruszono równowagę między sacrum i profanum? A może jeszcze potem, gdy zrodzone w XIX stuleciu agresywnie świeckie ideologie zaczęły nabierać quasi-religijnych cech i zajmować miejsce zarezerwowane dotąd dla sacrum?

Niezależnie od tego, którą wersję uznamy za najbliższą prawdy, pewne jest, że zachodnia cywilizacja na przestrzeni dziesiątków, a może i setek lat zrodziła w swoim ciele własną konkurentkę. Dziś ta „antycywilizacja" przybrała już na tyle dojrzałą postać, że niczym nowotwór osłabia i zabija swoją rodzicielkę.

eprasa.pl 45edaead13



Fot. Andrzej Wiktor

ANTYCYWILIZACJA W NATARCIU

Wojciech Roszkowski pisze, że siłą napędową „antycywilizacji" (to moje określenie) stał się postęp, który został fałszywie przeciwstawiony rzekomej nieprzystawalności dotychczasowych reguł do współczesnych czasów. Przy czym o ile rzeczywiście niektóre z tych reguł mogą i powinny podlegać modyfikacjom, o tyle nie o modyfikację chodzi postępowcom, lecz o całkowite odrzucenie starych zasad.

W rywalizacji o dusze obóz postępowców wydaje się odnosić coraz większe sukcesy. Bo przecież obiecany przez liberalną lewicę raj na ziemi (w miejsce tego w niebie) to wspaniałe miejsce, gdzie nie istnieją sztywne reguły, a celem każdego człowieka jest oddawanie się bez końca wymarzonym namiętnościom, których zwieńczeniem będzie samospełnienie. To wizja całkowicie racjonalna, bo odpowiada jakoby naturze ludzkiej, co ma ją odróżniać od arbitralnych nakazów religii chrześcijańskiej. Czyżby?

Przyjmijmy więc – jakkolwiek by było – lewicową w końcu zasadę, że wszystkie nakazy moralne i etyczne mają arbitralny charakter. Jeśli tak, to czym, jeśli nie arbitralnym sądem, jest opinia, że związek dwóch kobiet lub mężczyzn jest równoważny małżeństwu mężczyzny i kobiety? Czym, jeśli nie arbitralną oceną, jest stwierdzenie, że wszyscy ludzie są równi? Dlaczego zatem ludzie racjonalni mieliby przyjmować lewicowe objawienia za pewnik, skoro pewników podobno nie ma?

To, że liberalna lewica uważa się za formację nowoczesną i postępową, jest przecież wyłącznie kwestią umowną, a nie żadną prawdą obiektywną. Bez problemu można wykazać, że opowiadając się za demontażem cywilizacji chrześcijańskiej, lewica jest siłą wsteczną, która dąży do rozpadu społeczeństwa i upadku człowieka. Zarzut, jaki można tu postawić liberalnej lewicy, polega na tym, że cechy, które

eprasa.pl 45edaead13

przypisuje ona chrześcijaństwu – w tym zwłaszcza Kościołowi katolickiemu – a więc fundamentalizm, nietolerancja, arbitralność, sekciarstwo i dążenie do dominacji, są w istocie jej własnymi cechami.

Kościół rozumiany jako wspólnota wiernych nie jest oczywiście pozbawiony tych i innych wad, ale też nigdy nie utrzymywał, że jest wolny od ludzkich słabości, w tym również takich, które są zaprzeczeniem jego nauki moralnej. W odróżnieniu od lewicy zazwyczaj był jednak w stanie nazywać te słabości po imieniu, podczas gdy lewica większość z nich wciągnęła na sztandary i ustanowiła niezbywalnym prawem każdego człowieka.

Kiedyś Kościół określił obecny spór – dla niektórych być może nieco zbyt obrazowo – walką między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci. Nie wdając się już w kwestie nazewnictwa, należy przyznać, że walka ta w istocie jest sporem cywilizacyjnym. Jest to bowiem spór o obecność zasad moralnych w życiu publicznym. Zasad, które lewica chce wyrugować do sfery prywatnej, tworząc „państwo neutralne światopoglądowo".

Pojęcie państwa neutralnego światopoglądowo jest jednym z najbardziej skutecznych oszustw obozu liberalnego. Nie ma bowiem czegoś takiego jak „neutralność światopoglądowa". Gdyby usunąć chrześcijaństwo z życia publicznego, mielibyśmy państwo liberalne światopoglądowo. A to nie to samo co neutralne.

WALKA Z SUMIENIEM

Kłamstwo w życiu publicznym istnieje od zawsze, a przynajmniej od chwili, gdy ludzie zaczęli się organizować w struktury społeczne. Było i jest narzędziem sprawowania władzy lub walki o władzę. Jednak kłamstwo – przynajmniej w kulturze chrześcijańskiej – miało jednoznacznie negatywną ocenę moralną, było złem, grzechem, za który ponosi się surowe konsekwencje, jeśli nie na tym, to na pewno na tamtym świecie. Sumienie kłamcy nigdy więc nie mogło zaznać spokoju.

Nieprzypadkowo kłamstwo w sferze publicznej rozpanoszyło się w XIX w., aby w następnym stuleciu odnieść spektakularny triumf nad prawdą. Nieprzypadkowo, bo był to okres gwałtownej sekularyzacji życia publicznego i idącej w ślad za nią erozji tradycyjnej moralności, na której opierały się chrześcijańskie społeczeństwa. Progresywizm, odrzucając tę moralność, zrodził komunizm i nazizm – dwie najpotworniejsze ideologie współczesnego świata. Zbrodnia i kłamstwo doskonale się przecież uzupełniały.

> Nie ma czegoś takiego jak „neutralność światopoglądowa". Gdyby usunąć chrześcijaństwo z życia publicznego, mielibyśmy państwo liberalne światopoglądowo. A to nie to samo co neutralne

W bliższych nam czasach kłamstwo zyskało swój wysoki status m.in. dzięki takim lewicowym myślicielom jak Theodor Adorno czy Jacques Derrida, którzy w latach 50. XX w. unieważnili w swoich pracach prawdę jako obiektywne kryterium poznania rzeczywistości. Odtąd prawd było tyle, ilu jest ludzi na świecie, a każdy z nich niósł w sobie swoją własną „prawdę". Z tego wynika, że każde subiektywne odczucie, nawet niezgodne z rzeczywistością, jest również „prawdą". Nic zatem dziwnego, że teorie te znalazły żywy oddźwięk w środowiskach liberalnej lewicy. Pozwalały im bowiem zwycięsko się zmierzyć z własnym sumieniem i uznać, że kłamstwo – podobnie jak prawda – również jest względne. A jeśli tak, to nie stanowi ono intelektualnego ani etycznego nadużycia. Można było kłamać do woli, a nawet wierzyć we własne kłamstwa.

Lewica, która zdiagnozowała język jako narzędzie opresji, szybko się nauczyła korzystać z tego swojego odkrycia. Słowom dotychczas neutralnym zaczęła nadawać nowe, pejoratywne znaczenia, innym zupełnie odwrotne. Za komuny popularnie określało się to nowomową. Demokracja w języku komunistów oznaczała w rzeczywistości tyranię, pokój – wojnę, patriotyzm – zdradę, bohater – bandytę (i odwrotnie). Dziś liberalna lewica szeroką garścią czerpie z tych wzorców. Gdy słyszymy, że w Polsce rządzą tyrani – zadajmy sobie proste pytanie, w jakiej tyranii pozwala się na swobodne demonstracje? Gdy słyszymy o równości i walce z wykluczeniami, spytajmy, skąd biorą się głębokie pokłady pogardy wobec tych, którzy pochodzą z niższych, często uboższych klas?

FIKCJA RÓWNOŚCI

Oczywiste jest, że ludzie nie są sobie równi i dążenie do równości stoi w jaskrawej sprzeczności ze sprawiedliwością. Trudno bowiem np. uznać za sprawiedliwe odbieranie szansy awansu osobie uzdolnionej, aby – w imię równości – promować w jego miejsce nieuka, którego jedyną „zaletą" jest odpowiednie pochodzenie, orientacja seksualna czy kolor skóry. Wszelkie parytety, wbrew lewicowej ofensywie propagandowej, są z natury rzeczy niesprawiedliwe. Sprawiedliwe jest natomiast dążenie do tego, aby wyrównywać szanse ludzi na znacznie wcześniejszym etapie ich rozwoju, dzięki edukacji czy odpowiedniemu wychowaniu kładącemu nacisk na odpowiedzialność za siebie i innych. To nie lewicowe parytety, ale właśnie poczucie odpowiedzialności, sprawiedliwości i odpowiednie wykształcenie budują hierarchię społeczną, która decyduje o sile i jakości wspólnoty.

Hierarchia społeczna to pojęcie, którego lewica nie znosi. Przy czym nienawiść lewicy do hierarchii ma charakter czysto retoryczny. W rzeczywistości bowiem lewicowi inżynierowie społeczni chcieliby zbudować własną samozwańczą hierarchię opartą na kryterium ideologicznym. Na górze tej nowej piramidy mieliby stanąć oni sami wspierani przez tzw. mniejszości społeczne.

116/0119/F

eprasa.pl 45edaead13



POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 45edaead13

Tymczasem w normalnie funkcjonującym społeczeństwie hierarchie powinny się tworzyć samoistnie. Kiedyś oparte one były na pochodzeniu. Na samym szczycie był monarcha, który swoją władzę dzierżył z boskiego nadania, poniżej była arystokracja, a niżej pospólstwo – miejskie i wiejskie. Dziś taka hierarchia, która w dawnych wiekach doskonale stabilizowała społeczeństwo, nie ma już racji bytu. W dalszym jednak ciągu powinna się ona opierać na autorytecie. Ten z kolei wynika z uczciwości, doświadczenia, sprawiedliwości i wiedzy. Jak widać, nie ma tu rozróżnienia wedle płci, wykonywanego zawodu ani pochodzenia. Istotne jest to, czy człowiek postępuje moralnie, czy też nie. Tak rozumiana hierarchia jest nie tylko podstawą sprawiedliwości, lecz stanowi też wzór do naśladowania dla innych i buduje dobrze funkcjonującą wspólnotę.

ROZBIJANIE WSPÓLNOTY

Pojęcie wspólnoty silnie wiąże się z wolnością. Bo wolność w ujęciu klasycznym – a więc takim, ku któremu skłania się prawica – zasadza się na dobrowolnym przyjęciu praw i zobowiązań wobec otaczającej nas zbiorowości opartej zazwyczaj na tej samej historii, języku, religii, instytucjach oraz terytorium. Taką wspólnotą jest naród, a współcześnie najczęściej państwo narodowe. Wspólnota może być szersza i obejmować więcej niż jedno państwo narodowe, mamy wtedy do czynienia ze wspólnotą nieco luźniejszą, której spoiwem jest np. podobna kultura, religia czy wyznawane wartości. Taką wspólnotą mogą być choćby Europa i Ameryka Północna rozumiane jako krąg cywilizacyjny.

Ta lapidarna i siłą rzeczy skrótowa definicja wystarcza jednak, aby ustalić, że wrogiem tak rozumianej wolności są wszyscy ci, którzy odrzucają istniejącą wspólnotę i jej instytucje od wewnątrz, oraz ci, którzy wywodząc się z zupełnie innych kręgów cywilizacyjnych, zagrażają jej od zewnątrz.

Dla współczesnej liberalnej lewicy wolność to właśnie odrzucenie zobowiązań wobec istniejących wspólnot. Nie ma w nim miejsca na postulowane przez Edmunda Burke'a powinności żyjących wobec swoich przodków i potomnych. Każdy, kto chciałby chronić dorobek poprzednich pokoleń na rzecz pomyślności swojej i swoich dzieci, będzie dla lewicy wrogiem. Dlatego obrona istniejącego świata to – z punktu widzenia lewicy – śmiertelne zagrożenie dla jej planu budowy społeczeństwa oderwanego od przeszłości i dotychczasowych lojalności.

> Zachodnia cywilizacja na przestrzeni dziesiątków lat zrodziła własną konkurentkę. Dziś ta „antycywilizacja" przybrała już na tyle dojrzałą postać, że niczym nowotwór osłabia i zabija swoją rodzicielkę

Lewica zdołała przygotować grunt pod nowe społeczeństwo, narzucając Zachodowi tyranię politycznej poprawności i promując wielokulturowość – ideę służącą rozwodnieniu zachodniej kultury. Nie tak dawne wtargnięcie setek tysięcy muzułmanów do serca Europy może być postrzegane przez lewicę jako instrument walki z obecną rzeczywistością. Ferment, który mogą spowodować „uchodźcy", sprawi, że Zachód, jaki znamy, odejdzie do przeszłości. To jedyny wspólny cel obydwu tych sił – muzułmańskiej i postępowej. Każda z nich ma jednak zakodowany silny prozelityzm i liczy na to, że na gruzach Zachodu zdoła „nawrócić" na swoją wiarę dotychczasowego sprzymierzeńca.

BARBARZYŃCY U BRAM

Kiedyś Zachód triumfował na świecie, bo naszą kulturę wspomagała ekspansja ekonomiczna i militarna. Dziś to się zmienia. Wyznawcy progresywizmu nie czują się jednak winni, przeciwnie – twierdzą, że opór stawia im wyłącznie konserwatywna banda krzykaczy ze wszystkich kręgów cywilizacyjnych i gdyby nie ci krzykacze, cały świat stopiłby się już dawno w jednej homogenicznej i ponadreligijnej kulturze, a wszelkie różnice dałoby się pogodzić dzięki globalnemu systemowi wartości. Jednak przekonanie, że reszta świata z czasem przyjmie postępowe wartości – wystarczy tylko poczekać – jest całkowicie błędne. Świat może co najwyżej przyswoić sobie zewnętrzne atrybuty zachodniej kultury. W końcu islamscy bojownicy też chodzą w dżinsach i używają smartfonów.

Zadziwiające jest, jak bardzo część zachodniej lewicy liberalnej odjechała od rzeczywistości i przypomina w swojej nieustępliwości brodatych szaleńców ścinających głowy niewiernym. W jej wyobrażeniach nie ma przeszkód, aby muzułmanin odznaczał się wrażliwością na prawa mniejszości seksualnych, był zwolennikiem emancypacji kobiet i pluralizmu światopoglądowego. Problem polega na tym, że taki muzułmanin nigdy nie istniał ani nie będzie istniał. Bo jeśli przyjmie sugerowane mu wartości, to przestanie być muzułmaninem.

Islam wydaje się odporny na „nowotwór postępu", który pożera dziś Zachód. Być może także dlatego, że cywilizacja zachodnia jest obecnie o wiele słabsza niż kiedyś. Zdaniem niektórych politologów weszła ona już wręcz w fazę rozkładu. Rosnące w siłę – i coraz bardziej agresywne – cywilizacje chińska i islamska odbierają jej palmę pierwszeństwa w wielu regionach świata. Na razie jeszcze nie są w stanie narzucić nam dominującej pozycji, ale otwarcie do tego dążą. Czy osiągną sukces?

Wojciech Roszkowski odpowiada, że upadek to nie to samo co koniec. „Upadek oznacza bardzo poważne załamanie, ale takie, z którego jeszcze można się podnieść. Być może nie jest jeszcze za późno, by cywilizację zachodnią uratować." To jednak – jak dodaje – zależy również od nas samych.

116/0119/F

eprasa.pl 45edaead13

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE



Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 45edaead13

Nieudana próba wyłudzenia

Kolejne tygodnie zdają się wskazywać, że próba wywołania wokół sprawy Srebrnej wielkiego politycznego przesilenia się nie powiodła



MICHAŁ KARNOWSKI



Kilkadziesiąt godzin po wybuchu sprawy do wysoko postawionego pracownika jednej z instytucji wplątanych przez Geralda Birgfellnera w całą aferę zadzwonił sam Birgfellner. W czasie rozmowy w niczym nie przypominał pewnego siebie biznesmena z nadawanych w tym samym czasie serwisów telewizyjnych. „Przepraszał, kajał się, że źle to wyszło, że tyle problemów narobił, że on sam żadnych taśm ujawniać nie chciał. Sugerował, że stracił nad tym wszystkim kontrolę" – słyszę.

Obraz człowieka w jakiś sposób złamanego, zmuszonego do takich działań, wyłania się też ze wszystkich solidniejszych sylwetek Birgfellnera zamieszczonych w polskiej prasie. Nieznany szerzej w Austrii, na pewno nie wielki biznesmen, raczej jednoosobowa firma próbująca łapać okazję. I wszystko wskazuje na to, że możliwość pracy przy inwestycji, którą próbowały w Warszawie zrealizować Instytut Lecha Kaczyńskiego oraz należąca do niego niewielka spółka Srebrna (w wieżowcu miało powstać m.in. muzeum śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego), miała być taką okazją, szybką i łatwą. Tym prostszą, że dającą szansę na przełożenie dalekich relacji rodzinnych na pieniądze. Birgfellner prywatnie był bowiem powinowatym Jarosława Kaczyńskiego, mężem córki jednego z kuzynów prezesa PiS Karoliny Tomaszewskiej.

Można odnieść wrażenie, że biznesmen próbował wykorzystać to połączenie i polityczną pozycję maksymalnie. Przede wszystkim windując swoje oczekiwania finansowe na poziomy wręcz absurdalne, w przeliczeniu na złotówki między 5 a 7 mln zł. Publikowane w mediach rysunki pokazujące wizualizację możliwego kształtu budynków mają być uzasadnieniem żądania. W domyśle: duży budynek – duże pieniądze. W rzeczywistości mamy do czynienia z bardzo wstępnym prawno-ekonomicznym przygotowywaniem inwestycji. Rynek takich usług jest dość spory, także w stolicy, obowiązują na nim określone zasady, formy i widełki możliwych wynagrodzeń.

Jeden z ekspertów z tej branży anonimowo opowiedział portalowi wPolityce.pl, jak widzi możliwe wynagrodzenie za te prace, które wedle medialnych opisów miały być wykonane. „Zasada jest jedna: dopóki nie ma wuzetki, wydanych przez gminę warunków zabudowy, dopóty nie mówi się o wielkich kosztach obsługi prawnej, prac architektonicznych ani innych. Bez tej wuzetki nie ma dużego projektu, są prace wstępne, przygotowawcze. One oczywiście też coś kosztują, ale są to sumy wielokrotnie mniejsze. Najwyżej, powtarzam najwyżej, może to kosztować w Warszawie przy takiej inwestycji 100 tys. zł". W opinii tego eksperta „z perspektywy osoby czynnej na tym rynku to sytuacja sugerująca jakąś próbę wyłudzenia, próbę trafienia naiwnego, który takie pieniądze zapłaci".

Im więcej się dowiadujemy o sprawie, tym mniej się zgadza w żądaniach Birgfellnera. Jak ustaliła „Rzeczpospolita", w setkach stron dokumentów, które do zawiadomienia o oszustwie dołączył biznesmen, „brak umów podpisanych z wykonawcami, m.in. firmą architektoniczną HNP z Austrii czy Kancelarią Baker McKenzie". Duże wątpliwości budzi także faktura z czerwca 2018 r. wystawiona przez spółkę Nune-

eprasa.pl 45edaead13

aton (powołana przez spółkę Srebrna do realizacji tej inwestycji) na kwotę 1 mln 580 tys. zł. Dokument opublikowała „Gazeta Wyborcza" z triumfalnym nagłówkiem, w przekonaniu, że wpadł im w ręce osikowy kołek, którym przebiją przeciwnika. Ale ta radość szybko ustąpiła poczuciu, że znowu coś jest w sprawie nie tak. Bo faktura nie ma żadnych cech poważnego dokumentu finansowego. Nie wysłano jej nawet do rzekomego odbiorcy, nie zapłacono od niej podatku. Ten ostatni wątek będzie teraz badał urząd skarbowy, bo taki czyn może być poważnym przestępstwem.

Wiemy już, że z punktu widzenia austriackiego biznesmena latem 2018 r. sprawy zaczynają iść źle. Wielki biznes zmienia się w prace przygotowawcze, płatne na rynku dużo mniej. Na dodatek platformerskie władze stolicy dają do zrozumienia, że środowisko związane z Jarosławem Kaczyńskim niczego w „ich" mieście nie wybuduje. To zresztą osobny wątek, pokazujący, kto naprawdę jest dzisiaj w Polsce w wielu miejscach politycznie prześladowany.

Chyba właśnie w tym momencie utraty nadziei na wielki zarobek zaczyna się to, co wedle części mediów ma być aferą. Birgfellner, nie chcąc się pogodzić z sytuacją, a rozumiejąc, że inwestycji nie będzie, zaczyna serię spotkań z przedstawicielami spółki Srebrna i innymi osobami z tego kręgu. Przekonuje, że jego koszty należy liczyć w milionach. Idzie m.in. do Janiny Goss z zarządu spółki Srebrna, spotyka się z Kazimierzem Kujdą, byłym prezesem tej firmy. Wszędzie słyszy to samo: zapłacimy tyle, ile prace kosztowały, ale na podstawie dokumentów, wyliczeń. Austriaka to nie satysfakcjonuje. Postanawia się udać do Jarosława Kaczyńskiego.

Nagrania z tych rozmów opinia publiczna poznaje w styczniu br. Co z nich wynika? Oddajmy głos Józefowi Orłowi, publicyście, szefowi Klubu Ronina, który stwierdzał na łamach „Sieci": „Na taśmie nie ma żadnego dealu, żadnego interesu. To, co przeczytaliśmy, bardziej wygląda na rodzinne doradztwo niż przemawianie w imieniu inwestora czy spółki Srebrna. On wprawdzie mówi czasami »my«, ale to dlatego, że utożsamia się z działalnością tej fundacji i tych spółek, w których są ludzie PiS, które wyszły z jego środowiska, które mają zbudować te wieże, by mógł w nich działać Instytut Lecha Kaczyńskiego. Kilka razy słyszymy wyraźnie, że on doradza temu panu z Austrii. [...] Wskazuje: nie ma dokumentów, nie ma pisemnej umowy, nie ma podstaw obecnie do wypłacenia pieniędzy. Doradza zatem, by wystąpić na drogę sądową, co jest drogą sprawdzenia prawdziwości roszczeń, ich legalności, a ewentualny wyrok sądu da możliwość zarządowi spółki Srebrna wypłacenia wynagrodzenia. Zwróćmy uwagę, że wciąż nie wiadomo, między kim a kim ta ustna umowa miała być zawarta. Na pewno nie między biznesmenem a Jarosławem Kaczyńskim".

Na to ostatnie pytanie odpowiedzi nie poznaliśmy do dzisiaj. Ale teza Orła, że Kaczyński jest tutaj bardziej zaniepokojonym konfliktem (także dotyczącym dalekiej rodziny) negocjatorem niż szefem, warta jest zanotowania. On sam, także w rozmowie z „Sieci", ujmował to podobnie: „Byłem pod pewnym naciskiem moralnym ze strony tej części rodziny, bo oni się tu sprowadzili, kupili sobie tu dom, a ten Austriak doszedł chyba do wniosku, że będzie z tej inwestycji po prostu żył, i to dobrze. Może naczytał się tekstów, z których wynika, że ja tu wszystko mogę. Problem w tym, że nie było podstawy prawnej do zapłaty. Wcześniej wielokrotnie proszono tego pana, żeby zawarł umowę na jakieś konkretne pieniądze, obejmującą to, co robi".

Ktoś może zapytać: a co tam w ogóle robił Jarosław Kaczyński w sensie formalnym? Jest przecież liderem partii rządzącej. Czy powinien się zajmować taką inwestycją? Biorąc pod uwagę, że celem było zbudowanie muzeum śp. Lecha Kaczyńskiego, miejsca, w którym propagowano by państwową myśl tragicznie zmarłego prezydenta, niczego niewłaściwego dopatrzyć się w tym nie mogę. Warto podkreślić: w tej niewielkiej strukturze o nazwie Instytut Lecha Kaczyńskiego (właśnie działka, na której miałaby powstać inwestycja, jest jego największym majątkiem) Kaczyński pełnił funkcję szefa rady fundacji. On sam przekonywał we wspomnianym wyżej wywiadzie: „Czy przewodniczący rady fundacji może rozmawiać na temat wielkiego przedsięwzięcia odnoszącego się do własności tej instytucji? Ma prawo [...]. Czy przewodniczący rady ma prawo rozmawiać w sprawie spółki? Ma prawo, o ile władze spółki o tym wiedzą, a w tym przypadku wiedziały".

Kolejne tygodnie zdają się wskazywać, że próba wywołania wokół sprawy wielkiego, politycznego przesilenia się nie powiodła. Nie znaleziono żadnych dowodów na bezprawne działania prezesa PiS, odwrotnie – nagrania potwierdzają wizerunek człowieka z wysoką kulturą osobistą i prawną także w sytuacjach nieoficjalnych. Również tezy o jakiejś wywiadowczo-prowokacyjnej roli Birgfellnera (choć te pytania się nasuwają) nie znajdują na razie potwierdzenia. Wygląda to wszystko na jakieś wielkie pogubienie, może złamanie pod wpływem osobistych kłopotów, jakichś tajemniczych spraw w tle. I idąca za tym próba wymuszenia pieniędzy, co potwierdzałoby pójście ze sprawą do mecenasa Romana Giertycha. To w mojej opinii ostatni adres, pod którym można szukać pomocy w szybkim, skutecznym i cichym (biznes lubi ciszę) uzyskaniu jakichkolwiek pieniędzy od kogokolwiek związanego z PiS, ale na pewno pierwszy, jeśli tak naprawdę chodzi o wywarcie presji medialnej, politycznej, o zbudowanie takiego quasi-szantażu na skróty.

Pozostaje pytanie: czy są gdzieś kolejne nagrania? Nie można tego wykluczyć, ale ci, którzy zdecydowali się użyć tej sprawy do ataku na Jarosława Kaczyńskiego, do przypisania jednemu z najskromniej żyjących polskich polityków rzekomej „wielkiej kasy", też rozumieją, że szansa na wywołanie przesilenia mija. Sądzę, że gdyby mieli więcej nagrań, rzuciliby je na stół. Wiele wskazuje na to, że opowieści o dziesiątkach godzin zapisów rozmów z różnymi osobami były konfabulacją, miały wywołać paraliż atakowanego. W rzeczywistości Birgfellner najpewniej zaczął nagrywać bardzo późno, gdy był już pewien, że wyciągnięcie pieniędzy dzięki powiązaniom rodzinnym się nie powiedzie.

I dziś to on ma największe kłopoty. Nie tylko w oczach dużej części opinii publicznej, lecz także pod względem prawnym cała sprawa coraz bardziej sprowadza się w mojej opinii do próby wyłudzenia nienależnych pieniędzy od spółki Srebrna.

eprasa.pl 45edaead13



Opozycji trudno będzie dowieść tezy o złamaniu prawa karnego przez Jarosława Kaczyńskiego w sprawie planów budowy wieżowców przy ul. Srebrnej

Lekkomyślność przywódcy



JAN ROKITA

Fakty, które wywołały aferę, są szeroko znane i nie budzą wątpliwości. Zaczęło się w poniedziałek 28 stycznia od emocjonalnych zapowiedzi ujawnienia prawdy, która zrujnuje społeczne zaufanie do PiS. Dzień później „Gazeta Wyborcza" opublikowała pierwsze nagranie z negocjacji biznesowych prowadzonych w ubiegłym roku przez Jarosława Kaczyńskiego w warszawskiej siedzibie PiS, a krótko potem redaktorzy zapowiedzieli publikację dalszych nagrań. Wkrótce potem taśma z negocjacji z 2 sierpnia 2018 r. stała się dostępna w sieci, gdzie stworzono specjalny hasztag #TaśmyKaczyńskiego. Na tym nagraniu prezes PiS informuje swego austriackiego partnera biznesowego (a ponoć także powinowatego), że wycofuje się z dotychczasowych planów budowy drapaczy chmur na warszawskiej działce, która należy do spółki zawiązanej wiele lat temu przez środowisko PC w celu zagospodarowania majątku uzyskanego od państwa po parcelacji mienia PZPR.

Kaczyński formułuje dwa argumenty skłaniające go do rezygnacji z planowanej inwestycji. Pierwszym jest nieprzychylność rządzącej w Warszawie ekipy prezydent Hanny Waltzowej, drugim – szkody, jakie taka inwestycja wyrządziłaby publicznemu wizerunkowi szefa PiS i kierowanej przez niego partii. Austriacki kontrahent domaga się więc zapłaty za swe dotychczasowe działania, a Kaczyński w odpowiedzi nie wyklucza owej zapłaty, ale dla czystości sprawy odsyła partnera do sądu.

DWIE NARRACJE

Dalsze fakty nie są już tak stuprocentowo pewne, choć z kontekstu można wnioskować, że co najmniej niektóre z nich zapewne okażą się prawdziwe. Niemniej każdy, kto na ich kanwie chce dokonać rzetelnej analizy, musi brać pod uwagę, że w domenie publicznej znalazły się one za sprawą zaprzysięgłych politycznych wrogów Jarosława Kaczyńskiego i stąd niewątpliwa konieczność ich dodatkowego uwiarygodniania. Rzecz pierwsza – to długotrwałość zaangażowania szefa PiS w warszawski projekt deweloperski (miało to być 19 albo 20 spotkań, nie jest jasne, czy wszystkie zostały nagrane) oraz okoliczności włączenia weń banku Pekao SA. Wedle redaktorów przygotowujących publikację nagrania co najmniej w jednym z wcześniejszych spotkań wziął udział także prezes tego banku, na życzenie Kaczyńskiego oferując kredytowanie inwestycji.

Wiarogodności tej informacji dodaje dość pokrętne stanowisko, jakie teraz publicznie zajęło Pekao SA, oraz to, że ów bank istotnie rozpoczął finansowanie przygotowań do inwestycji kwotą 15,5 mln euro. Wiadomo także, że obecny prezes Pekao SA to menedżer nieczyniący tajemnicy ze swej daleko idącej lojalności wobec PiS, któremu zawdzięcza swoje obecne i poprzednie stanowisko.

Natomiast rzecz druga – to zaangażowanie w sprawę czołowych oficerów służb specjalnych mianowanych przez rząd PiS. Wedle zeznań złożonych przed tzw. komisją Jakiego

eprasa.pl 45edaead13

przez adwokata będącego zarazem jednym z głównych oskarżonych w warszawskiej aferze reprywatyzacyjnej, miał on otrzymać swego czasu prośbę o wykup roszczeń reprywatyzacyjnych do działki, na której Kaczyński chciał budować drapacze chmur. Prośba miała pochodzić od wysokiego rangą urzędnika warszawskiego magistratu, który z kolei miał być inspirowany przez blisko związanych z PiS oficerów CBA. Ów adwokat, zeznający co prawda pod przysięgą, z oczywistych powodów nie jest świadkiem nazbyt wiarogodnym, a stopień bliskości powiązań towarzyskich urzędnika i jego rodziny z oficerami służb specjalnych jest przedmiotem ostrej kontrowersji. Ale z kolei faktem bezspornym jest, że owi oficerowie byli w przeszłości pracownikami spółki, która teraz planowała budowę drapaczy chmur. A jakaś forma „uwolnienia się" spółki od wiszących nad nią roszczeń spadkobierców dawnych właścicieli była konieczna, jeśli plan budowy miał kiedykolwiek faktycznie dojść do skutku. Skoro więc prezes PiS osobiście angażował się tak mocno w projekt owej budowy, można logicznie założyć, że musiało mu także zależeć na znalezieniu rozwiązania kwestii owych roszczeń.

Tak z grubsza wygląda dotąd faktograficzne tło afery z „taśmami Kaczyńskiego". Na kanwie owych faktów (zarówno tych pewnych, jak i tylko prawdopodobnych) propagandziści obozu władzy i opozycji zbudowali dwie całkiem wykluczające się publiczne narracje.

Pierwsza z nich głosi, że taśmy Kaczyńskiego są wielkim niewypałem „Gazety Wyborczej", która pragnąc skompromitować prezesa PiS, z głupoty wystawiła mu... świadectwo przyzwoitości. W nagranej rozmowie Kaczyński mówi bowiem swemu kontrahentowi: „jesteśmy uczciwi", „nikogo nie chcemy oszukiwać" i domaga się, aby wszelkie płatności „miały podstawę w papierach". Kaczyński chciał zatem tylko zrobić uczciwy interes, z którego w efekcie musiał się jednak i tak wycofać z powodu złośliwej postawy warszawskiego magistratu. Co do udziału prezesa Pekao SA, pisowcy próbują twierdzić, że to normalne działanie bankiera, który na różne sposoby szuka dobrych klientów dla swojego banku. Gdy zaś idzie o plan skupu roszczeń i udział w nim służb specjalnych, z PiS słyszymy po prostu zaprzeczenia, poparte bardzo złą reputacją zeznającego na ten temat świadka.

Narracja opozycji dowodzi, że szef PiS dopuścił się co najmniej dwóch czynów kryminalnych. Najpierw przyjmując rolę swego rodzaju prokurenta spółki i prowadząc w jej imieniu poufne negocjacje biznesowe, bez ujawnienia tego faktu w publicznie dostępnej deklaracji majątkowej, a pośrednio łamiąc w ten sposób ustawowy zakaz prowadzenia biznesu przez partie polityczne. A także wykorzystując swoją polityczną pozycję faktycznego przywódcy państwa do zbudowania powiązanego z jego partią biznesu, i na dodatek używając do tego służb specjalnych oraz niedawno przejętego pod państwową kontrolę dużego banku. Dlatego

REKLAMA



43/0219/F

eprasa.pl 45edaead13

opozycja domaga się obecnie takich kroków jak szczegółowe prześwietlenie majątku Kaczyńskiego, a także niektórych jego współpracowników (np. bardzo zamożnego – jak się okazuje – kierowcy), przesłuchania szefa PiS przed tzw. komisją Jakiego, zbadania przez premiera charakteru zaangażowania oficerów służb specjalnych oraz generalnie wszczęcia śledztwa w sprawie niedoszłego planu deweloperskiego Kaczyńskiego.

KWESTIA STANDARDÓW

Na razie wszystkie tego typu żądania są zbywane przez obóz władzy wzruszeniem ramion, jawną kpiną lub ironicznym uśmiechem. Sam szef PiS najpierw długo milczał, w końcu zaś uznał całe swoje postępowanie w tej sprawie za słuszne i właściwe. Ale wśród polityków PiS widać pewne oznaki zakłopotania, niektórzy (np. Czabański czy Jurgiel) odmawiają odpowiedzi na pytania dziennikarzy.

Opozycji trudno będzie dowieść tezy o złamaniu przez Kaczyńskiego prawa karnego. Kierowanie przezeń radą fundacji, której interesy formalnie reprezentował w negocjacjach, jest faktem znanym, który szef PiS ujawniał zarówno w swej deklaracji majątkowej, jak i w sejmowym rejestrze korzyści. A próba wykazania, że owe negocjacje miałyby wikłać partię w zakazaną prawnie działalność gospodarczą, jest i prawnie, i logicznie dość karkołomna. Nie zmienia to jednak faktu, iż przewiną Kaczyńskiego jest długotrwałe osobiste zaangażowanie w deweloperskie negocjacje w Warszawie, mieście dobrze znanym z tego, że „deweloperka" i korupcja sąsiadują z sobą bardzo blisko (pisał o tym niedawno architekt i polityk Czesław Bielecki). Ta przewina to po prostu zlekceważenie standardów, jakich winien się trzymać polityk – nie tylko sprawujący faktycznie funkcję szefa państwa, lecz na dodatek znany z podkreślania etycznych przesłanek uprawianej przez siebie polityki.

> Przewiną Kaczyńskiego jest sam fakt długotrwałego, osobistego zaangażowania w deweloperskie negocjacje w Warszawie

Jeśli Kaczyńskiemu udało się w przeszłości zbudować firmę, która umożliwiła jego środowisku przetrwanie najtrudniejszych lat na marginesie polskiej polityki, to przejmując pełnię władzy w państwie, powinien był ją albo transparentnie zbyć, informując opinię publiczną, na jakie cele przeznacza osiągnięte w ten sposób zyski, albo na czas sprawowania władzy zamrozić wszelkie operacje finansowe na majątku tej firmy. Do takiej decyzji został zmuszony nawet Donald Trump, a standardy w Ameryce w łączeniu polityki i biznesu są przecież wielokrotnie niższe aniżeli w Polsce. A już poważnym błędem było osobiste zaangażowanie się pierwszej osoby w państwie w pozyskiwanie funduszów inwestycyjnych i negocjacje mające pomnożyć majątek firmy, i to dzięki koniunkturze, jaką daje sprawowanie władzy. Trudno doprawdy o jakąś racjonalną hipotezę tłumaczącą w tej mierze motywy Kaczyńskiego. Całkiem możliwe, że kierował nim (jak tłumaczy w wywiadzie dla „Sieci") chwalebny zamysł zbudowania prawicowej alternatywy dla Fundacji Batorego. Tylko dlaczego zabrakło mu tyle instynktu samozachowawczego, aby do negocjacji biznesowych oddelegować nieformalnie kogoś ze współpracowników niepełniących dziś żadnych funkcji publicznych? Czy to naiwność przywódcy państwa, czy raczej brak zaufania do współpracowników?

POUFNE WIĘZI

Inną kwestią jest wątek udziału służb specjalnych w tej sprawie. Rzecz nie jest łatwa do sprawdzenia, jak zresztą niemal wszystko, co dotyczy służb specjalnych. Gdyby jednak miało się okazać, że wysocy rangą oficerowie służb w jakikolwiek sposób działali na rzecz materialnego interesu spółki związanej z partią rządzącą, byłaby to spora kompromitacja. I znów, zapewne niewystarczająca do postawienia oficerom karnych zarzutów korupcyjnych, ale pokazująca, że wokół rządzącego PiS tworzy się swego rodzaju układ, czyli niezdrowa więź, z której piętnowania słynął właśnie niegdyś Jarosław Kaczyński. Tego rodzaju poufne więzi pomiędzy partią, służbami specjalnymi a bankami były przecież swoistym piętnem zjawiska postkomunizmu nie tylko w Polsce, lecz we wszystkich krajach, które wyzwoliły się spod sowieckiej dominacji. Dlatego jest powinnością szefa rządu, aby tego rodzaju podejrzenia dokładnie prześwietlić, nie bacząc na to, kto i w jakim celu je akurat formułuje. Ale premier Morawiecki na ten temat milczy. Nie wiemy więc, czy poufnie podjął jakiekolwiek kroki wyjaśniające.

Swoją zadziwiającą lekkomyślnością Kaczyński naraził samego siebie, swoje najbliższe otoczenie i swoją partię na poważne kłopoty. To tym bardziej niespodziane, że prezes PiS wykazywał dotąd dużą i godną pochwały ostrożność, jeśli idzie o osobiste powiązania biznesowe. Ta ostrożność nagle zniknęła, gdy pojawiła się szansa na jakościowy skok poziomu finansowego zaplecza jego politycznego środowiska. Środowiska, które przez lata klepało biedę, a przed którym teraz otworzyły się perspektywy wielkiego biznesu. Ta nieostrożność jest tym bardziej uderzająca, jeśli uzmysłowić sobie, że prezes PiS nie przewidział również zapewne, iż w siedzibie jego partii ktoś może jego słowa tajnie nagrywać. Nie wziął tego pod uwagę mimo doświadczeń afery Rywina i dobrze sobie znanych kłopotów liderów PO, których tajnie nagrywano ciągle i niemal wszędzie.

Cyniczny twórca Facebooka Mark Zuckerberg zauważył kiedyś, że „bać się nie mają czego tylko ci, którzy nie mają nic do ukrycia". Jako przywódca państwa Kaczyński szczególnie winien był o tym pamiętać, kiedy lekkomyślnie zabierał się do poufnych negocjacji biznesowych.

105/0119/F

eprasa.pl 45edaead13



STABILIZACJA, INNOWACYJNOŚĆ I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem najwyższej jakości paliw i produktów chemicznych. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Od lat działamy na rzecz wzmacniania bezpieczeństwa energetycznego państwa, w tym dywersyfikacji dostaw ropy naftowej.
Naszym celem jest stabilny i zrównoważony rozwój.
Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 45edaead13

Zmowa milczenia przy podniesionej kurtynie



GRZEGORZ GÓRNY

Pedofilia jest problemem globalnym i ponadwyznaniowym, o czym świadczą statystyki, np. 3 mln dorosłych mężczyzn rocznie uprawiających turystykę pedofilską czy zyski z takiej pornografii szacowane na ponad 20 mld dol. w skali roku. W tym kontekście Kościół jest pierwszą instytucją na świecie, która odważa się dokonać oczyszczenia w swoich szeregach, mimo że według np. amerykańskich badań dzieci w szkołach są wykorzystywane 100 razy częściej przez dorosłych niż w budynkach kościelnych przez księży. Od Kościoła wymaga się jednak więcej niż od innych, zwłaszcza w kwestiach moralnych.

PEDOFILIA A HOMOSEKSUALIZM

Konferencja została zwołana we wrześniu 2018 r. w odpowiedzi na wydarzenie, do którego doszło 26 sierpnia. Chodzi o ogłoszenie przez byłego nuncjusza apostolskiego w USA abp. Carla Marię Viganò słynnego już „świadectwa". W swym piśmie oskarżył on Franciszka, iż ten uczynił swym współpracownikiem kard. Theodore'a McCarricka z Waszyngtonu (nazwanego w amerykańskich mediach „homosexual predator"), mimo że od 2013 r. wiedział o jego haniebnej przeszłości. Autor napisał też, że w Watykanie działa „lawendowa mafia", czyli gejowskie lobby zainteresowane zatajaniem skandali obyczajowych. Wynika to z tego, że według wszystkich badań ok. 80 proc. sprawców czynów pedofilskich wśród duchownych stanowią homoseksualiści.

Sam Franciszek, dopytywany na konferencji prasowej o zarzuty Viganò, wykonał unik i odmówił odpowiedzi. Wkrótce potem jednak Watykan ogłosił, że przeprowadzi dochodzenie w sprawie McCarricka oraz zorganizuje konferencję na temat nadużyć seksualnych.

Przed rozpoczęciem obrad doszło do kilku znaczących wydarzeń. Po pierwsze, McCarricka, który już rok temu został pozbawiony godności kardynalskiej, wydalono ze stanu duchownego. Tak ostrej sankcji wobec katolickiego purpurata nie było od stuleci. Nie wiadomo natomiast, kiedy zakończy się dochodzenie mające wyjaśnić, jak możliwa była błyskotliwa kariera tego hierarchy, skoro jego czyny od lat stanowiły tajemnicę poliszynela.

Drugim wydarzeniem była decyzja Franciszka mianująca kard. Kevina Farrella kamerlingiem Kościoła, czyli osobą, która zarządza Stolicą Apostolską w przypadku śmierci (lub ustąpienia) papieża. Nominacja wywołała wiele komentarzy, ponieważ amerykański dostojnik był przez długie lata najbliższym współpracownikiem Marciala Maciela Degollado oraz Theodore'a McCarricka, a więc dwóch byłych duchownych mających dziś na świecie najgorszą opinię z powodu swych nadużyć seksualnych. Sam Farrell zaprzecza co prawda, by wiedział o straszliwym procederze swych mentorów, ale to, że wspiera dziś postulaty lobby gejowskiego, sprawiło, iż jego nominacja wzbudziła oburzenie części watykanistów.

Po trzecie wreszcie, tuż przed rozpoczęciem konferencji dwaj kardynałowie – Raymond Burke i Walter Brandmüller – zaapelowali do uczestników watykańskiego szczytu, by przerwali zmowę milczenia wokół homoseksualnej mafii w Kościele i stanęli w prawdzie, przyznając, że główną przyczyną skandali pedofilskich w Kościele jest homoseksualizm. Ich apel poparł inny purpurat – kard. Gerhard Müller. Głos zabrał również abp Viganò, wyrażając wątpliwość, czy konferencja rzeczywiście skupi się na najpoważniejszym źródle problemów, czyli homoseksualizmie wśród kapłanów.

WSZYSTKIEMU WINNY KLERYKALIZM

O tym, że jego obawy były uzasadnione, przekonywał wybór komitetu organizacyjnego. Powszechnie spodziewano się, że na jego czele stanie przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Dzieci kard. Seán O'Malley z Bostonu, posiadający wśród purpuratów największą wiedzę na temat nadużyć seksualnych wobec nieletnich. To właśnie on rok temu odegrał przełomową rolę w przezwyciężeniu kryzysu homoseksualnego w Chile. Przypomnijmy, że Franciszek do samego końca bronił zamieszanego w skandal gejowski bp. Juana Barrosa Madrida, oskarżając ofiary molestowania o rzucanie kalumnii na niewinnego człowieka. Kard. O'Malley oświadczył wówczas, że „wypowiedź papieża Franciszka jest źródłem wielkiego bólu dla

eprasa.pl 45edaead13



Konferencja w Watykanie była wydarzeniem wyjątkowym. Pierwszy raz do Rzymu zjechali się przewodniczący episkopatów z całego świata, by rozmawiać o problemie molestowania seksualnego nieletnich przez duchownych. Jednak podczas spotkania dokonano uniku, obchodząc szerokim łukiem najważniejsze źródło problemu

Fot. East News/CPP/Polaris

ofiar seksualnego wykorzystywania ze strony duchowieństwa czy innych sprawców". Dodał, że słowa zwierzchnika Kościoła, to „porzucenie tych, którzy doświadczyli zasługującego na potępienie pogwałcenia ludzkiej godności", a także skazanie ofiar na „zesłanie w niesławie". Tak mocno i otwarcie nie skrytykował Franciszka nigdy żaden purpurat. Publiczne upomnienie przyniosło jednak efekt. Franciszek przeprosił, przyznał, że był w błędzie, a następnie zdymisjonował cały episkopat Chile.

Zasługi O'Malleya są więc niewątpliwe, ale od tamtego czasu zaczął być w Watykanie marginalizowany. Zamiast niego Franciszek na szefa komitetu organizacyjnego wybrał kard. Blaise'a Cupicha z Chicago (niegdyś protegowanego kard. McCarricka) – największego homolobbystę wśród hierarchów katolickich. W zeszłym roku zasłynął on twierdzeniem, że papież ma dziś ważniejsze sprawy na głowie niż wykorzystywanie seksualne dzieci, np. globalne ocieplenie albo problem imigrantów. To właśnie on narzucił całej konferencji ton, który skwapliwie podchwycili inni hierarchowie (np. kard. Marx czy abp Scicluna), iż głównym źródłem molestowania nieletnich przez duchownych nie jest wcale homoseksualizm, lecz... klerykalizm. Taki był też główny przekaz całego spotkania: jeśli uporamy się z klerykalizmem, to problem molestowania bezbronnych zniknie. Przez wielu komentatorów zostało to przyjęte bardziej jak ukrywanie niż ujawnianie głównego źródła problemu. A także jako dowód silnych wpływów lobby gejowskiego w Watykanie.

W związku z tym, rzecz jasna, problemu „lawendowej mafii" w ogóle nie poruszono. Zaistniał on w Rzymie głównie za sprawą francuskiego publicysty Frédérica Martela, który wydał książkę o „tęczowych" księżach za Spiżową Bramą pt. „Sodoma". Postawił w niej tezę, że Watykan jest dziś największą społecznością gejowską na świecie. Opisał też pewne mechanizmy działania tej niejawnej grupy wpływu. Najwięcej komentarzy wzbudziło jednak główne przesłanie jego pracy, czyli apel, by Kościół skończył z hipokryzją (a więc z oficjalnym potępianiem czynów homoseksualnych przy jednoczesnym praktykowaniu ich w ukryciu na ogromną skalę przez rzeszę księży) i zaakceptował w pełni tę orientację seksualną. Zostało to powszechnie odebrane jako próba wywarcia presji na obradujących.

ZMOWA MILCZENIA

Podczas spotkania do uczestników dotarła też wiadomość z Argentyny o rozpoczęciu śledztwa przeciw bliskiemu współpracownikowi Franciszka oskarżonemu o molestowanie kleryków. Okazało się, że w 2017 r. bp Gustavo Oscar Zanchetta został mianowany wysokim urzędnikiem watykańskim (nr 2 w strukturze bankowej Stolicy Apostolskiej), mimo że już w 2015 r. z Buenos Aires dotarły do Rzymu materiały obciążające tego hierarchę (m.in. jego zdjęcia w sytuacjach obscenicznych). Rzecznik Watykanu, mówiąc w styczniu tego roku, że w momencie nominacji nie posiadano nad Tybrem informacji o tym, mijał się więc z prawdą. Ten przykład najlepiej ilustruje mocną pozycję „lawendowej mafii" – gdyby nie argentyńska prokuratura, skandal nadal byłby tuszowany, i to w samym Rzymie.

Zgodnie z ostrzeżeniami wielu środowisk doszło też do prób obarczenia winą za zatajanie skandali pedofilskich Jana Pawła II. Nie działo się to w trakcie samego spotkania, lecz w towarzyszących mu komentarzach, również mediów katolickich. Podczas konferencji polskiego papieża wzięła w obronę meksykańska watykanistka Valentina Alazraki. Skrytykowała panujący w Kościele system „chorego informowania", który „wyrządził wiele zła tysiącom osób aż do splamienia pamięci tego, kto jest teraz świętym". Wezwała też hierarchów do przerwania panującej nadal zmowy milczenia: „Ryzyko jest bardzo wysokie, ale cena tego rodzaju postępowania jest jeszcze wyższa. Milczenie sprawia wrażenie, że nawet kiedy oskarżenia są fałszywe albo pół fałszywe i pół prawdziwe, to jeśli odpowiadasz na nie milczeniem, wszyscy są przekonani, że te oskarżenia są prawdziwe". Włoski watykanista Marco Tosatti napisał, że trudno nie odnieść tych słów do Franciszka, który – choć wzywany do odpowiedzi – nadal zachowuje milczenie w sprawie zarzutów Viganò.

eprasa.pl 45edaead13



„Delegat” vel „Libella”. Fakty, interpretacje i mity

Przy okazji oskarżeń ks. Henryka Jankowskiego o charakterze obyczajowym, o czyny pedofilskie, powróciła kwestia jego kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa jako KO „Delegat” vel „Libella”. Pojawiło się na ten temat sporo informacji nieprawdziwych. Warto zatem oddzielić fakty od mitów



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Ks. Henrykiem Jankowskim Służba Bezpieczeństwa bliżej zainteresowała się w 1975 r. Wówczas zaczęto rozpracowywać go w ramach sprawy o kryptonimie „Apostoł”. Była ona prowadzona przez Wydział IV KW MO/WUSW w Gdańsku do 1989 r. Nie był to jednak najprawdopodobniej początek działań funkcjonariuszy SB przeciwko kapłanowi. W 1973 r. pojawiły się anonimowe listy, w których go atakowano. W jednym z nich, który otrzymał biskup gdański Lech Kaczmarek, pisano: „Czyżby kurii nie był znany rodowód ks. Jankowskiego i jego niemiecka sympatia? Trudno nam w to uwierzyć. Nie chcemy takiego kapłana”. Jego autorami mieli być „polscy katolicy polskiej parafii pw. św. Brygidy w Gdańsku”. Ale najprawdopodobniej były one dziełem esbeków. Przyczyną była aktywność ks. Jankowskiego jako proboszcza parafii św. Brygidy w Gdańsku, m.in. zorganizowanie w kwietniu 1971 r. pielgrzymki dla stoczniowców do Częstochowy. Z czasem doszły nowe zarzuty, władzom nie podobało się np., że od grudnia 1975 r. odprawiał nabożeństwa w intencji ofiar Grudnia ’70.

Nie ulega również wątpliwości, że co najmniej od grudnia 1980 r. do maja 1982 r. był traktowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako kontakt operacyjny. Niestety z braku zapisów ewidencyjnych czy akt KO nie sposób dokładnie określić, od kiedy do kiedy był tak traktowany przez SB.

KONTAKT OPERACYJNY

W tym miejscu trzeba przypomnieć, że w myśl „Wytycznych dyrektora Departamentu IV MSW z 15 sierpnia 1973 r. w sprawie form i metod działań operacyjnych Departamentu IV MSW i jego odpowiedników terenowych” za kontakt operacyjny uznawano „osoby, z którymi utrzymywany jest (w zależności od potrzeb i okoliczności mniej lub bardziej aktywny) kontakt operacyjny, w stosunku do których nie ma uzasadnienia na to, by można je było traktować jako tajnych współpracowników”. Jak zakładano, „właściwa, systematycznie pogłębiana praca” z niektórymi KO ma szansę „w sprzyjających warunkach przerodzić się w kontakt agenturalny”.

Fot. HALEY/SIPA/East News

eprasa.pl 45edaead13

W przypadku przedstawicieli hierarchii kościelnej i osób wpływowych w Kościele przyjmowano, że „kontakty z tymi ludźmi mogą mieć charakter nieoficjalnego dialogu pozwalającego na wzajemne prezentowanie stanowisk i obliczonego na hamowanie szkodliwych inicjatyw". Osoby zarejestrowane w charakterze KO miały być wykorzystywane jako „środek uzupełniający, wzbogacający i potwierdzający informacje uzyskiwane od tajnych współpracowników", a także „narzędzie do oddziaływania na określone grupy i środowiska" w celu „wytwarzania" pożądanych dla SB tendencji, opinii i sytuacji. Z drugiej strony mogła to być również „forma oddziaływania na osobę, z którą utrzymywany jest kontakt, w celu jej neutralizacji, osłabienia aktywności, kierowania jej uwagi w pożądanym" przez SB kierunku, a dzięki temu „oddziaływanie na środowisko lub zespół ludzi, z których się ona wywodzi i które reprezentuje". W przypadku KO mówiono zresztą raczej nie o współpracy (jak w odniesieniu do TW), ale o udzielaniu pomocy. Oczywiście różnica ta nie miała żadnego znaczenia z punktu widzenia faktycznej przydatności danej osoby jako źródła informacji w pracy operacyjnej SB.

CO WIEDZIAŁ KSIĄDZ

Nie wiemy, czy ks. Henryk Jankowski miał świadomość, że jest traktowany przez Służbę jako kontakt operacyjny. Najprawdopodobniej nie pobrano od niego ani zobowiązania do współpracy lub o zachowaniu kontaktów z SB w tajemnicy, a tym bardziej nie poinformowano go o nadanych mu pseudonimach. W zarejestrowanej ukrytą kamerą w 2009 r. rozmowie z dziennikarzami TVN Ryszard Berdys (w latach 80. zastępca naczelnika Wydziału IV KW MO w Gdańsku, który kontaktował się z księdzem) na pytanie: „Coś podpisał?", odpowiedział: „Nie. Przecież to była prostacka metoda. Nie liczył się papierek – mi papierki niepotrzebne". Jednak tę i inne relacje byłych esbeków należy traktować ze szczególną ostrożnością. W końcu manipulacje i przypisywanie sobie na wyrost sukcesów mają we krwi.

Nie zmienia to faktu, że ks. Jankowski był świadom tego, z kim rozmawia. A trzeba w tym miejscu przypomnieć, że władze kościelne nakazywały księżom unikania wszelkich nieformalnych rozmów z esbekami. W przypadku ich odbycia mieli oni obowiązek poinformować swoich przełożonych o takich spotkaniach. W styczniu 1975 r. publicznie głos w tej sprawie zabrali nawet biskupi. W komunikacie ze 146. konferencji plenarnej Episkopatu Polski (15–16 stycznia 1975 r.) stwierdzali: „Konferencja, rozpatrując problemy pracy kapłanów w naszej Ojczyźnie, zaniepokoiła się występującymi faktami wzywania księży, zarówno diecezjalnych, jak i zakonnych, przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa na »poufne« rozmowy i spotkania bez podania podstaw faktycznych oraz prawnych i bez dopełnienia formalności wymaganych przez obowiązujący Kodeks postępowania administracyjnego. Mając na uwadze interes społeczny i dobro duchowieństwa, Konferencja przypomina wszystkim osobom duchownym i zakonnym, że nie powinni stawiać się na takie spotkania". Oczywiście trzeba też pamiętać, że wytyczne te bywały w praktyce trudne do realizacji.

> Nie wiemy, czy ksiądz Henryk Jankowski miał świadomość, że jest traktowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako kontakt operacyjny

ZNISZCZONE AKTA, ZACHOWANE INFORMACJE

Niestety materiały operacyjne o kryptonimie „Libella/Delegat" – łącznie jedna teczka, jak wynika z zachowanego protokołu brakowania akt – miały zostać zniszczone (wybrakowane) 24 stycznia 1990 r. Czy tak się stało w rzeczywistości, nie wiemy. W każdym razie do dziś żadne dokumenty dotyczące tego kontaktu operacyjnego cudownie się nie odnalazły ani nie zostały opublikowane w żadnym z tekstów, np. w antyklerykalnych „Faktach i Mitach", na których łamach wielokrotnie atakowano (m.in. za kontakty z SB) ks. Henryka Jankowskiego. W tej sytuacji nasza wiedza na temat tychże pochodzi z innych materiałów i jest zapewne niepełna. Odtworzenie ich (przynajmniej częściowe) możliwe jest jednak na podstawie innych zachowanych archiwaliów po byłej Komendzie Wojewódzkiej MO/Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Gdańsku i MSW.

Pierwsze dane od kontaktu operacyjnego „Delegat", którymi dysponujemy, Służba Bezpieczeństwa pozyskała 12 grudnia 1980 r. Uzyskano wówczas od niego „informacje dot. bieżącej sytuacji operacyjnej w środowiskach NSZZ »Solidarność«". Dotyczyły one głównie zamierzeń poszczególnych osób w związku z budową pomnika ofiar Grudnia 1970 r., w tym starań Anny Walentynowicz o zmianę treści planowanego napisu z „Ofiarom grudnia 1970 r." na „Poległym stoczniowcom w grudniu 1970 r.", uznanych przez Lecha Wałęsę za „nieodpowiedzialne awanturnictwo". Ostatnie (a przynajmniej ostatnie zachowane) informacje uzyskane przez gdańską SB od kontaktu operacyjnego „Delegat" zostały przesłane do MSW 28 września 1981 r. Dotyczyły one I Krajowego Zjazdu Delegatów (KZD) NSZZ „Solidarność". Miesiąc później pojawiają się dane uzyskane przez gdańską Służbę Bezpieczeństwa od kontaktu operacyjnego „Libella". Pierwsza z nich dotyczy strajków zaplanowanych na 28 października 1981 r. i postawy Wałęsy, podchodzącego do nich „bez entuzjazmu" i wyrażającego niezadowolenie, że jego poglądy w tej kwestii nie zostały uwzględnione przez część członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", a zwłaszcza przez regionalne władze związku. Zachowały się trzy informacje pozyskane przez SB od „Libelli" po wprowadzeniu stanu

eprasa.pl 45edaead13

wojennego. Ta z 31 grudnia 1981 r. dotyczy pobytu ks. Henryka Jankowskiego w Warszawie tydzień wcześniej oraz rozmowy, jaką wraz z bp. Zbigniewem Józefem Kraszewskim i ks. Orszulikiem przeprowadził z Lechem Wałęsą. Przewodniczący „Solidarności" w jej trakcie miał stwierdzić, że „musi postawić pod adresem władz kategoryczne żądania uwolnienia internowanych działaczy" związku. Przedstawiciele Kościoła jednak „z trudem wytłumaczyli mu, że teraz nie pora na stawianie warunków, lecz należy poszukiwać konstruktywnych rozwiązań zaistniałych problemów społecznych". Ostatnie zachowane informacje od „Libelli" pochodzą z połowy maja 1982 r. na temat zakonnika Juana Fernandeza Krohna, który próbował dokonać zamachu na Jana Pawła II i dotyczyły pobytu Krohna w Gdańsku kilka miesięcy wcześniej, podczas Walnego Zebrania Delegatów NSZZ „Solidarność" Regionu Gdańskiego. Jasno z tego wynika, że informacje, które SB uzyskiwała od ks. Henryka Jankowskiego, dotyczyły okresu tzw. karnawału, kiedy „Solidarność" działała jawnie, a nie jej działalności podziemnej.

MÓWIŁ ZBYT DUŻO

Jak wynika z zachowanych materiałów, był przez SB traktowany nie tylko jako źródło cennych informacji, lecz także jako ważne źródło wpływu, szczególnie w czasie I KZD. Zamierzano go wówczas wykorzystać m.in. w działaniach inspirujących „delegatów do zajmowania postaw politycznie korzystnych, neutralizacji i dezaprobaty w stosunku do elementów ekstremalnych". Miał być też „użyty do przekazywania prymasowi J[ózefowi] Glempowi odpowiednich opinii i sugestii na temat »Solidarności« i występujących tam tendencji politycznych". Z drugiej zaś strony planowano wykorzystanie go w działaniach ofensywnych w celu wzmocnienia pozycji Lecha Wałęsy oraz ograniczenia „wpływu ekstremistów na przebieg zjazdu", a także do prowadzenia bliżej nieokreślonych „działań charakteru inspiracyjnego".

Nie ulega wątpliwości, że ks. Henryk Jankowski mówił Ryszardowi Berdysowi zbyt dużo. To dzięki niemu SB dysponowała wiedzą o planach i zamierzeniach przewodniczącego „Solidarności", o stosunku kolejnych prymasów (szczególnie Stefana Wyszyńskiego) do związku. Z całą pewnością uzyskiwane od niego informacje były przydatne w prowadzonych przez SB działaniach przeciwko związkowi, np. do działań dezintegracyjnych – podsycania konfliktu między Lechem Wałęsą a Andrzejem Gwiazdą czy Anną Walentynowicz lub też ograniczania roli w związku osób związanych z Komitetem Obrony Robotników. Nie ulega też wątpliwości, że Służba Bezpieczeństwa starała się wykorzystać księdza do swoich celów. Sprzyjało temu zresztą to, że częściowo oceny związku i jego działaczy ze strony SB i władz Kościoła katolickiego (np. osób związanych z KOR) były zbieżne. Tak na marginesie – w świetle naszej dzisiejszej wiedzy – można stwierdzić, że ks. Jankowski był z punktu widzenia SB potencjalnie najcenniejszą osobą (osobowym źródłem informacji) w działaniach przeciwko legalnej „Solidarności". Jego szczególna pozycja – oficjalnego kapelana związku – pozwalała na wykorzystaniu go do z jednej strony wpływu na kolejnych prymasów, a z drugiej na przewodniczącego „Solidarności" Wałęsę. Problem w tym, że nie sposób w świetle zachowanych materiałów ocenić, na ile tak się działo. Nie wiemy też, czy ks. Jankowski był, używając esbeckiego żargonu, „zadaniowany" lub – co wydaje się w tym przypadku bardziej prawdopodobne – Berdys sugerował mu pewne działania, manipulował nim. Nie można wykluczyć, że – jak twierdzi Jan Żaryn – ks. Henryk Jankowski „świadomie uczestniczył w grze politycznej, której celem – według niego – była próba ograniczenia wpływów KOR na politykę związku i zbliżenie stanowiska władz »Solidarności« do opinii wychodzących z ul. Miodowej. SB – w koncepcji ks. Jankowskiego – miała stanowić narzędzie i swoisty pas transmisyjny wspierający »porozumienie« między władzą a hierarchią Kościoła katolickiego".

BAJKI ESBEKÓW

Na koniec klika słów o mitach narosłych wokół „Delegata"/„Libelli". Pierwszy dotyczy jego rzekomej współpracy w sierpniu 1980 r. Ostatnio wspominał o tym Sławomir Cenckiewicz. Drugi – rzekomego poinformowania SB przez ks. Henryka Jankowskiego o miejscu ukrywania się Bogdana Borusewicza, o czym mówił sam zainteresowany. Ich źródłem są oczywiście byli esbecy, na których podstawie powstały (o ile ci sami ich nie napisali) publikacje w „Faktach i Mitach". W pierwszym przypadku ks. Jankowski mszę świętą w Stoczni Gdańskiej 17 sierpnia miał odprawiać dzięki zabiegom Służby Bezpieczeństwa, a wygłoszona przez niego homilia powstać przy udziale SB i zostać zaaprobowana przez ministra spraw wewnętrznych. Sama współpraca zaś miała być zakamuflowana rozmowami operacyjnymi. I rzeczywiście takie rozmowy się odbyły (pierwsza 16 sierpnia) i mogły mieć wpływ na postawę ks. Jankowskiego, tyle że były one dopiero początkiem tzw. dialogu operacyjnego, którego efektem stało się jego późniejsze uznanie za kontakt operacyjny. I nie było wtedy jeszcze powodu – czego przecież nie uczyniono później – aby w ten sposób kontakty z ks. Henrykiem Jankowskim kamuflować. Stał się on postacią ważną dopiero po sierpniu 1980 r.

Z kolei rzekome wydanie pod koniec 1984 r. Borusewicza nie tylko nie znajduje potwierdzenia w zachowanych, niepełnych dokumentach, lecz również jest sprzeczne z postawą księdza po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie informował on bowiem SB o działalności podziemnej „Solidarności", nie donosił o jej ukrywających się działaczach. Wręcz przeciwnie, pomagał im się ukrywać. A z czasem wręcz stał się człowiekiem instytucją, ogromnym wsparciem dla podziemnej „S" i solą w oku władz PRL. W efekcie już w 1983 r. śledztwo w sprawie działalności księdza w latach 1982–1983 prowadził Wydział Śledczy KW MO w Gdańsku pod zarzutem „nadużywania swobód religijnych". W tym samym czasie atakowano go – z inspiracji SB – w prasie, a niewykluczone, że nawet próbowano zabić.

W atakach władz PRL i kontrolowanych przez nie mediach wśród licznych oskarżeń nie pojawiają się zarzuty o pedofilię.

eprasa.pl 45edaead13

Uwieść milenialsów



Alexandria Ocasio-Cortez

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 45edaead13

29-letnia Alexandria Ocasio-Cortez, córka architekta z Bronxu i gospodyni domowej z Portoryko, ma pomóc Partii Demokratycznej w odebraniu władzy Donaldowi Trumpowi



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Milenialsi, czyli pokolenie urodzone między 1981 a 1996 r., to według Pew Research Centre najbardziej lewicowa generacja w historii Ameryki. W 2020 r., jak pisze magazyn „Forbes", będą mieli większy udział w dorosłym społeczeństwie niż babyboomersi. To na nich liczą demokraci, by odebrać władzę Donaldowi Trumpowi. W ostatnich wyborach się to nie udało, bo frekwencja wśród młodych wypadła słabo. Tym razem do głosowania ma ich zmobilizować nowe pokolenie polityków. A okazja może się nie powtórzyć. Jak pokazują bowiem badania, m.in. te przeprowadzone przez instytut The Guild, urodzeni po 1995 r., czyli pokolenie Z, są o wiele bardziej konserwatywni niż milenialsi, a nawet babyboomersi. 59 proc. z nich twierdzi, że w kwestiach legalizacji homomałżeństw, ochrony klimatu, legalizacji marihuany czy praw transseksualistów mają „konserwatywne lub umiarkowane poglądy" (83 proc. milenialsów deklaruje w tych kwestiach poglądy liberalne lub bardzo liberalne). Jak pisze brytyjski „The Guardian", jest to pokolenie, które uważa, że „ma coś lepszego do roboty niż alkohol, narkotyki i seks". Woli religię, naukę i spędzanie czasu z rodziną. Jednocześnie ma poczucie, że jego przyszłość jest niepewna, co powoduje, że w kwestiach bezpieczeństwa wewnętrznego i gospodarki bardziej ufają republikanom. Okienko jest więc wąskie i demokraci zamierzają je wykorzystać.

Jednym z polityków, który ma uwieść milenialsów, jest 29-letnia Alexandria Ocasio-Cortez, najmłodsza w historii kobieta zasiadająca w Kongresie. Zaprzysiężona 3 stycznia br. zdążyła już zwrócić na siebie uwagę wieloma tak odważnymi i jednocześnie absurdalnymi pomysłami politycznymi oraz większą aktywnością na Twitterze niż tweetujący niemal bezustannie prezydent USA. Ocasio-Cortez jest taka jak pokolenie, do którego się zwraca: idealistyczna, zaangażowana, mocno zakotwiczona w mediach społecznościowych i nieco oderwana od rzeczywistości.

ZMIENIĆ ŚWIAT

Kongresmen z Nowego Jorku Joe Crowley, którego Ocasio-Cortez zastąpiła (zasiadał przez rekordowe 10 kadencji w Kongresie), dał nowym, młodym członkom Izby Reprezentantów radę, by „nie wyobrażali sobie, że zmienią tutaj świat". Dokładnie o tym jednak marzy jego następczyni. I ma to być świat bardziej egalitarny, sprawiedliwy i postępowy. Pomagają jej w tym jej najbliżsi współpracownicy: córka imigrantki z Nigerii 31-letnia Ariel Eckblad oraz Dan Riffle, 37-latek, który dorastał w nędzy w przyczepie, z matką alkoholiczką i którego profil na Twitterze teraz głosi: „Każdy miliarder to polityczna porażka". Wspólnie chcą nie tylko zatrzymać zmiany klimatyczne, zniwelować nierówności społeczne, lecz także przemeblować Partię Demokratyczną, gdzie rządzi wciąż pokolenie 60- i 70-latków, takich jak Hillary Clinton czy spiker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi.

Jeszcze cztery lata temu Ocasio-Cortez, córka architekta z Bronxu i gospodyni domowej z Portoryko, pracowała jako barmanka, by sfinansować studia na Boston University. Przed wyborami prezydenckimi w 2016 r. zaangażowała się w kampanię kandydata w prawyborach demokratów Berniego Sandersa i odkryła, że tak jak on jest „demokratyczną socjalistką". Co to znaczy, pokazała już podczas pierwszego miesiąca w urzędzie. Jak wylicza CNN, udało jej się w tym czasie zgromadzić więcej followersów na Twitterze niż Pelosi, a filmik pokazujący, jak tańczy przed swoim biurem dzień po zaprzysiężeniu, był retweetowany rekordowe 160 tys. razy. I oglądany przez 20 mln głównie młodych Amerykanów.

O wiele mniej zabawne są polityczne propozycje młodej kongresmenki. A zdążyła ich złożyć już kilka. Wywołały złośliwe uwagi nawet w jej własnym politycznym obozie, ale są idealnie skrojone pod myślenie milenialsów, którzy zostali wychowani w przekonaniu, że można zrobić wszystko i być kim się tylko chce, bez względu na uwarunkowania. Wystarczy chcieć.

Tak więc Ocasio-Cortez w wywiadzie z CBS News zadeklarowała, że dochody powyżej 10 mln dol. powinny być obłożone 70-proc. podatkiem, a w ramach walki z klimatem należy „radykalnie zredukować liczbę samochodów, samolotów, krów oraz żołnierzy". Dodała, że nie ma wątpliwości, iż Trump jest rasistą, bo „więzi dzieci imigrantów na granicy". Trump odpowiedział jej na Twitterze krótko i obcesowo: „Kogo to obchodzi?".

ZIELONE MARZENIE

Wtedy Ocasio-Cortez wyszła – wspólnie z senatorem demokratów Edem Markeyem – z propozycją tzw. Green New Deal (Nowego Zielonego Ładu), programu mającego na celu przeciwdziałanie zmianom klimatu i pogłębianiu się społecznych nierówności. Odwołujący się do New Deal prezydenta Franklina D. Roosevelta program zakłada trwającą 10 lat „ekonomiczną mobilizację", w której wyniku amerykańska gospodarka w 100 proc. ma przejść na odnawialne źródła energii, a krajowa infrastruktura zostać radykalnie zmodernizowana. Dzięki temu powstać mają miliony „gwarantowanych przez państwo" nowych miejsc pracy. Przy okazji rezolucja wzywa do zakończenia „historycznego" ucisku różnych grup

eprasa.pl 45edaead13

społecznych, w tym ludności autochtonicznej, mniejszości etnicznych, społeczności imigranckich, grup poszkodowanych przez deindustrializację, mieszkańców wyludnionych wsi, biednych, pracowników z niskimi dochodami, kobiet, osób starszych, bezdomnych, niepełnosprawnych i młodzieży. W skrócie: wszystkich, z wyjątkiem tych co zwykle. Ponadto państwo ma wypłacać pensje tym, „co nie chcą pracować".

Według agencji Bloomberg, która powołuje się na analizę niezależnego think tanku American Action Forum, realizacja Green New Dealu spowodowałaby przejęcie większości gałęzi gospodarki przez państwo i kosztowałaby od 51 do 93 bln dol. na przestrzeni 10 lat, czyli 650 tys. dol. na każde amerykańskie domostwo. Stany Zjednoczone są obecnie zadłużone na 20 bln dol., co zostało uznane przez szefa National Intelligence Agency Dana Coatsa za „ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego". Na tym tle Green New Deal Ocasio-Cortez wydaje się propozycją absurdalną i wysoce utopijną, ale to nie zmniejszyło bynajmniej entuzjazmu wśród milenialsów. Dzień po wywiadzie, którego Ocasio-Cortez udzieliła na ten temat programowi „60 minutes", Green New Deal pikował w Google Trends. A jej pierwsze przemówienie w Izbie Reprezentantów zgromadziło aż 3,34 mln widzów na Twitterze. Reakcja czołowych polityków demokratów była o wiele mniej entuzjastyczna. Nancy Pelosi nazwała Green New Deal „zielonym marzeniem", a inni wyrazili obawę, że młoda i coraz bardziej popularna polityk przesuwa partię „zbyt daleko na lewo". A jej popularność – na Netflixie ukaże się niebawem film dokumentalny o Ocasio-Cortez – jest niewspółmierna do jej politycznego doświadczenia i umiejętności. A ponadto zagraża ona starym partyjnym wyjadaczom, z których wielu chce startować w prawyborach demokratów na prezydenta. Tak więc jej otoczenie usiłowało złagodzić implikacje rezolucji. Doradca młodej kongresmenki, wykładowca prawa z Uniwersytetu Cornella, prof. Robert Hockett zarzekał się w wywiadzie z Fox News, że „demokraci nie wypłacaliby pensji ludziom, którzy nie chcą pracować". A szef sztabu Ocasio-Cortez Saikat Chakrabarti twierdził, że „to tylko luźno rzucona propozycja, która została opublikowana niechcący".

> Młoda kongresmenka jest taka jak pokolenie, do którego się zwraca: idealistyczna, zaangażowana i mocno zakotwiczona w mediach społecznościowych

WYGODNE NARZĘDZIE

Ocasio-Cortez nie rozumie zamieszania. „Nie jestem wcale taka radykalna. Zawsze szukam konsensu. Drogi porozumienia" – mówiła w rozmowie z telewizją MSNBC. Dodała, że ona składa rozsądne propozycje, a republikanie przekręcają jej słowa. Może i demokraci obawiają się młodej, ambitnej polityk, ale to nie powstrzyma ich zapewne od tego, by użyć jej oraz jej równie niedoświadczonych koleżanek, np. młodej muzułmańskiej kongresmenki z Minnesoty Ilhan Omar, do zdobycia głosów pokolenia, które wykazuje o wiele większą frustrację polityką i nieufność wobec władzy niż poprzednie. W wyborach do Kongresu w 2018 r. zaledwie 31 proc. wyborców w wieku 18–29 lat udało się do urn. W przypadku starszych wyborców było to aż 49 proc. Ale to i tak o 10 proc. więcej niż w 2014 r. Jak twierdzi Anisha Singh z lewicowego Centre for American Progress, „takie ruchy jak Black Lives Matter czy Occupy Wall Street pokazują, że młodzi Amerykanie zbudowali prawdziwą polityczną siłę w i poza Waszyngtonem". Tyle że politycy starający się o ich poparcie muszą być autentyczni. „Nie wystarczy wygłaszanie obietnic. Milenialsi oczekują realnego zaangażowania. Życia zgodnie z głoszonymi przekonaniami" – dodaje Singh. Oczekują wielkich utopijnych wizji, systemowych rozwiązań dla złożonych problemów, jak choćby dla zmian klimatycznych.

Takim autentycznym politykiem stara się być Ocasio-Cortez. W każdym razie w teorii. Wygłasza wykłady na temat social mediów, ucząc starszych kolegów, by nie używali memów, jeśli nie wiedzą, co to jest, oraz „nie wyrażali się na Twitterze jak ojcowie założyciele". Pisarz Ta-Nehisi Paul Coates uznał ją wręcz za realizatorkę radykalnych wizji Martina Luthera Kinga. „Autentyczny" obraz Ocasio-Cortez doznał jednak już pewnego uszczerbku. Młoda kongresmenka, która reprezentuje Nowy Jork, twierdzi, że żyje w jednopokojowym mieszkaniu w Bronxie. Ale żaden z jej sąsiadów – jak donosi portal Business Insider – nigdy nie widział jej na oczy. „Jest duchem. Nie ma tu także biura, ani w Queens, ani w Bronxie" – podkreśla portal. Według Fox News Ocasio-Cortez udaje się do mieszkania oddziedziczonego po ojcu tylko w celu realizacji sesji zdjęciowych, jak tej w listopadzie 2018 r. dla magazynu „Vogue". Okazjonalnie pozwala się też filmować w miejscowej pizzerii. Nikt jednak nie widział jej tam nigdy na ulicy ani w lokalnych sklepach.

Młoda kongresmenka, która twierdzi, że jest przywiązana do swoich skromnych korzeni, czuje się zaszczuta przez prawicowe media, za bardzo dociekliwe jak na jej gust. „Wciąż żyję w Bronxie" – zatweetowała. Tyle że w nieco większym mieszkaniu, kilka bloków dalej. Fox News jednak utrzymuje, że Ocasio-Cortez przeniosła się do eleganckiej dzielnicy Waszyngtonu Navy Yard, by żyć wśród tych, których tak ostro krytykuje za ich bogactwo. Nie zmniejszyło to jednak – na razie – jej popularności. Czy zrobi zawrotną karierę polityczną? Jeśli doświadczenie Berniego Sandersa jest jakąś wskazówką, to nie. Trudno sobie wyobrazić tak radykalny zwrot demokratów w lewo. Ocasio-Cortez może się więc okazać gwiazdą jednego sezonu, która ściągnie do partii nowych wyborców, a następnie zniknie ze sceny.

eprasa.pl 45edaead13



Mama 4+, czyli co warto wiedzieć o nowym świadczeniu

1 marca 2019 r. weszła w życie tzw. emerytura matczyna. Komu przysługuje? Jakie są zasady ubiegania się o nią? Jaka jest jej wysokość? Oto pakiet informacji o programie Mama 4+



DOROTA ŁOSIEWICZ

1. CO TO JEST MAMA 4+?

Mama 4+ to rodzicielskie świadczenie uzupełniające przysługujące osobom, które urodziły, wychowały lub tylko wychowały co najmniej czworo dzieci. Świadczenie to ma zapewnić niezbędne środki utrzymania tym osobom, które zrezygnowały z zatrudnienia na rzecz wychowania dzieci lub pracowały za krótko i nie nabyły prawa do minimalnej emerytury.

2. JAKIE WARUNKI NALEŻY SPEŁNIĆ, BY OTRZYMAĆ ŚWIADCZENIE?

Rodzicielskie świadczenie uzupełniające możesz otrzymać, jeśli:

- jesteś matką, ukończyłaś 60 lat oraz urodziłaś i wychowałaś lub tylko wychowałaś co najmniej czworo dzieci,
- jesteś ojcem, ukończyłeś 65 lat oraz wychowałeś co najmniej czworo dzieci, ponieważ matka dzieci zmarła, porzuciła je lub długo ich nie wychowywała,
- nie masz dochodu zapewniającego ci niezbędne środki utrzymania.

Aby otrzymać świadczenie, musisz mieszkać w Polsce i mieć tutaj ośrodek interesów życiowych przez co najmniej 10 lat (po ukończeniu 16 roku życia), a także mieć:

- polskie obywatelstwo lub
- obywatelstwo jednego z państw Unii Europejskiej albo państw Europejskiego Porozumienia o Wolnym Handlu (EFTA) i mieć prawo pobytu bądź prawo stałego pobytu w Polsce lub
- zalegalizowany pobyt w Polsce (jeśli jesteś cudzoziemcem).

3. CO ZROBIĆ, ABY OTRZYMAĆ RODZICIELSKIE ŚWIADCZENIE UZUPEŁNIAJĄCE?

Konieczne jest złożenie wniosku zawierającego takie dane jak:

- imię, nazwisko, data urodzenia, numer PESEL albo seria i numer dowodu osobistego lub paszportu,
- adres zamieszkania lub miejsca pobytu,
- adres do korespondencji, jeśli jest inny niż adres zamieszkania,

eprasa.pl 45edaead13

– informacja o tym, w jaki sposób chcesz otrzymywać świadczenie (np. numer konta bankowego i nazwa banku),
– podpis.

Do wniosku należy dołączyć również:
– akty urodzenia dzieci lub orzeczenia sądu o powierzeniu sprawowania pieczy zastępczej nad dziećmi,
– numery PESEL dzieci,
– oświadczenie o sytuacji osobistej, rodzinnej, majątkowej i materialnej,
– inne dokumenty, które mogą mieć wpływ na przyznanie świadczenia.

Gotowy do wypełnienia druk oświadczenia jest dostępny w placówkach ZUS i KRUS oraz na stronie www.zus.pl.

WAŻNE – jeśli jesteś ojcem i ubiegasz się o rodzicielskie świadczenie uzupełniające, w oświadczeniu musisz wskazać datę zgonu matki albo datę porzucenia przez nią dzieci lub zaprzestania ich wychowywania przez długi czas.

4. W JAKI SPOSÓB MOŻNA POTWIERDZIĆ OKOLICZNOŚCI BRANE POD UWAGĘ PRZY ROZPATRYWANIU WNIOSKU?

Informacje, które podasz we wniosku oraz w oświadczeniu o twojej sytuacji osobistej, możesz udokumentować m.in. zaświadczeniami z właściwego urzędu skarbowego, które potwierdzają źródła osiąganych dochodów lub przychodów oraz ich wysokość, zaświadczeniami z urzędu gminy potwierdzającymi rodzaj oraz wielkość posiadanego gospodarstwa rolnego lub innymi dokumentami potwierdzającymi twoją sytuację.

5. GDZIE ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Wnioski przyjmują placówki Zakładu Ubezpieczeń Społecznych lub Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Po rozpatrzeniu wniosku przez prezesa ZUS lub KRUS otrzymasz decyzję o przyznaniu prawa do świadczenia albo o jego odmowie. Prezes ZUS lub KRUS będą wszystkie zgłoszone wnioski rozpatrywać indywidualnie w drodze postępowania administracyjnego.

UWAGA – masz obowiązek powiadomić ZUS o wszelkich zmianach, które mają wpływ na prawo do świadczenia i jego wysokość, np. podjęcie zatrudnienia.

6. ILE WYNIESIE WYSOKOŚĆ ŚWIADCZENIA?

Jeśli nie pobierasz emerytury ani renty, będzie wynosić ono 1,1 tys. zł, czyli tyle, ile od 1 marca br. wynosi minimalna emerytura.

Jeśli pobierasz emeryturę lub rentę, ale jest ona niższa niż minimalna emerytura, to rodzicielskie świadczenie uzupełniające będzie dopełnieniem do najniższej emerytury. Kwota świadczenia będzie więc równa różnicy pomiędzy najniższą emeryturą a wysokością pobieranej przez ciebie emerytury lub renty.

7. NA JAKICH ZASADACH BĘDZIE WYPŁACANE ŚWIADCZENIE?

Wypłata świadczenia przysługuje od pierwszego dnia miesiąca, w którym prezes ZUS wydał decyzję w twojej sprawie, jednak nie wcześniej niż od dnia, w którym osiągnęłaś/osiągnąłeś wiek emerytalny (60 lub 65 lat). Decyzje będą wydawane w ciągu 30 dni od wyjaśnienia wszystkich okoliczności.

8. KIEDY NA PEWNO RODZICIELSKIE ŚWIADCZENIE UZUPEŁNIAJĄCE NIE BĘDZIE SIĘ NALEŻAŁO?

Jeśli:
– otrzymujesz rentę lub emeryturę albo inne świadczenie w wysokości co najmniej najniższej emerytury,
– jesteś tymczasowo aresztowana/y lub odbywasz karę pozbawienia wolności (z wyłączeniem odbywania kary w systemie dozoru elektronicznego),
– sąd pozbawił cię władzy rodzicielskiej albo ograniczył ją przez umieszczenie dziecka lub dzieci w pieczy zastępczej,
– długotrwale zaprzestałaś/łeś wychowywania dzieci,
– mieszkasz poza granicami Polski.

ELŻBIETA RAFALSKA,
minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Program Mama 4+ to wyraz solidarności społecznej, a także realne docenienie trudu rodzicielstwa. Wychowanie czworga, pięciorga, sześciorga czy większej liczby dzieci to ogromne wyzwanie oraz wielka wartość dla całego społeczeństwa. Jest wiele kobiet, które nie pracowały zawodowo lub pracowały zbyt krótko, by mieć prawo do choćby minimalnej emerytury. To w mojej ocenie głęboko niesprawiedliwe, że mamy (w szczególnych przypadkach również mężczyźni) są pozostawione same sobie, bez środków do życia. Chociaż sytuacja materialna i życiowa Polaków w ostatnich latach znacznie się poprawiła, to seniorzy rodzice wciąż są grupą najbardziej zagrożoną ubóstwem. Szczególnie teraz, w dobie zmian demograficznych i starzenia się społeczeństwa, troska o osoby starsze jest dla nas wielkim wyzwaniem, któremu musimy sprostać – solidarnie.



Fot. Shutterstock, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 45edaead13

od 1 marca

można składać wnioski o rodzicielskie świadczenie uzupełniające Mama 4+



ok. **85 tys.**

osób może skorzystać z rodzicielskiego świadczenia uzupełniającego Mama 4+

Rodzicielskie świadczenie uzupełniające Mama 4+, **podlega rocznej waloryzacji**



ok. **20 tys. osób**

będzie mogło uzupełnić otrzymaną emeryturę do wysokości świadczenia



ok. **65 tys. osób**

będzie mogło otrzymać świadczenie w pełnej wysokości



Źródło: Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Socjalnej

9. CO MOŻE ZROBIĆ OSOBA, KTÓRA NIE ZGADZA SIĘ Z DECYZJĄ PREZESA ZUS?

Masz prawo w ciągu 14 dni od otrzymania decyzji zgłosić wniosek do prezesa ZUS o ponowne rozpatrzenie sprawy oraz w ciągu 30 dni od doręczenia decyzji zgłosić skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie za pośrednictwem prezesa ZUS.

WAŻNE – możesz również złożyć odwołanie do sądu, jeśli nie zgadzasz się z decyzją w sprawie:
- ponownego ustalenia wysokości rodzicielskiego świadczenia uzupełniającego,
- ustania prawa do tego świadczenia,
- wypłaty tego świadczenia,
- zwrotu nienależnie pobranego świadczenia.

W takiej sytuacji odwołanie złóż do sądu okręgowego – sądu pracy i ubezpieczeń społecznych.

10. DLACZEGO NIE MOŻNA DORABIAĆ DO RODZICIELSKIEGO ŚWIADCZENIA UZUPEŁNIAJĄCEGO?

Świadczenie ma charakter specjalny – ma na celu zapewnienie minimalnego dochodu osobom, które z przyczyn niezależnych od siebie nie mogły znaleźć pracy albo zrezygnowały z zatrudnienia (lub go nie podjęły), by wychowywać dzieci w rodzinach wielodzietnych, a w efekcie nie nabyły prawa nawet do minimalnej emerytury. Celem świadczenia jest więc zapewnienie minimalnych środków finansowych osobom, które ich nie posiadają.

11. CZY RODZICIELSKIE ŚWIADCZENIE UZUPEŁNIAJĄCE BĘDZIE PODLEGAĆ OPODATKOWANIU?

Tak, świadczenie będzie podlegać opodatkowaniu na zasadach określonych w ustawie z 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych oraz potrącana będzie ze świadczenia składka na ubezpieczenie zdrowotne na zasadach określonych w ustawie z 27 sierpnia 2004 r. o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych.

PYTANIA Z ŻYCIA WZIĘTE

Wychowałam pięcioro dzieci. Teraz – mimo że mam skończone 65 lat – dorabiam sobie do bardzo niskiej emerytury na umowę o dzieło. Czy otrzymam świadczenie dopełniające emeryturę?

Jeśli pani emerytura wraz z wynagrodzeniem z tytułu umowy o dzieło nie będzie przekraczać wysokości najniższej emerytury (od 1 marca br. 1,1 tys. zł), to przyznane zostanie pani świadczenie Mama 4+ w wysokości dopełniającej kwotę emerytury do 1,1 tys. zł.

Mam sześcioro dzieci, ale sąd ograniczył mi władzę rodzicielską. Czy mimo to przysługuje mi świadczenie?

Rodzicielskie świadczenie uzupełniające nie będzie przysługiwać osobie, którą sąd pozbawił władzy rodzicielskiej lub której ograniczył władzę rodzicielską przez umieszczenie dziecka w pieczy zastępczej, a także w przypadku długotrwałego zaprzestania wychowywania dzieci.

Mam 67 lat i czworo już dorosłych dzieci. Przez kilkanaście lat pracowałam we Włoszech, a dzieci wychowywał mąż. Czy w takiej sytuacji przysługuje mi świadczenie?

Jeśli przez kilkanaście lat pracowała pani we Włoszech, nie wychowując dzieci, nie spełnia pani podstawowej przesłanki świadczenia Mama 4+. Świadczenie jest skierowane do osób, które z przyczyn niezależnych od siebie nie mogły znaleźć pracy, zrezygnowały z zatrudnienia lub nie podjęły go, poświęcając się wychowaniu dzieci, i z tego powodu nie mają prawa do minimalnej emerytury.

eprasa.pl 45edaead13

Dwie koalicje – dwa światy



Janusz Szewczak

Operacja „Dinozaur" zakończona. Nowa piątka PiS spowoduje, że cud gospodarczy nad Wisłą jeszcze potrwa – ku rozpaczy totalnych – bo na tym właśnie polega stymulacja popytu i koniunktury gospodarczej. Nie wszyscy muszą tylko wyprzedawać majątek narodowy obcym, ciąć, odbierać, schładzać, jak to bywało za prof. Leszka Balcerowicza i rządów PO-PSL.

Mimo że rząd PO-PSL pozostawił po sobie prawdziwą „kamieni kupę", to „dinozaury" nie tylko nie padły, lecz tak się zmobilizowały, iż pozamiatały przedwyborczą scenę polityczną. Ten straszliwy PiS znowu postanowił zrobić coś sensownego i korzystnego dla Polaków (500+ na pierwsze dziecko, 13. emerytura, zwolnienie z podatku PIT młodych do 26. roku życia, obniżenie kosztów pracy i przywrócenie PKS-ów), czego mu Zjednoczona Totalna Opozycja (ZTO) nie może wybaczyć. Totalna Koalicja Europejska i podobno Obywatelska czuje się zdruzgotana i sparaliżowana, lewacko-liberalne szaleństwa i pomysły pokroju małżeństw homoseksualnych, likwidacji konkordatu czy opodatkowania kościelnej tacy już tak nie błyszczą. Bezpłatne kakao od Roberta Biedronia oraz pani od LGBT+ w każdej szkole od Rafała Trzaskowskiego nie przekonują.

Programowy szach-mat „dinozaurów" wywołał konsternację, a później zgrzytanie zębami totalnej opozycji

Programowy szach i mat Prawa i Sprawiedliwości wywołał zgrzytanie zębów totalsów. Oni ciągle nie mogą zrozumieć, że lepiej pieniądze rozdać Polakom – to również inwestycja w rodziny i młodych – niż oddać za dopłatą obcym czy zwyczajnie rozkraść. Sami rozdawali obcym i bogatym dochody z VAT czy majątek narodowy, a dziś zarzucają PiS rozdawnictwo.

Redaktor „GW" Dominika Wielowieyska z Ryszardem Bugajem i Leszkiem Balcerowiczem już się martwią, bidulki, skąd ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego weźmie 35 mld zł na realizację nowej piątki PiS, choć w 2019 r. będzie mniej, bo ok. 25 mld zł. Przecież zawsze można się poradzić eurodeputowanego PO Janusza Lewandowskiego („Co by tu jeszcze opylić"), byłego ministra finansów Jana Vincenta Rostowskiego („Pieniędzy nie ma i nie będzie"), głównego ekonomisty PO Andrzeja Rzońcy („Będzie 100 mld zł deficytu w 2018 r.") czy Roberta Gwiazdowskiego z Polska Fair Play zapowiadających zrujnowanie kraju przez PiS.

Najciekawsze, że totalna opozycja najpierw mówiła, iż pieniędzy nie ma, później, że nawet jak są, to nie wolno ich dać polskim rodzinom, bo przepiją i przebalują, a teraz, że PiS wreszcie wysłuchało ich światłych rad, ale i tak będzie dramat oraz zrujnowany budżet. Toż to porażająca schizofrenia.

Niedowiarkom warto przypomnieć, że za rządów PiS corocznie dochody podatkowe nie tylko z VAT rosną o 30–40 mld zł, a łączne dochody budżetu od czasu rządów PO-PSL wzrosły o ok. 100 mld zł, wpływy z VAT sięgnęły niemal 175 mld zł już w 2018 r., ale też uszczelnianie systemu podatkowego nie zostało jeszcze zakończone. A przecież mogło być tak pięknie i wesoło, według szefowej Nowoczesnej Katarzyny Lubnauer nawet „normalnie". Można było dalej strzyc Polaków do gołej skóry, podnosić VAT i wiek emerytalny. Zielona koniczynka PSL rzutem na taśmę szokująco wpięła się w „tęczowy łuk" partii Wiosna, która chce zlikwidować wszystkie kopalnie i dokonać epokowych reform za jedyne 35 mld zł, zapominając, że w rachunkach zabrakło im tylko jednego zera. W programie Wiosny, ale także POKO czy Koalicji Europejskiej, takich bajek gospodarczych i finansowych jest znacznie więcej.

Prof. Balcerowiczowi – straszącemu, że ostatnie propozycje programowe tej partii mogą spowodować spowolnienie i kryzys gospodarczy – warto przypomnieć, że jest coś takiego jak polityka popytowa, a nie tylko podażowa, że oprócz cięć i oszczędności jest stymulacja konsumpcji i popytu. Że wysoki, 5-procentowy wzrost PKB w Polsce jest oparty głównie na popycie indywidualnym, konsumpcji polskich rodzin i sprzedaży detalicznej, że znaczna część zainwestowanych w polskie rodziny środków wraca w postaci podatków i opłat do budżetu państwa, co skutecznie przeciwdziała właśnie spowolnieniu gospodarczemu. Takie spowolnienie jak 4-procentowy wzrost PKB w Polsce w 2019 r. Niemcy i cała strefa euro wezmą w ciemno i z pocałowaniem ręki. Te 35–40 mld zł rynek zaakceptuje, a budżet państwa wytrzyma. I ani drugiej Grecji, ani Białorusi nie będzie nad Wisłą, choćby tylko z tego powodu, że na szczęście nie mamy euro, do którego tak nas namawiają „sabotażyści".

Towarzystwo totalnych niech się nie zamartwia „katastrofą gospodarczą" nad Wisłą z powodu nowej piątki PiS, bo to nie są ostatnie propozycje programowe atrakcyjne dla Polaków, kolejne mogą się pojawić jesienią. I nienawistnicy z Koalicji Europejskiej niech się nie dziwią, że receptą PiS na zwycięstwo wyborcze i na dalsze rządzenie jest większa zasobność portfeli polskich rodzin, emerytów czy młodych pracowników.

eprasa.pl 45edaead13

Program nowej szansy

Dla współczesnych społeczeństw zabezpieczeniem przed zubożeniem na emeryturze jest dobrowolne oszczędzanie. Taką szansę stwarzają Pracownicze Plany Kapitałowe. Do końca 2021 r. uczestnictwo w PPK zostanie zaproponowane wszystkim zatrudnionym Polakom, którzy podlegają obowiązkowo ubezpieczeniom emerytalnemu i rentowemu



Fot. Shutterstock | 42/02/19/F

Od 1 lipca br. w największych zakładach pracy zostaną wprowadzone Pracownicze Plany Kapitałowe (patrz ramka). Docelowo, do końca 2021 r., ponad 11,5 mln pracowników może zostać uczestnikami PPK. Takie są założenia i prognozy. Realizacja tego gigantycznego i ważnego rozwiązania zależy przede wszystkim od uświadomienia rodakom, że to oni powinni zadbać o swój dobrostan finansowy na emeryturze.

W obecnej formie system emerytalny kapitałowo-repartycyjny wprowadzony w 1999 r., w szczątkowym zakresie, po demontażu w 2013 r. nie gwarantuje rodakom za kilkanaście lat godziwych emerytur. Mając na uwadze niekorzystne prognozy demograficzne, zmienność koniunktury na globalnych rynkach finansowych, można przypuszczać, że obecni 20-, 30-, 40-latkowie z systemu powszechnego otrzymają emeryturę w takiej samej wysokości – obywatelską, powszechną, minimalną. Nazwa nie ma istotnego znaczenia. Będzie ona finansowana przez pokolenie pracujących Polaków z pewnymi dotacjami z budżetu państwa.

INACZEJ NIŻ DO TEJ PORY

Kumulowanie kapitału na emeryturę w PPK będzie inne niż w dotychczasowym systemie emerytalnym tzw. III filarze – dobrowolne oszczędzanie w Pracowniczych Planach Emerytalnych, (PPE), Indywidualnych Kontach Emerytalnych (IKE) czy najpóźniej wprowadzonych Indywidualnych Kontach Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE).

Do PPK musi przystąpić każdy pracujący, ale może z niego zrezygnować jeszcze przed dokonaniem pierwszej wpłaty, składając pisemną deklarację. Można więc powiedzieć, że jest to system w pełni dobrowolnego oszczędzania, nie system emerytalny! Co cztery lata pracownik, który zrezygnował z uczestniczenia w PPK, z litery prawa zostanie zapisany ponownie przez swojego pracodawcę. I znowu zatrudniony może zrezygnować... Ale w imię czego?

Gromadzone na rachunkach uczestników PPK środki będą lokowane w funduszach inwestycyjnych, które różnicują poziom ryzyka w zależności od wieku uczestnika – czyli funduszach zdefiniowanej daty. Każdy pracownik biorący udział w programie zostanie automatycznie przypisany do funduszu w zależności od daty urodzenia. Uczestnik PPK inwestuje z jednym funduszem przez cały okres gromadzenia środków, a fundusz ten, w miarę zbliżania się uczestnika do 60. roku życia ma obowiązek dostosowania polityki inwestycyjnej w taki sposób, aby zapewniała właściwe bezpieczeństwo powierzonych środków.

Twórcy ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych zapewniają, że nie powtórzy się sytuacja, jaka zdarzyła się za rządów PO-PSL, kiedy to z kont każdego członka otwartych funduszy emerytalnych zostało wytransferowane 51 proc. oszczędności (statystycznie pond 10 tys. zł z każdego konta). Dlatego też

eprasa.pl 45edaead13

najważniejszym przekazem społecznym jest przekonanie pracujących Polaków, że żaden rząd w przyszłości nie będzie mógł „położyć łapy" na oszczędnościach Polaków.

„PPK są zupełnie innym systemem niż OFE, które było finansowane przez podział składki na ubezpieczenie społeczne. PPK są finansowane z prywatnych oszczędności. W ustawie o OFE był artykuł mówiący o tym, że są one częścią powszechnego systemu ubezpieczeń społecznych, w PPK zapisano wprost, że jest to system prywatny" – zapewnia Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju.

WARTO ZAPAMIĘTAĆ

PPK nie są częścią systemu emerytalnego, także i z tego powodu, że jest to system dobrowolny, a zgromadzone pieniądze mogą być dziedziczone. Będzie je można pod pewnymi warunkami wcześniej wypłacić i w każdej chwili zrezygnować z oszczędzania w PPK, odbierając własne środki oraz większość środków wpłaconych przez pracodawcę. Pracownik, który podejmie decyzję o oszczędzaniu w ramach PPK, będzie mógł swobodnie korzystać ze zgromadzonych środków na swoim rachunku po osiągnięciu 60. roku życia – bez względu na status aktywności zawodowej.

Można we wszystkim znaleźć słabe strony, ale PPK, z kilkudziesięcioletniej perspektywy pisania o systemie ubezpieczeń społecznych i ubezpieczeń prywatnych, jest w mojej ocenie rozwiązaniem przemyślanym, mającym na celu komfort finansowy każdego obywatela, ale także rynku kapitałowego w Polsce.

Każdy może pomyśleć – nie ufam władzy, znowu wytransferuje uzbierany kapitał. Jeżeli jesteś bogaty, możesz ufać jedynie własnej fortunie – i to nie zawsze. Ale jeżeli jesteś mniej zamożny, bez dziadka z fortuną? To warto się zastanowić i podjąć decyzję o wspólnym gromadzeniu kapitału na dodatkową wypłatę po zakończeniu aktywności zawodowej. Wielu ekspertów uważa, że po demontażu systemu emerytalnego z 1999 r. przez poprzednią ekipę rządzących czeka miliony Polaków ujednolicona emerytura, która będzie zapewne oscylować wokół minimum socjalnego, aby przyszli emeryci nie byli beneficjentami pomocy społecznej (na garnuszku społeczeństwa).

Pracownicze Plany Kapitałowe rozpoczną swoje życie za kilka miesięcy. Można uciec od uczestnictwa w PPK, ale gdzie obecnie na rynku finansowym można uzyskać wyższą stopę zwrotu z włożonych pieniędzy niż w PPK? Pracodawca daje 1,5 proc. pensji brutto (lub więcej). Państwo wpłaci w pierwszym roku w sumie 490 zł (patrz ramka). Jeżeli pensja brutto pracownika wynosi 5 tys. zł, to pracodawca wpłaci 75 zł, pracownik 125 zł – w ciągu roku mamy 2,4 tys. zł. I mamy w pierwszym roku pewną stopę zwrotu powyżej 40 proc. Dla osób o niższych dochodach jeszcze wyższą.

Małgorzata Dygas

Więcej o PPK na oficjalnej stronie programu: **www.mojePPK.pl**.

Wpłaty do Pracowniczych Planów Kapitałowych

Oszczędności pracownika budowane w ramach PPK będą pochodzić z trzech źródeł: od pracownika, pracodawcy oraz od państwa.

Wpłaty podstawowe pracownika, który przystąpi do programu, będą obliczane i pobierane przez pracodawcę w momencie wypłaty wynagrodzenia. Pracownik będzie co miesiąc przeznaczał na swój rachunek PPK środki w wysokości **2 proc.** wynagrodzenia brutto. W przypadku osób osiągających najniższe dochody ta wpłata podstawowa może jednak być mniejsza. Dotyczy to pracowników, których łączne wynagrodzenie osiągane z różnych źródeł w danym miesiącu nie przekracza kwoty odpowiadającej 120 proc. aktualnego minimalnego wynagrodzenia. Wpłata podstawowa dla takich osób może wynosić od 2 do 0,5 proc. wynagrodzenia brutto.

Rachunek PPK pracownika będzie również zasilany przez wpłaty pracodawcy. Ma on obowiązek przeznaczyć na nie co miesiąc **1,5 proc.** wynagrodzenia brutto pracownika. Pracodawca nie może sam z tego zrezygnować – dokonywanie wpłat będzie jego obowiązkiem ustawowym. Nie wolno mu też potrącać tej kwoty z wynagrodzenia pracownika.

Zarówno pracownik, jak i pracodawca mogą zdecydować o odkładaniu na rachunku PPK wyższych środków. Są to wpłaty dodatkowe, które wraz z wpłatami podstawowymi mogą zasilać rachunek PPK do maksymalnej wysokości 8 proc. wynagrodzenia brutto miesięcznie.

Ponadto oszczędzający po spełnieniu warunków określonych w ustawie otrzymają środki także z trzeciego źródła – od państwa. Raz w roku otrzymają dopłatę roczną w wysokości **240 zł**, a ponadto mogą liczyć na jednorazową wpłatę powitalną w wysokości **250 zł**. Wpłaty powitalne i wpłaty roczne dokonywane przez państwo będą finansowane z Funduszu Pracy i zostaną przekazane na rachunki uczestników PPK za pośrednictwem Polskiego Funduszu Rozwoju SA.

Terminy wejścia w życie PPK dla poszczególnych grup pracodawców

Terminy wprowadzania PPK u poszczególnych pracodawców zależą od liczby zatrudnionych pracowników. I tak dla:

- podmiotów zatrudniających co najmniej 250 osób (stan na 31.12.2018 r.) od 1 lipca 2019 r.;
- podmiotów zatrudniających co najmniej 50 osób (stan na 30.06.2019 r.) od 1 stycznia 2020 r.;
- podmiotów zatrudniających co najmniej 20 osób (stan na 31.12. 2019 r.) od 1 lipca 2020 r.;
- pozostałych podmiotów i całego sektora finansów publicznych (niezależnie od liczby zatrudnionych) od 1 stycznia 2021 r.

Do PPK będzie obowiązywać tzw. automatyczny zapis osób zatrudnionych, które ukończyły 18. rok życia, a nie ukończyły 55. roku życia (po ukończeniu 55. roku życia pracownik samodzielnie składa wniosek o przystąpienie do programu). Do programu nie mogą przystąpić osoby, które ukończyły 70. rok życia.

eprasa.pl 45edaead13

Bank Gospodarstwa Krajowego spłaci kredyt innowacyjnego przedsiębiorcy

Innowacyjność to słowo, które zrobiło w ostatnich latach zawrotną karierę. Dziś nie trzeba już nikogo przekonywać, że firmy, które szukają nowych rozwiązań i technologii, zyskują na rynku przewagę konkurencyjną

Aby zbudować innowacyjną przewagę, potrzeba dwóch rzeczy: dobrego pomysłu i pieniędzy na jego wdrożenie. Polskim przedsiębiorcom nigdy nie brakowało pomysłowości, a dostęp do środków na wykorzystanie tego potencjału umożliwiają Kredyt na Innowacje Technologiczne dofinansowany premią na spłatę kapitału i Gwarancje Biznesmax z dotacją na spłatę odsetek.

Kredyt na innowacje technologiczne unijnego Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, którym zarządza BGK, finansuje premię technologiczną, o którą mogą się ubiegać firmy wprowadzające na rynek innowacyjne produkty lub usługi. Czy BGK udziela w ten sposób kredytu finansowanego ze środków unijnych firmom innowacyjnym? Nie do końca, bowiem BGK spłaca za pomocą tej premii część kredytu zaciągniętego przez przedsiębiorcę w banku komercyjnym! W ten oto oryginalny sposób już od 10 lat BGK wspiera mikro-, małych i średnich przedsiębiorców we wprowadzaniu innowacji na rynku polskim.

– Misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wsparcie polskich przedsiębiorstw w ich rozwoju. A w dzisiejszym świecie droga do wzrostu wiedzie poprzez stałe unowocześnianie działalności produkcyjnej lub usługowej i metod zarządzania. Kredyt na innowacje technologiczne jest narzędziem, dzięki któremu podmioty z sektora MŚP mają szansę wdrażać projekty dające takie właśnie efekty. Powiązana z kredytem premia technologiczna w znaczący sposób redukuje obciążenia związane z obsługą tego finansowania. Zwiększa to możliwości wykorzystania innowacyjnego potencjału wśród przedsiębiorców – podkreśla Przemysław Cieszyński, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego.

Aby uzyskać premię technologiczną, przedsiębiorca innowator musi się zastosować do pięciu prostych kroków:

1. otrzymać promesę udzielenia kredytu technologicznego w banku komercyjnym lub podpisać warunkową umowę kredytu technologicznego,
2. złożyć do BGK wniosek o dofinansowanie projektu,
3. otrzymać promesę premii technologicznej wystawioną na podstawie pozytywnej oceny wniosku o dofinansowanie przez panel ekspertów,
4. podpisać umowę kredytu technologicznego z bankiem komercyjnym, a następnie umowę o dofinansowanie z BGK,
5. zrealizować i rozliczyć projekt wdrażający nowy produkt lub usługę.

O uzyskanie premii technologicznej mogą się ubiegać firmy z sektora mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, które w wyniku wdrożenia innowacyjnej technologii wprowadzą na rynek nowe albo znacząco ulepszone produkty lub zaoferują innowacyjne usługi. Projekty muszą być nowatorskie na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, co oznacza, że powinny mieć charakter ogólnokrajowy.

Do tej pory do BGK trafiło aż 1 697 wniosków o udzielenie premii technologicznej, z wkładem dofinansowania na poziomie ponad 5,5 mld zł. Dotychczas BGK wydał 616 promes premii technologicznej i rozdysponował 1,78 mld zł na spłatę części kapitałowej kredytów technologicznych

Maksymalna wysokość premii technologicznej może wynieść nawet 6 mln zł (uzależnione jest to od wielkości przedsiębiorstwa oraz miejsca realizacji inwestycji). Warto pamiętać, że istotnym wymogiem w przypadku ubiegania się o kredyt wraz z premią technologiczną jest warunek, by środki własne przedsiębiorcy stanowiły nie mniej niż 25 proc. kosztów kwalifikowanych inwestycji. Inne kryteria oceny wniosków o kredyt technologiczny są dostępne w bankach oferujących tę formę pożyczek. Każdy bank indywidualnie określa sposób oceny inwestycji. Pełna lista banków współpracujących dostępna jest na stronie: https://www.bgk.pl/przedsiebiorstwa/kredyt-na-innowacje-technologiczne/banki-wspolpracujace/.

Obecnie w BGK trwa piąty nabór wniosków na Kredyt na Innowacje Technologiczne.

Dzięki premii technologicznej BGK umożliwia innowacyjnym przedsiębiorstwom znaczącą spłatę kapitału zaciągniętego kredytu technologicznego. To jednak nie wszystko. Dzięki innemu produktowi BGK możliwe jest także uzyskanie wsparcia w spłacie odsetek.

GWARANCJA BIZNESMAX NA SPŁATĘ ODSETEK KREDYTOWYCH

Firma innowacyjna, która realizuje projekt inwestycyjny, może liczyć na wsparcie z Funduszu Gwarancyjnego unijnego

114/0119/F

eprasa.pl 45edaead13

Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój. Wsparcie to polega na udzieleniu gwarancji spłaty kredytu z możliwością otrzymania dotacji zwracającej część zapłaconych odsetek.

Gwarancja może być zastosowana jako narzędzie niezależne od innych instrumentów wsparcia, ale również może być z powodzeniem łączona z projektami dotacyjnymi dofinansowanymi z kredytu na innowacje technologiczne. Połączenie Kredytu na Innowacje Technologiczne i Gwarancji Biznesmax pozwoli przedsiębiorcy na sfinansowanie wszystkich kosztów projektu, z których jedna część otrzyma dofinansowanie dotacyjne w formie premii technologicznej spłacającej kapitał kredytu, a pozostała część kosztów zostanie objęta bezpłatną gwarancją z dofinansowaniem w formie dotacji na spłatę odsetek.

Gwarancja Biznesmax oferuje maksymalny okres zabezpieczenia spłaty kredytu, który wynosi 20 lat na kwotę do 2,5 mln euro oraz maksymalny możliwy zakres obejmujący 80 proc. wartości kredytu. Ponadto gwarancja ta jest bezpłatna, co powoduje istotną oszczędność środków przedsiębiorcy. Każdy przedsiębiorca, który prawidłowo wykorzysta kredyt z Gwarancją Biznesmax, może liczyć na dodatkowe wsparcie w formie dotacji refundującej zapłacone odsetki za okres pierwszych trzech lat kredytowania

Gwarancja Biznesmax oferuje maksymalny okres zabezpieczenia spłaty kredytu, który wynosi 20 lat na kwotę do 2,5 mln euro, oraz maksymalny możliwy zakres obejmujący 80 proc. wartości kredytu. Ponadto gwarancja ta jest bezpłatna, co powoduje istotną oszczędność środków przedsiębiorcy. Każdy przedsiębiorca, który prawidłowo wykorzysta kredyt z Gwarancją Biznesmax, może liczyć na dodatkowe wsparcie w formie dotacji refundującej zapłacone odsetki za okres pierwszych trzech lat kredytowania.

Wniosek o udzielenie Gwarancji Biznesmax wraz z planem inwestycyjnym przedsiębiorca składa razem z wnioskiem kredytowym. Dokumenty potwierdzające spełnienie kryteriów muszą być dostępne w firmie, ale nie są wymagane przez bank na etapie wnioskowania. Decyzja o udzieleniu gwarancji jest podejmowana jednocześnie z decyzją o udzieleniu kredytu.

KORZYŚCI Z GWARANCJI

Gwarancja Biznesmax ułatwia dostęp do finansowania firmom innowacyjnym, które często mają podwyższone ryzyko kredytowe. Dzięki temu instrumentowi przedsiębiorca zyskuje znacznie lepsze warunki kredytowania. Może liczyć nie tylko na wyższą kwotę kredytu, lecz także na dłuższy okres spłaty, niższe marże i prowizje oraz zwrot kosztów z tytułu zapłaconych odsetek.

Procedura przyznająca Gwarancję Biznesmax zawiera się w kilku prostych krokach:

- przyjęciu przez bank kredytujący wniosku przedsiębiorcy według wzoru określonego przez BGK,
- dokonaniu przez bank kredytujący weryfikacji wniosku oraz potwierdzeniu spełnienia kryteriów uzyskania Gwarancji,
- udzieleniu przez bank kredytujący kredytu objętego Gwarancją,
- po zakończeniu projektu sfinansowanego kredytem z Gwarancją przekazaniu do BGK wniosku wraz z informacją o kredycie, którego dotyczy dopłata do oprocentowania,
- dokonaniu przez BGK pozytywnej oceny wniosku o udzielenie dopłaty.

O kredyt z wykorzystaniem Gwarancji Biznesmax można ubiegać się w 10 współpracujących z BGK komercyjnych bankach. Pełna lista znajduje się na stronie www.bgk.pl w zakładce „Gwarancja Biznesmax z dotacją".

Najistotniejsze korzyści Gwarancji Biznesmax dla kredytobiorcy to:

- bezpłatne zabezpieczenie kredytu,
- możliwość uzyskania dopłat do oprocentowania kredytu,
- wygoda – wszystkie formalności związane z zabezpieczeniem kredytu realizowane są w banku kredytującym,
- zmniejszenie kosztów kredytu,
- elastyczność w dysponowaniu własnym majątkiem – gwarancja BGK jest głównym zabezpieczeniem kredytu,
- oszczędność środków – gwarancja umożliwia atrakcyjniejsze warunki kredytowania,
- dostępność – gwarancja dostępna jest na terenie całego kraju w bankach, które podpisały umowę z BGK,
- pozytywny wpływ na ocenę zdolności kredytowej,
- finansowanie kosztów towarzyszących oraz kapitału obrotowego jako uzupełnienie realizowanej inwestycji,
- finansowanie kosztów poniesionych przed złożeniem wniosku,
- finansowanie kosztów uzupełniających projektu dotacyjnego oraz kosztów w kwotach brutto (z VAT),
- możliwość uzyskania lepszych warunków kredytowania w porównaniu ze standardową ofertą banku,
- korzystny dla przedsiębiorcy sposób wyliczania wartości pomocy,
- łatwiejszy dostęp w porównaniu ze wsparciem dotacyjnym i szybka ścieżka decyzyjna.

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie premii i gwarancji, o której mowa w artykule, uzależnione jest m.in. od pozytywnej analizy zdolności kredytowej, spełnienia ww. warunków oraz pozostałych aspektów wskazanych w dokumentacji konkursowej. Niniejszy materiał jest wyłącznie materiałem informacyjnym i nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje na temat pożyczek unijnych i produktów dostępne są na www.bgk.pl w zakładce Kredyt na Innowacje Technologiczne i Biznesmax z dotacją oraz w najbliższej placówce.

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl 45edaead13

GRZEGORZ STOSZ AKTOR*

Niedzielny obiad



Urodziłem się i wykształciłem w Polsce. W Niemczech mieszkam z najbliższą rodziną i tam też pracuję. Jest coraz lepiej.

Kęty, z których pochodzę, leżą 17 km od Bielska-Białej. Trochę na południe zaczynają się już góry. Smakowo z najwcześniejszych lat pamiętam rosół – stały element niedzielnego obiadu. Z gotowanym mięsem kurczaka, które mama lub babcia dorzucały do talerza. Wczesnoszkolne dzieciństwo to czas kakao, którym co rano poiła mnie babcia (dodając do niego m.in. żółtko). Miało dobrze wpływać na zdrowie. Nie lubiłem go wtedy pić. Teraz myślę, że był to całkiem niezły pomysł na rozpoczęcie dnia.

W czasie studiów na Wydziale Aktorskim łódzkiej Filmówki nie zaprzątałem sobie głowy kulinariami. O to, co jem, zacząłem dbać – i samemu coś tam przyrządzać – dopiero w pierwszej wynajętej kawalerce, w Warszawie. To był początek tego wieku.

Nie jestem wszechstronnym mistrzem kuchni, natomiast gdy się do gotowania zabieram, widocznie znajduję w tym tyle przyjemności i wkładam w to tyle serca, że to smakuje. Z pewnością mojej żonie i córce. Gotuję intuicyjnie. Potrafię zrobić dobrą zupę na bazie rosołu. Do wszelkich potraw chętnie dorzucam grzyby.

Żona jest Węgierką. Poznaliśmy się w Polsce w 2001 r. Po 10 latach odwiedziłem ją na Węgrzech, przy okazji jej premiery w teatrze (jest reżyserem teatralnym i operowym). Nie spodziewałem się niczego, tymczasem wróciłem do Polski zakochany. Zaczęło się jeżdżenie po Europie, potem na jakiś czas zatrzymaliśmy się w Wiedniu. Tam siedem i pół roku temu urodziła się nasza córka. Teraz mieszkamy w Zittau, przy granicy z Polską i Czechami.

Żona wprowadziła do naszej kuchni prawdziwy węgierski gulasz, a ostatnio fantastyczne Hortobágyi palacsinta (rodzaj naleśnika z mięsnym nadzieniem). Ja bardziej od konkretnych smaków czy potraw (zwłaszcza tych związanych ze świętami) wniosłem tradycję m.in. niedzielnego obiadu składającego się z zupy i drugiego dania. Ostatnio nauczyłem się od mamy, która jest w tym mistrzynią, duszenia mięsa. Oczywiście robię je na grzybach.

Na pewnym etapie mojego życia zasmakowałem w sushi. Nigdy nie byłem w Japonii, parę razy sięgnąłem po różne przepisy i jakoś to trafiło w moje umiejętności oraz smaki. Podobno robię bardzo dobre sushi. Ale też zupę miso.

Jolanta Gajda-Zadworna

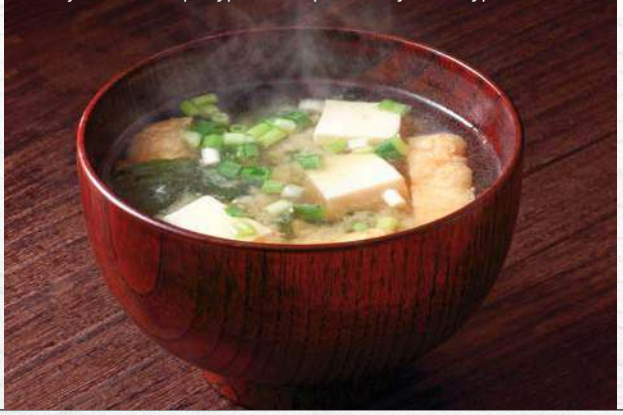
** W serialu „Echo serca" gra księdza Grzegorza*

Zupa miso

przepis ze strony Zajadam.pl

Składniki: 1,5 l domowego wywaru jarzynowego, 2 łyżki pasty miso, 2 łyżki sosu sojowego, łyżka oleju sezamowego, 1/2 papryczki chili, marchewka, łodyga selera naciowego, 2–3 łodygi cebuli dymki, 2 garści jarmużu, 50 g tofu, szczypta pieprzu, kilka gałązek świeżej kolendry (opcjonalnie).

Wykonanie: Zagotuj wywar jarzynowy z dodatkami (sosem sojowym, pieprzem i olejem sezamowym). Po zagotowaniu dodaj 2 łyżki pasty miso. Dokładnie wymieszaj. Marchew obierz, umyj i pokrój obieraczką na cienkie wstążki (jak makaron). Papryczkę chili i łodygę selera naciowego drobno posiekaj. Warzywa dodaj do wywaru jarzynowego. Całość gotuj na małym ogniu przez ok. 5 minut. W tym czasie warzywa powinny zmiękknąć, ale jeszcze pozostać lekko chrupiące. Makaron ryżowy ugotuj według instrukcji zamieszczonej na opakowaniu. Następnie odcedź i przelej zimną wodą na sitku. Jarmuż przelej wrzątkiem, a następnie zimną wodą. Odłóż na durszlak do odcedzenia. Usuń twarde nerwy z liści i dorzuć do garnka z zupą. Do zupy dodaj ugotowany makaron ryżowy i pokrojone w kostkę tofu. Nalej do misek i posyp obficie posiekanym szczypiorkiem.



eprasa.pl 45edaead13

SŁODKO-SŁONY

Gorczyca nie taka gorzka

ANNA MONICKA

Chociaż jest prastarą rośliną i dość szybko ludzie się zorientowali, że może być im bardzo pomocna w życiu, i to w różnych sytuacjach, dziś rzadko kto wie, jak wygląda. Jeśli już z czymś gorczycę kojarzymy, to z niewyględną żółtotabaczkową mazią, czyli musztardą. Najlepiej zorientowane w temacie są chyba osoby cierpiące na reumatyzm, bo w poszukiwaniu panaceum na ból sięgnęły na pewno po tak zwane domowe środki, czyli woreczki z gorczycą, i ze zdumieniem stwierdziły, że ręce mniej bolą, a stawy wydają się bardziej ruchome. Nie ma się co dziwić, jej właściwości odkryli już Sumerowie i wykorzystywali ziółko do przyrządzania leczniczych maści. Grecy, Rzymianie, Hindusi (szalenie popularna jest zwłaszcza w kuchni tych ostatnich) używali jej ziaren nie tylko jako medykamentu leczącego stany zapalne zębów, jelit, wrzodów, lecz także przyprawiali nimi jedzenie. Ostra, korzenna nuta podkreślała smak mięsa, wędlin, kiszonek.

W Polsce wyrabiano z białej i czarnej gorczycy sosy, a zielarze zalecali wręcz, żeby przyprawiać nimi potrawy. Po pierwsze – dla smaku, po drugie – dla trwałości. Jej działanie antybakteryjne wykorzystywano (i wciąż warto to robić) podczas przygotowywania przetworów – ogórków, sosów pomidorowych, papryki w oliwie.

W mojej apteczce i kuchni gorczyca jest zawsze. Doceniam ją zwłaszcza na przedwiośniu. Olejek kupiłam kiedyś w sklepie z hinduskimi kosmetykami – dodaję go do kąpieli, jest wspaniały do masażu stawów. Biała gorczyca wybitnie poprawia smak śledzi, zwłaszcza tych w oleju. Wkrótce będzie okazja się o tym przekonać, bo w poście na stole jest trochę nudno, więc warto się postarać o dobrą rybę i sypnąć do niej gorczycy. Podajemy nawet na obiad z ziemniakami w mundurkach.

Czarna – lekko podpieczona na patelni – jest doskonałym dodatkiem do warzyw, zwłaszcza pieczonych korzeniowych. Posypujemy je przyprawą, polewamy oliwą, doprawiamy solą i odrobiną cukru albo miodu i pieczemy, żeby były al dente. Marchewka, pietruszka, seler, por, batat – w takiej odsłonie niejednego zaskoczą.

Moje ulubione danie z gorczycą to surówka z pomidorów, ogórków, wiórków kokosowych i jogurtu – o hinduskim rodowodzie. Na patelni podprażam garść wiórków, powinny się zazłocić. Łyżkę gorczycy podsmażam na odrobinie oleju, aż zacznie strzelać. Kolorowe pomidory koktajlowe kroję na połówki, ogórki obieram, wycinamy nasiona i kroję w grube półtalarki. Mieszam wszystko i doprawiam jogurtem. Najlepiej smakuje z pieczonymi ziemniakami.





Sumy tawada
Clarias gariepinus

WILCZYM OKIEM

Ryby apostołów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jezioro Genezaret, zwane też Morzem Tyberiadzkim, to największy słodkowodny zbiornik Izraela. Nad jego brzegami mieszkali ludzie, którzy zostali powołani przez Jezusa jako apostołowie i w jego wodach łowili ryby, z zawodu i zamiłowania byli bowiem rybakami.

Dla biblijnych rybaków znaczenie miała także rzeka Jordan przepływająca przez jezioro. Jej koryto, meandrujące pod powierzchnią jeziora, jest ważnym elementem ekosystemu – stanowi jakby głęboki, podwodny rów, przyciągający ławice ryb możliwością schronienia, lepiej natlenionymi wodami i stałym dostępem do pokarmu. W dawnych czasach powyżej Genezaret znajdowały się bagna i płytkie rozlewiska, zwane jeziorem Hula. Było to ważne dla ichtiofauny miejsce tarła wielu ryb, spływających później do Jeziora Galilejskiego (to kolejna nazwa tego zbiornika).

W pustynnym krajobrazie Ziemi Świętej dolina Jordanu i wielkie jezioro stanowiły ożywczy, przyciągający życie cud. Wielokrotnie też, zwłaszcza w Ewangelii, pojawiają się wzmianki o rybach tych wód. Zgłębienie tematyki ichtiofauny jest fascynujące, kiedy uświadomimy sobie, kto łowił te ryby. Zwróćmy też uwagę, jak często w Ewangelii pojawiają się rybackie odwołania, których zrozumienie wymaga choćby podstawowej wiedzy ichtiologicznej – niewątpliwie ryby jeziora Genezaret są ważne nie tylko jako pożywienie.

W owych czasach, jak wskazują zapiski i wykopaliska archeologiczne, w jeziorze poławiano 18 gatunków ryb. Najczęstszą zdobyczą były okoniokształtne tilapie *Tilapia galilea* (zwane też czasem rybami świętego Piotra), karpiowate brzany *Luciobarbus longicesp* – krępe, obdarzone wąsikami, prowadzące denny tryb życia, a także żyjące w śmigłych ławicach „sardynki Kinneret" *Acanthobrama terraesanctae* (zwróćmy uwagę na drugi człon nazwy) występujące poza Genezaret tylko w jednym jeziorze w Syrii. Łowiono też sumy tawada *Clarias gariepinus*; uważane były jednak za niekoszerne.

W połowach często brał udział sam Jezus, z pewnością wykorzystując rzemiosło rybackie i swoją obecność wśród rybaków do realizacji Bożego planu. Dlaczego nie można by jednak założyć, że także po prostu dla piękna i malowniczości tego zajęcia?

Fot. Mieczysław Włodarski/REPORTER, Shutterstock (x3)

eprasa.pl 45edaead13

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Postulat równości



Na hasła pełnej równości zawsze ktoś da się nabrać, ale na szczęście już nie większość Polaków

Pewien redaktor z Wrocławia, jak sam o sobie pisze – „wykształciuch", zanotował na Twitterze: „Dlaczego nikt nie podnosi oczywistej niekonstytucyjności tego planowanego zwolnienia z PIT osób poniżej 26. roku życia? Ja mam 34 lata i też bym chciał być zwolniony z PIT. Dlaczego ja mam ponosić obciążenia, a 25-latek nie?". Ku mojemu zaskoczeniu na tekst zareagował eurodeputowany Dariusz Rosati: „Zwolnienie z PIT osób poniżej 26. roku życia niezgodne z konstytucją, bo dyskryminuje ze względu na wiek". Jak łatwo dziś „obrońcom" konstytucji przychodzi odwoływanie się do ustawy zasadniczej. Z jaką lekkością dokonują interpretacji jej zapisów. Bułka z masłem. Każdy dziś może zastąpić sędziów Trybunału Konstytucyjnego, tym bardziej że według nich pracują tam „dublerzy".

Na hasła pełnej równości zawsze ktoś da się nabrać, ale na szczęście już nie większość Polaków. Rosati jako przedstawiciel dawnej partyjnej nomenklatury gorliwie kontynuuje europejski bój o konstytucyjną równość. Dla kogo? Wyliczmy przykłady innych nierówności, które z tych samych powodów, co zwolnienie młodych z płacenia PIT, kwalifikują się do oceny zgodności z konstytucją. Na przykład różne progi podatkowe to przejaw dyskryminacji ze względu na wysokość osiąganych dochodów. Czynne prawo wyborcze, które upoważnia osoby powyżej 18. roku życia do udziału w głosowaniu, i bierne prawo wyborcze zezwalające osobom powyżej 21 lat na bycie posłem, a senatorem od 30. roku życia. To przecież czysta dyskryminacja ze względu na wiek. Przy okazji warto by się zastanowić, czy immunitet dla posłów nie tworzy nierówności i czy nie czas się pochylić nad przepisem zakazującym ludziom do 18. roku życia picia alkoholu oraz prowadzenia pojazdów mechanicznych. Zakazy te też mogą się wydawać niekonstytucyjne, ale z jakichś ważnych innych względów obowiązują.

Idźmy jednak dalej, myśląc Rosatim. Skoro „postępowi" – ci od LGBT itd. – uznają za coś oczywistego i słusznego zmianę własnej płci, to dlaczego nie można zmienić własnego wieku? Na przykład 50-latek pragnie, wręcz domaga się, bo uważa to za słuszne, mieć mniej lat, na przykład 25. Kto mu może w tym przeszkodzić, nie narażając się na zarzut dyskryminacji? A skoro w Warszawie ma obowiązywać karta dla osób spod znaku LGBT, to czy normalni, heteroseksualni ludzie nie powinni się czuć dyskryminowani ze względu na brak takich „przymiotów"? Idźmy dalej w absurdy. Czy przyjęcie dla mężczyzn 65 lat, a dla kobiet 60 lat jako wieku emerytalnego to nie ewidentna dyskryminacja ze względu na płeć i wiek? A emerytury sędziów i prokuratorów wypłacane bez wcześniejszego opłacenia przez nich składek emerytalnych? Czy to uczciwe i sprawiedliwe? Tu można by się zastanowić na poważnie. Teraz doszła zapowiedź trzynastki w wysokości 1,1 tys. zł dla wszystkich emerytów. Jeśli ten przepis wejdzie w życie, także może być zaskarżony do TK przez Rosatiego. Wszak to niesprawiedliwe rozdawnictwo, czysty populizm, korupcja polityczna.

Najbardziej drażnią nierówności finansowe, czyli zasiłek wychowawczy w wysokości 500 zł teraz już od pierwszego dziecka. Przeciwnicy mówią – to oczywista dyskryminacja małżeństw bezdzietnych. Ale dlaczego na przyszłą emeryturę dla Roberta Biedronia mają pracować cudze dzieci? Dalej zniżki i bilety ulgowe dla studentów i emerytów korzystających z komunikacji czy wejścia do muzeum. Darmowe leki dla seniorów powyżej 75. roku życia czy zróżnicowane w wysokości odprawy pracownicze. Niby dlaczego tylko z powodu wieku? Równościowe poglądy Rosatiego można by zakończyć wypowiedzią mężczyzny, który uważa za jawną dyskryminację ze względu na płeć przyznanie kobietom karmiącym prawa do dodatkowej przerwy w pracy. Tak oto w Polsce lekceważone jest najwyższe prawo, czyli konstytucja i jej art. 33 o równości kobiet oraz mężczyzn.

A teraz na poważnie. Nasza konstytucja w kwestii równości wypowiada się krótko w art. 32: „Wszyscy są równi wobec prawa. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne". I dalej: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu publicznym, społecznym lub gospodarczym z jakiejkolwiek przyczyny". Czym zatem jest postulat równości? Gdy mówimy o równości, to mamy na myśli przede wszystkim równość wobec prawa i równość wobec szans na godne życie. I to jest zadanie dla sprawiedliwego państwa, Sejmu, który przyjmuje konkretne ustawy. Tak ujął to prezes PiS Jarosław Kaczyński: „To myślenie zgodne z naszą kulturą, w której chrześcijaństwo jest fundamentem". Cieszę się, że to wypowiedź w nurcie myśli prof. Feliksa Koneczngo: „Równość to jednakowość w jednostajności [...], równość byłaby największą niesprawiedliwością, gdyż sprawiedliwość polega na sprawiedliwym podziale nierówności".

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 45edaead13

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Szefuńcio



Witold Gadowski

Zawsze gdy tam wchodzę, to jestem zziębnięty, a wychodzę solidnie nakarmiony i rozgrzany. Jedyne takie miejsce w świecie. Choćbym wyjechał najdalej, to i tak po pewnym czasie zatęsknię za knedlami ze śliwkami od Pani Stasi.

Solidna, opalana węglem, kilkufajerkowa kuchnia, na której pyrkają rosół i różne inne polskie specjały. W moim życiu Jadłodajnia u Pani Stasi na Mikołajskiej w Krakowie to już dobre kilkadziesiąt lat i nic tam się nie zmienia...

Jako młody student spowiadałem się samej pani Stasi. Spowiedź jest zawsze przy wyjściu. Każdy klient opowiada, co zjadł i jak mu smakowało, dopiero wtedy odbywa się rytuał płacenia. Nie ma takiej sztuki mięsa w sosie chrzanowym, takiego mielonego, takich pierogów nigdzie indziej. W tym skromnym wnętrzu żywiło się już kilka pokoleń krakowian.

Kiedy pani Stasi zeszło się z „łezpadołu", jej królestwo objął Szefuńcio. Wtedy jedzenie na Mikołajskiej to już nie było tylko kojenie podniebienia czy żołądela (rzecz autorstwa Szefuńcia), lecz także szybka wymiana najświeższych wieści z miasta i fleszowe opinie dotyczące polityki światowej, krakowskiej i inszej. Szefuńcio był przenikliwy, ale i dobroduszny. Niejeden raz wypuszczał wygłodzonego studenta bez żadnej zapłaty, żądając od niego jedynie ciekawej opowieści. Bywali tu i „komuszki", i „lewuski", i „nasze" – tak określał ich Szefuńcio, przy czym nigdy ani z nikim nie wszczynał sporów. Jadło się więc u Stasi łokieć w łokieć z posłem Urbańczykiem („dobry nieboszczyk" – Szefuńcio) czy nawet z Majchrowskim, na którego prychałem z lekka, ale panistasiowe zwyczaje nie dopuszczały „ścisji", kożden miał prawo do pokrzepienia żywota.

Z Szefuńciem przez lata wymienialiśmy się ploteczkami z miasta, ciągle dźwięczy mi w uszach jego: „Saluto!", którym częstował mnie na powitanie. I nagle wchodzę do Stasi w wesoły, słoneczny dzień, a tu jakaś młoda dziewczyna stoi na jego posterunku, na oknie czarno-białe zdjęcie Szefuńcia. Sztuka mięs staje mi w gardle...

– Gdzież to Szefuńcio? – pytam z niepokojem w trzewiach.

– O, już na sądach niebieskich – słyszę w odpowiedzi. Wypadek, trach i... nie ma Szefuńcia. Jak to możliwe? Wszak wydawał mi się wieczny jak Adaś na rynku! Stasia niby ta sama, tak samo przytulnie i domowo, ale bez Szefuńcia to już nie to. Zdziwiony złapałem się na tym, że nie wiem, jak miał na imię. – Maciek – dowiedziałem się dyskretnie.

Odpoczywaj, kochany Szefuńciu. Epoki się zmieniały, a Ty dzielnie trwałeś na swoim dobrotliwym posterunku. Pejzaż tworzą ludzie, a Kraków bez Ciebie posmutniał...

Siła złego...



Lech Makowiecki

Mnóstwo złych emocji wyzwoliło się w naszym kraju w ostatnim tygodniu. Zapowiedź genderowej inwazji na warszawskie szkoły, obalenie pomnika śp. prałata Henryka Jankowskiego, izraelskich antypolonizmów ciąg dalszy...

Nie dziwi to, że nasza tęczowa gromadka – korzystając z potężnego wsparcia unijnych postępaków – rwie się do „wychowywania" (demoralizacji!) polskich dzieci. Takie ich zbójeckie prawo; dasz dłoń – wezmą całą rękę. Ale że Ministerstwo Edukacji Narodowej nie utrąca już na starcie tej seksualnej „inicjatywy", uważam za wielki błąd o niewyobrażalnych następstwach, i to na wielu płaszczyznach: od moralności po demografię. Tolerancja dla homoseksualizmu to nie to samo, co nachalne promowanie LGBT, zahaczające wręcz o pedofilię! Trzeba zacząć przestrzegać tak często przywoływanej przez totalsów konstytucji, według której w Polsce małżeństwo jest wyłącznie związkiem kobiety i mężczyzny. Obalenie pomnika ks. Jankowskiego to kolejna próba sił, test na przestrzeganie prawa w naszym kraju. Jeśli nie posypią się surowe kary, żaden krzyż, kapliczka czy pomnik ku czci wielkich Polaków (od żołnierzy wyklętych po papieża) nie będą tu już bezpieczne.

Większość rodaków zbulwersowało oskarżenie nas (jako narodu) o „antysemityzm wyssany z mlekiem matki". W dzieciństwie karmiony byłem tradycyjnie i nie przypominam sobie żadnych dolegliwości z tym związanych. Prawdziwego „Katza" nabawiłem się dopiero po antypolskim wystąpieniu szefa izraelskiego MSZ. Opisane powyżej trzy wydarzenia łączy jedno: jeśli dziś nie postawimy tamy deprawacji, przemocy i kłamstwu, diabli wezmą polską normalność. Prof. Hartman napisał do Polaków: „Miliony was, chamy, miliony. I co my mamy z wami zrobić? Ale przyjdzie na was czas. A jak nie na was, to na wasze dzieci. Weźmiemy szturmem wasze szkoły, zwabimy was podstępem do teatrów, wyślemy wasze dzieci w świat". I to już się dzieje.

eprasa.pl 45edaead13

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Chlewik polski



Aleksander Nalaskowski

Bodaj najcenniejszym towarem na świecie jest ludzka uwaga. Wystarczy poznać ceny reklam telewizyjnych, prasowych czy internetowych, aby się o tym przekonać. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się wszelkie zbiorowości. Bo mówienie do dużej grupy naraz jest tańsze niż docieranie do pojedynczych osób. Informacje o towarach i usługach sprzedawane przez megafony w trakcie meczów sportowych czy dręczące reklamy puszczane głośno przed seansami filmowymi to taka właśnie praktyka. Tak jak organizowanie przez różnych cwaniaków tzw. pielgrzymek do sanktuariów polskich z obowiązkowym pokazem garnków, materacy czy urządzeń AGD oraz oczywiście ofertą kupna. Cechą takich działań jest nie tylko oszustwo, lecz również zagospodarowanie uwagi grupy, która zebrała się w zupełnie innym celu.

Szczególnym miejscem jest tu szkoła. O jakże chętnie weszliby do niej producenci modnej odzieży i elektronicznych gadżetów. Jak chętnie zagospodarowałyby uwagę i pieniądze dzieciaków różne fundacje „charytatywne", a maturzystów – przedstawiciele partii politycznych. Na szczęście szkoła się przed tym skutecznie broni. Na ile może, na ile umie.

Żaden stojący na straży konstytucji i przyzwoitości człowiek nie powinien być osamotniony

Niestety urzędnicy czasami „wiedzą lepiej", co młodym służy. Rafał Trzaskowski też „wiedział lepiej", podpisując deklarację stosowania norm WHO wobec cielesności i seksualności dzieci oraz młodzieży. Oczywiście ku uciesze różnych dewiantów i nienasyconych łowców młodych kochanków. Osobliwy prezydent Warszawy jest zdecydowanie wyznawcą zasady, że zrobi wszystko i nie cofnie się przed niczym, co rozsierdzi PiS i przyzwoitych ludzi. Najpierw zarządził zmianę nazw ulic, realizując literalnie hasło „komuno wróć", a teraz na stosie polityki złożył ofiarę z uczniów. Przekonywanie o bezrozumności i szkodliwości tego kroku nie ma już sensu, gdyż Trzaskowski udowodnił, że do niego nic nie dociera i żadna kompromitacja nie jest mu straszna. Bo on chciał do Brukseli, a nie do ratusza. I chyba postanowił zrobić z Warszawy obyczajową Brukselę, bo skoro nie ma się, co się lubi, to lubi się, co się ma.

Propaganda lubieżności, pozbywania się wstydu i intymności ma zatem wejść do warszawskich szkół. I bardzo szybko się okazało, o co chodzi. Już pojawiły się propozycje „latarników", czyli osób monitorujących zachowania homofobiczne wśród uczniów. A więc nie chodzi o seksualność jako taką, ale o homoseksualność. Nie ma żadnego „latarnika" dla wszystkich, jest jedynie dla jednostek wybranych. Wybranych, a właściwie to dobranych w sposób szczególny. Działanie oczywiste i już niemal jawne. Szkołę należy otworzyć na homoseksualizm. To jasne. Bo uczniowie to towar do skonsumowania, to spora a leżąca odłogiem erotycznym grupa ofiar dla amatorów „innych" doznań. Towarzyszy temu już niemal ugruntowane przekonanie, sączone zewsząd, że związki i orientacje hetero oraz homo są równoważne. Dociera to do harcerstwa, obozów młodzieżowych, reklam. Znajomy sztygar ze Śląska mawiał w takich przypadkach: „Panie, to świnie nie ludzie!". Ale on był ciemnogród, bo miał pięcioro dzieci i śpiewał w kościelnym chórze.

Traktując swą funkcję poważnie i zgodnie z sumieniem, wystąpiła przeciwko działaniu chlewa kuratorka krakowska. W moich felietonach to już postać niemal serialowa. Napisała, co sądzi o całej akcji, i wrzasnęła: „Non possumus!". No i natychmiast zrobiło się rodeo. Kowboje z mainstreamu dosiedli tego narowistego mustanga i próbowali go ujeździć oraz złamać. Ale ich zachcianki przegrały z tym, co naturalne i prawdziwe. Nie doczytali reguł „nowej edukacji seksualnej". I gdy zostały im one przez urzędniczkę wyłożone, to chwilowo sobie rodeo odpuścili. Tak bowiem jest, gdy działanie wyprzedza rozum. Nawet im nie pasowały zalecenia, aby dzieci do dziewiątego roku życia umiały się masturbować, znały detale seksu, a do piętnastego już potrafiły odpowiedzialnie dobierać partnerów. No tak, ale panienki z TVN czy z „GW" nie czytają, bo nie mają czasu się przygotować do zbierania materiałów. Są zaledwie statywami do mikrofonów.

W tym wszystkim zabrakło mi dotkliwie zwarcia szeregów w obronie koleżanki przez innych kuratorów, a nade wszystko jasnej i natychmiastowej reakcji MEN. Żaden stojący na straży konstytucji i przyzwoitości człowiek nie powinien być osamotniony. Zwłaszcza jeśli dba o młode pokolenie. Być może czegoś nie doczytałem, ale nie widziałem też reakcji rzecznika praw dziecka. Obrona uczniów przed zorganizowanym i zadekretowanym molestowaniem winna być natychmiastowa oraz jednoznaczna. Jedna kuratorka temu nie zaradzi.

I jeszcze – urządzanie „równościowych polonezów" nie może się odbywać kosztem zniesmaczenia, obrzydzenia czy zażenowania tych uczniów, którzy nie chcieli w takiej hucpie brać udziału, a też chcieli być na swojej studniówce. Naprawdę są aż tak nieważni?

eprasa.pl 45edaead13

PRZEZ ŚWIETLIK

Bo ludzie są głupie

„Analfabetyzm funkcjonalny, ignorancja, ciemnota są zmorą współczesnego świata, również najbardziej zaawansowanych cywilizacyjnie krajów. Na Zachodzie z tym się walczy, w Polsce – lekceważy i rozgrywa politycznie" – napisał bliski Platformie Obywatelskiej i jej dziennikarskiemu pluszakowi portal Natemat.pl, cytując jakiś tekst sprzed kilku lat z „Polityki". Ten pseudonaukowy bełkot ma być uzasadnieniem tego, dlaczego Polacy głosują na prawicę i wybierają jej propozycje, zamiast wspierać ukochane dzieło eurotowarzysza Tuska. Oczywiście ta pseudonaukowa propaganda nie ma nic wspólnego z opisem społecznym, ale sporo nam mówi o świecie mediów i polityki w naszych czasach.



Wiktor Świetlik

Dzisiejsze media są jak wojna totalna – atakuje się nie tylko polityków, lecz także ich elektorat

Kiedyś było inaczej. Dawno temu wojny toczyli wyłącznie rycerze, ewentualnie nieco zaciężnych chłopów. Dla reszty ważne było szybko się schować wraz z przydomową krówką i świnką, gdy szła obca armia, a i na własną trzeba było uważać. Potem wojska trzeba było coraz więcej, a także pracowników w fabrykach broni, pielęgniarek, markietanek, a nawet dzieci i starców do obrony cywilnej. W żołnierzy zamieniono więc całe społeczeństwo. Skoro wszyscy ludzie znajdowali się w wojsku, to wrogiem stawali się wszyscy ludzie – ci po drugiej stronie. W ten sposób mamy społeczeństwo masowe i tak zachwalaną demokrację. Dzięki niej każdy z nas może, a nawet musi, wziąć udział w masowej zabawie w nienawiść i walkę o władzę. „Ciążą masy do ciężkiej kasy" – pisał Dariusz Brzóska-Brzóskiewicz. Owszem, ciągną, ale nie do swojej kasy. A jak nie ma wojny, trzeba się zadowolić polityczną wojną domową.

W jej ramach też nie ma miejsca na niezaangażowanych ani oddzielanie wojska i cywilów. Przykładem jest to, że do niedawna jednak media i politycy (dziś to niewielka różnica) starali się atakować, owszem, polityków, ale nie ich elektoraty. Prawo to nie obowiązywało oczywiście „Gazety Wyborczej", konsekwentnie dowodzącej, że społeczeństwo polskie, np. wy, czytelnicy „Sieci", to banda ciemniaków, nad którą potrzebna jest światła praca edukatorów z Unii Europejskiej.

Teraz pałeczkę przejęli inni. Jako złych pokazuje się nie tylko nielubianych polityków, lecz również ich elektoraty. Co mniej mądrzy warszawscy politycy drwili ze „słoików", czyli większości stołecznego elektoratu, teraz królują Janusz i Grażynka, czyli prości Polacy, którzy po otrzymaniu 500+ mogą sobie pozwolić na wakacje, co budzi najwyższą pogardę części elit. No właśnie, à propos elit – tych medialnych i politycznych, a przynajmniej tych, którzy się za nie mają. Tak naprawdę problem leży nie w społeczeństwie, ale właśnie w nich. Mógłbym godzinami wymieniać przykłady żenady i ignorancji dziennikarskiej, także szalejące na łamach portalu, od którego zacząłem felieton. Zobaczcie, co piszą na Zachodzie o Polsce. Utytułowani dziennikarze i politycy powtarzają bez weryfikacji bzdury o tym, że w naszym kraju szaleje dyktatura, a moi i państwa dziadkowie nie zajmowali się niczym innym, tylko mordowaniem Żydów. To są dzisiejsze elity. A przynajmniej za nie się mają, bo tak naprawdę skoro wojna i polityka stały się masowe, to i elity przestały być potrzebne. To masy są elitą, a elita niebędąca elitą po prostu nie może się z tym pogodzić, stawiając rozpaczliwy opór, i publikuje raporty na temat ignorancji mas.

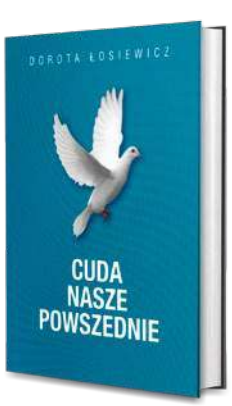
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Cuda wracają

Nakładem wydawnictwa Fronda ukazało się wznowienie bestsellerowej książki dziennikarki „Sieci" Doroty Łosiewicz „Cuda nasze powszednie".

O tym, że cuda zdarzają się każdego dnia, nie mają wątpliwości bohaterowie tej książki. I z radością dzielą się tym, co ich spotkało, a co teoretycznie jest niemożliwe. Niespodziewane uwolnienia z wielkich i małych nałogów. Poczęcia, do których – w opinii lekarzy – miało nigdy nie dojść. Radykalne uzdrowienia, których już nikt się nie spodziewał. Powroty do normalnego życia, mimo że specjaliści przepowiadali jałową wegetację. Niewytłumaczalne spotkania, które zmieniały całe życie. By to zrozumieć, potrzeba jednego – wiary.

Książka w nowej obwolucie od lutego do kupienia w księgarniach.



eprasa.pl 45edaead13



Lekcja historii według PAN

JAN POSPIESZALSKI

„Mam do Lanzmana żal, że przedstawił polskich chrześcijan jako większe potwory niż Niemców" – tak w wywiadzie dla „Paris Match" o filmie „Shoah" powiedział wybitny psychiatra francuski Stanisław Tomkiewicz, polski Żyd uratowany z warszawskiego getta. „To prawda, że było 5–10 proc. łajdaków, ale byli też święci, których w filmie nie widać, a którzy ryzykowali życiem, by ratować Żydów. Lanzman kręcił film w Polsce komunistycznej, i dano mu listę kolaborantów oraz listę bohaterów. Z tej drugiej nie zrobił nic. Nazywam to kłamstwem przez zaniechanie" – mówił Tomkiewicz.

Tę wypowiedź doktora przypomniała mi jedna ze słuchaczek paryskiej, głośnej już konferencji pod nazwą „Nowa polska szkoła badań nad historią Zagłady Żydów", na którą zaproszeni zostali uczeni z różnych instytutów PAN. Gdyby dr Tomkiewicz żył, przyszedłby na to sympozjum i powiedział to, co w wywiadzie dla „Paris Match", pewnie natychmiast odebrano by mu mikrofon. A gdyby zacytował fragment swojej autobiografii, prawdopodobnie usłyszałby, że jest antysemitą. Tomkiewicz w swojej książce wyznaje, że życie uratował mu granatowy policjant („L'Adolescence volée" wyd. Hachette littérature str. 39–40), a dalej (o zgrozo!) stwierdza, że jego wujka w getcie warszawskim zabili żydowscy policjanci. Takie treści nie mieszczą się w obszarze badawczym „Nowej polskiej szkoły badań nad historią Zagłady Żydów". Słuchacze sympozjum nie mieli szans dowiedzieć się o tym, jak wyglądał terror w okupowanej Polsce, jaka była skala represji, co groziło np. za odmowę wykonania rozkazu czy dezercję z szeregów granatowej policji. O tym, że sprawcami Zagłady byli Niemcy, jakby półgębkiem wspomniał tylko Jean-Charles Szurek. Jeżeli w końcu Anna Bikont przyznała, że był ktoś taki jak Irena Sendlerowa, to tylko po to, by zarzucić jej budowanie fałszywej legendy, wyolbrzymianie liczby ocalonych. Pominęła to, że Irena Sendlerowa była aresztowana przez Niemców, torturowana i skazana na śmierć. Autorka skwitowała to słowami, że wprawdzie Sendlerowa była aresztowana przez Gestapo, ale dzięki staraniom kolegów (czyżby miała kolegów w Gestapo?) po krótkim czasie wyszła z więzienia.

Referat Bikont kończy stwierdzeniem, że Polacy i dzieci polskie dla żydowskich dzieci byli śmiertelnym zagrożeniem. Dla Francuzów, których pamięć o II wojnie wynika z radykalnie odmiennych realiów, brak kontekstu i pominięcie najważniejszych informacji to (cytując Tomkiewicza) „kłamstwo przez zaniechanie". Więcej – to ordynarne fałszerstwo. Dla zdumionych przedstawicieli Polonii niereprezentatywny dobór zarówno prelegentów (Tokarska, Bakir, Gross, Grabowski, Leociak), jak i treści referatów był tak silnym szokiem, że postanowili zabrać głos. Gdy ich do niego nie dopuszczono i zakazano nagrywania, zaczęli protestować. „To nie było seminarium naukowe, to był proces wytoczony Polsce ze sfingowanymi dowodami" – opisuje klimat sympozjum kolejna słuchaczka.

Atmosferę na sali ilustruje pewien epizod. Jeden z referatów poświęcony był wyłącznie IPN. Gdy wspomniano, że historycy przygotowali broszurkę o historii Polski, by rozdać ją uczestnikom Światowych Dni Młodzieży, publika i pozostali prelegenci parsknęli śmiechem. W konkluzji zawarto tezę, że ustalenia pracowników IPN są niewiarygodne, ponieważ IPN jest rządową instytucją, funkcjonariusze obecnej władzy realizują propagandowe zamówienia. Mniejszą finezją wykazał się Jan Grabowski, mówiąc o historykach IPN: „To nędza intelektualna".

Dodając do tego wystąpienie Jacka Leociaka (ciągle dostępne w sieci), protesty i wzburzenie wydają się naturalne. Dziś protestujący Polacy (przyznam, nieraz w sposób niewybredny, momentami niedopuszczalny) ukazani są jako „antysemicka horda", a z drugiej strony brakuje odniesienia ze strony IPN, MSZ czy kierownictwa PAN wobec skrajnie nieobiektywnego i niespełniającego naukowych standardów sympozjum.



eprasa.pl 45edaead13

Pocisk dużego kalibru



Jerzy Jachowicz

Każdy list otrzymany ze stemplem President of the European Council wprawiał Grzegorza Schetynę w stan podwyższonego lęku. Często się zdarzało, że już przy pierwszej próbie otwarcia koperty, zabezpieczonej dodatkowo pieczęcią z ozdobnego, diamentowego lakieru (znak zodiaku Donalda Tuska – zarys głowy Byka przypominający grafiką słynny znak drużyny NBA Chicago Bulls), przewodniczącemu PO dłonie drżały tak, iż koperta wypadała mu z rąk. Jej zetknięcie się z podłogą wydające szelest, w uszach Schetyny w wyniku siły lękliwej wyobraźni przybierało dźwięk armatniego huku z nieprzyjacielskiego działa, jaki rozlega się nad głowami żołnierzy skulonych w okopach.

W podobnym stanie ducha jak owi szeregowi wojacy w okopach znajdował się Schetyna, obawiając się „pocisku" znajdującego się we wnętrzu koperty. Im bliższy był termin wyborów prezydenckich, tym coraz bliższa szefowi PO wydawała się koszmarna wizja śmiertelnego dla jego ambicji pocisku, jaki mógł zostać wystrzelony z Brukseli. Zwykle listy od Tuska przychodziły w dużych kopertach, niemal wielkości aktówek, z grubego, gładkiego, złocistego papieru, jakich używa Władimir Putin, przesyłając tajną pocztą dyplomatyczną plany Nord Stream 2 na ręce Angeli Merkel (skąd Donald Tusk ma takie koperty? Już samo to jest dziwne).

Tym razem była to firmowa biała koperta z biura szefa Rady Europejskiej. Niezalakowana. Chyba dlatego, że przywiózł ją do Polski Paweł Graś, który przyjechał, by uzgodnić z komisją vatowską termin przesłuchania Tuska. Ledwo za Grasiem zamknęły się drzwi, Schetyna otworzył kopertę. List, jak wcześniejsze, pisany był odręcznie. Zanim zaczął czytać, wziął głęboki oddech, niczym wyskakujący ze spadającego samolotu pilot bez spadochronu. Na kartce tylko dwa zdania: „Musisz zbajerować do koalicji Biedronia. Przekaż, że gwarantuję mu tekę premiera".

„I znowu nie zostanę premierem" – powiedział do siebie przewodniczący PO. Po jego lewym policzku spływała wielka łza.

CO MNIE CIESZY I ŚMIESZY

Piątką w POKO



Katarzyna Łaniewska

Piątką, czyli liczbą nr 5, a nie piąstką, czyli pięścią, w POKO, czyli Platformę Obywatelską i porozumienie konstruktywne czy – jak niektórzy wolą – POKOmunistyczne.

Na ostatniej konwencji PiS prezes Jarosław Kaczyński ogłosił pięć punktów najbliższego programu swojej partii – nazwanych „piątką Kaczyńskiego". Znalazły się w niej: punkty dla rodziny – 500+ na pierwsze dziecko, dla seniorów – 13. emerytura w kwocie 1,1 tys. zł, dla społeczności mniejszych miast i wsi – połączenia autobusowe. Dla młodych wchodzących w życie zawodowe – brak podatków do 26. roku życia i dla wszystkich – obniżenie PIT do 17 proc. Ta piątka uderzyła w totalną opozycję, w przypadku której trudno dojść, gdzie, kto się znalazł i gdzie wskoczył. Ostatnio to się nazywa Koalicja Europejska czy inna unia niepolska. Zawiązała się przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Przypomina to zabawę dzieci na podwórku, z mojego pokolenia, w „komórki do wynajęcia". Zawsze było więcej dzieci niż „komórek" (oczywiście nie telefonicznych, o takich nam się nie śniło) i gdy ktoś krzyknął, to każdy biegł do „komórki". Ktoś zawsze pozostawał na lodzie. I tu też tak będzie. Ale by nie zostać na lodzie, to i PSL się jako ostatnie zdecydowało. A Nowoczesna weszła do porozumienia dla... ratowania Polski. Ponoć nie dla miejsc.

PiS spełniało po kolei przez trzy lata obietnice wyborcze, a tu taki prztyczek w nos. Piątka uderza w osiem lat rządów PO-PSL, kiedy ekipa ta nie dokonała niczego poza zamykaniem linii autobusowych, komisariatów itp. Ta złość i nienawiść do wszelkich działań rządu PiS wywodzi się z tego.

Piątka jest jak pięć palców naszej dłoni. Jest palec wskazujący, którym kogoś pokazujemy. Kciuk podniesiony do góry, by zakomunikować, że jest fajnie. Mamy też inne palce, których nie będę omawiać, po co się je podnosi. Jest jeszcze taki gest – pokazanie figi – poprzez założenie kciuka pod palec wskazujący. Taki kciuk został pokazany przez piątkę temu europejskiemu zgromadzeniu.

Autopromocja

eprasa.pl 45edaead13

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Biegnij, Forrest, biegnij!

Gdyby kręcono obecnie film „Forrest Gump", główny bohater mógłby wziąć udział w biegu kobiet



Ryszard Makowski

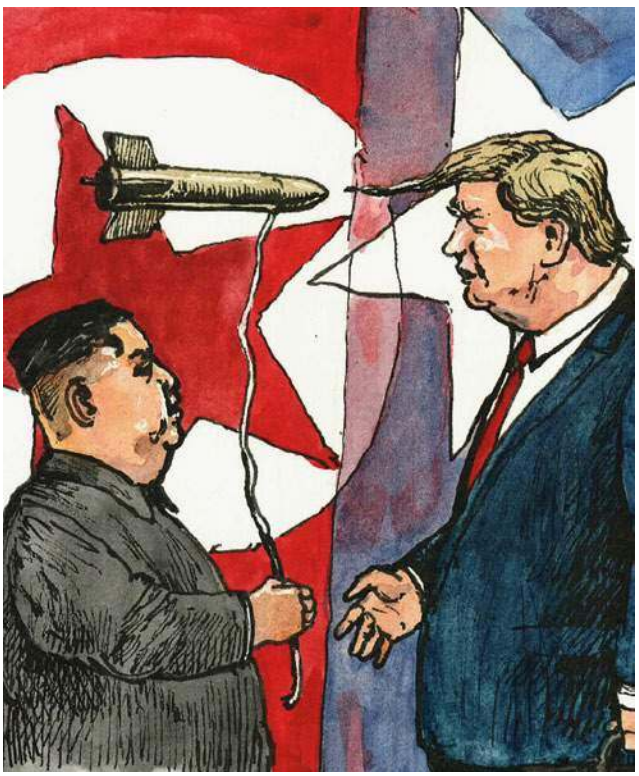
USA to kraj tolerancji i poprawności politycznej. To, że czasem uwłacza to nie tylko zdrowemu rozsądkowi, lecz i najbardziej fundamentalnej przyzwoitości, zupełnie nie robi wrażenia na miłośnikach zidiocenia, zwanego postępem. Dwóch nastolatków w stanie Connecticut bierze udział w biegach dziewcząt i te zawody wygrywają. Choć biologicznie to mężczyźni bez żadnych przeróbek, chłopcy uznali, że są kobietami. I nie można się ich czepiać. Na podstawie prawa stanowego jesteś taką płcią, z jaką się identyfikujesz. Nawet przegrywające z nimi dziewczynki uważają, że wszystko jest w porządku. Tak je wytresowali w ramach umiłowania wolności.

„To jest szalone, to jest oszustwo. Z przyjemnością mogę zwracać się do transpłciowej kobiety, jak tylko sobie życzy, ale nie byłabym zadowolona, gdybym musiała z nią rywalizować. To nie byłoby sprawiedliwe" – napisała w „The Sunday Times" Martina Navrátilová. Wcześniejszą Czeszkę, późniejszą Amerykankę wykluczono za to z rady doradczej i pozbawiono roli ambasadorki Athlete Ally, organizacji zajmującej się sportowcami LGBTQ. Tenisistkę zaślubioną z byłą miss ZSRR oskarżono o transfobię.

Obserwując zmagania kobiet w biegach z kobietami wyglądającymi jak faceci, człowiek się zastanawia, jaki to ma sens? Forrest Gump przeszedł tyle zmian, że brak przemiany w kobietę i z powrotem świadczy o ograniczonych horyzontach twórców filmu. Obecnie nie do pomyślenia.

eprasa.pl 45edaead13

***Zawistowski prezentuje:* Szczyt w Hanoi**



Wycinki z przeszłości

Koszmar masowego bezrobocia na szczęście zniknął z polskiego horyzontu i oby było tak zawsze. Jednak dwie jego wielkie fale – w latach 30. i 90. XX w. – trwale zapisały się w pamięci. Wielki Kryzys lat 30. w 1935 r. już na całego dotarł do Polski. „Przewodnik Katolicki" z wiosny tamtego roku pytał na okładce: „O czym marzą bezrobotni", a wewnątrz numeru zamieszczał wstrząsające opisy biedy i tragedii związanych z utratą pracy. A tak o bezrobociu na wsi pisał ks. bp Lisowski z Tarnowa: „I na wsi nędza okropna: lud często nie ma ani obuwia, ani ubrania, ani nawet nie ma w czem pójść do kościoła. Dzieci zaniedbane, źle odżywione; sieroty i chorzy bez opieki i lekarza; brak dziś grosza na sól, na cukier, na naftę, na zapałki nawet".



Redakcja apelowała: „Kto ma serce, niech usłyszy, niech spieszy z pomocą. Dał ci Bóg więcej, niż ci potrzeba, zachował cię od nieszczęścia – podziel się z bratem twoim". Wciąż aktualne słowa.

(mk)

Dwuojczyźniani...

W Lublinie, na placu Unii Lubelskiej, kiedym w 450. rocznicę przystanął tam obok pomnika, akurat to przyszło mi do głowy: przecież przez ileż to pokoleń Oni tam byli właśnie tacy? – Dwuojczyźniani?



Leszek Długosz

„Do Litwy"
Kazimiera Iłłakowiczówna

Na innej ziemi zostawiłam ślad,
znak mój wyryłam na nie naszym spiżu,
byłam jak posiew, co wschodzi, gdzie padł.
Ty mię, o Litwo, racz wspomnieć choć krzyżem,
niech moje imię na tym krzyżu stoi...
...bo byłam twoja.
Otom podobna jest monecie płonej,
kto mię w obiegu ma – czysty trafunek.
Ale na zawsze na niej utrwalony
twój, ojczyzno moja, wizerunek.
A ty – choć twarz twa piękna, a jam licha –
mnie nie odpychaj. [...]

Bo mi się jawisz cała w szumie wód
i warkoczami brzóz powiewasz ku mnie...
jeśli nie zdążę żywa do twych wrót,
daj mi powrócić na twój cmentarz w trumnie.
Otwórz granice jak ramiona białe,
bom cię kochała! [...]
Stań, wesprzyj dłonie o graniczny słup
i nie broń trumnie, kiedy w niej przypłynę,
bo na cmentarzu jest w Dubinkach grób
zawsze gotowy dla mnie i gościnny.
Wie każde drzewo, woda wie i trawa
o moich prawach.

Bez praw, bez ziemi własnej, bez imienia,
niech dom i ziemię po zgonie odzyskam.
...A lny i zboża niechaj się rozplenią
i kamień skryją, gdzie ono nazwisko
już raz wyryłaś i znowu potwierdzisz
dla mnie po śmierci.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 45edaead13

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Kto może definiować dobre życie?

„Od kryzysu do katastrofy?” – to tytuł eseju („Wszystko, co najważniejsze”, 10/2019) napisanego przez naszego przyjaciela, filozofa, prof. Andrzeja Szahaja, niepodzielającego jednak naszych sympatii politycznych. Jak zwykle tekst jest inspirujący. Dla nas pewnie dzięki temu, że korzystamy z innej ramy ideologicznej porządkującej nasze diagnozy.

Prof. Szahaj z niepokojem podkreśla, że kryzys ekonomiczny lat 2008–2009 został ledwie „zaleczony”: wprawdzie przeżyliśmy go, ale przyczyny choroby nie zostały usunięte, to zaś może prowadzić do kolejnej zapaści, która tym razem będzie katastrofą.



DZIAŁANIA GŁĘBOKO ZMIENIAJĄCE

Szahaj nie tylko ostrzega, że „narastający latami gniew i frustracja mogą doprowadzić do żywiołowego wybuchu”. Wskazuje, że można temu zapobiec. Jedyny sposób, jaki widzi, to natychmiastowe prace głęboko zmieniające mechanizm działania współczesnego świata: „Polityka powinna odzyskać władzę nad rynkiem, demokracja nad światem korporacji i finansów. Neoliberalne hasło »zysk ponad wszystko« powinno zostać zastąpione hasłem »zysk dla ludzi«. Na nowo zdefiniowane dobre życie i dobre społeczeństwo winny uzyskać pierwszeństwo przed efektywnością i wzrostem ekonomicznym, podział – przed gromadzeniem bogactwa, a ekologia – przed produkcją. Głębokiej przemianie powinny ulec nasze priorytety życiowe i wzory sukcesu. Nastawienie na konsumpcję i konkurencję winno być zastąpione nastawieniem na jakość życia. Walka o dominację – poczuciem solidarności”.

TYLKO OFERTA SOCJALNA?

Taka wizja walki z kryzysem światowym odświeża spojrzenie na polską rzeczywistość roku wyborczego 2019. Daje też ożywczy impuls do odparcia zarzutu, że PiS ofertą socjalną znów chce kupić wyborców. Nie wczytując się w projekt tej partii, za pomocą takiego właśnie schematu „eksperci” chętnie podsumowywali konwencję PiS zorganizowaną w sobotę 23 lutego br., na której przedstawiono kierunki dalszych zmian.

„Polska sercem Europy” oraz „Rodzina, rozwój, wiarygodność” – takie hasła towarzyszyły konwencji. W nich zamyka się pewna wizja tego, jak Polska ma wyglądać z perspektywy zwykłych obywateli, którzy mają być nie tylko tłem dla polityki i biznesu, lecz znajdują się w centrum uwagi.

Przecież w ostatecznym rozrachunku to od jakości codziennego, czasem szarego i trudnego życia „zwykłych” Polaków zależeć będzie sytuacja naszej ojczyzny. To jakość tego życia będzie kryterium wartości polskości w świecie hiperzmian.

Jasne, że PiS chce utrzymać władzę; oczywiste, że chce przekonać wyborców do swoich racji. Ponoć najprościej jest zagrać ofertą socjalną, ale może Polacy wcale nie są tak naiwni, jakimi widzi ich opozycja totalna? Może w tej ofercie socjalnej widzą coś więcej niż tylko poprawę sytuacji materialnej? Może główkują, że w świecie niepewności, władzy korporacji ponadnarodowych, globalnych finansów i interesów, w świecie, nad którym wciąż krąży widmo kryzysu, państwo, które dba o niezbędne do godnego życia środki, jest bardziej godne zaufania od... Od pretendujących do władzy światłych obywateli świata wykrzykujących abstrakcyjne hasła wolności?

Tym, którzy są w stałej kontrze do obozu dobrej zmiany, oraz tym, których polityka ogólnie zraża, często słabo mieści się w głowach, że utrzymanie władzy może w ogóle czemuś godnemu służyć.

Wiemy aż za dobrze, że w świecie polityki po wszystkich stronach nie brak osób cynicznych, dla samej władzy gotowych na wiele. Nie jesteśmy fanatycznymi wyznawcami obozu dobrej zmiany niewidzącymi jej ułomności, zaniedbań, niezgrabności, czasem drażniącej małości.

DOBRE ŻYCIE, DOBRE SPOŁECZEŃSTWO

Obecnie jednak nie ma dla Polski lepszej oferty. Ewentualna porażka PiS oznaczałaby przegraną wizji Polski, która nie lęka się definiować dobrego życia i dobrego społeczeństwa. Która nie boi się stawiać dobra rodziny na pierwszym miejscu, wbrew uznanym doktrynom ekonomicznym.

Ta oferta jest szansą sprostania tym wyzwaniom cywilizacyjnym, które w swej analizie uwypukla Andrzej Szahaj.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 46/0219/F

eprasa.pl 45edaead13

WIOSENNE HITY

W POLSCE PL





PONIEDZIAŁEK, 17:30
Z torebki Jakubowskiej
Kobiecy punkt widzenia



WTOREK, 21:15
Debata specjalna
Wieczór wokół bieżących wydarzeń

ŚRODA, 10:05
Poranna rozmowa Marcina Fijołka
Najważniejszy polityczny wywiad dnia





CZWARTEK, 20:00
Wieczór z Piotrem Barełkowskim
Trudne tematy, kontrowersyjni goście

PIĄTEK, 11:15
Kolegium Wojciecha Biedronia
Gorąca dyskusja publicystów



WŁĄCZ TELEWIZJĘ W POLSCE PL

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox, **121** dekodery KAON i Horizon

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

eprasa.pl/45edaead13



20 lat Zdrapek

DRAPIEŻNIKU DRAP i WYGRYWAJ



DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki

eprasa.pl 45edaead13